

Historia prawdziwa

KAPITANA

Haka

P.D. BACCALARIO

Baccalario Pierdomenico

Historia prawdziwa kapitana

Haka

A stylized, handwritten signature or logo in black ink, consisting of three interconnected, flowing characters that resemble 'MKS'.

Panie, pozwól mi pozostać cieniem w Twoich dłoniach. Mogę być herosem bądź demonem, królem bądź zwyczajnym człowiekiem, Drzewem, rośliną, zwierzęciem... Ale pozwól mi być cieniem w Twoich dłoniach. Moje ziemskie życie pełne jest trudów i walk I śmieją się ze mnie moi liczni wrogowie. Ich drwina szybsza jest od pierzastych strzał; A ich słowa tną lepiej niż kris. Ale moja walka jeszcze niezakończona. I nie zakończy się nigdy.

Noto Suroto, Pieśni Teatru Wayang (za: Frits A. Wagner, Indonesia, Marco Polo, II Saggiatore)

Książkę tę dedykuję Lu

Rozdział

Narodziny tego dziecka miały na zawsze pozostać tajemnicą. Przedstawiona tu historia próbuje wyjaśnić dlaczego i opowiedzieć, co stało się później. Jak wieść niesie, to był całkiem zwyczajny dzień, jedno z typowych angielskich popołudni.

Zmęczone słońce wlokło się z mozołem po niebie; to pojawiała się, to znikало za chmurami jak miedziana moneta, od czasu do czasu oświetlając mury windsorskiego zamku.

Królewska rezydencja wyglądała jak wielki plac budowy. Rusztowania z dziesiątkami kładek, schodków i podnośników od miesięcy otaczały krenelaż, mury i wysoką wieżę niczym bandaże mumię faraona. Wokół leżały stopy ociosanych kamieni, belek, deseczek, klinów i żelaznych gwoździ. Wieczorny wiatr lekko poruszał rozłożonymi na stołach projektami architektów. Wióry, okruchy wapna i opiłki żelaza unosiły się w powietrzu jak rój owadów.

Dziedzińce były głuche, a rusztowania puste, jakby czekały na coś, co dopiero miało nadejść.

Konie w stajniach nerwowo biły kopytami i rżały trwożliwie. Stajenny uspokajał je, przemawiając do nich cicho i głaszcząc ich gęste grzywy. Ale i on spoglądał z niepokojem na dwór. Niebo ciemniało. Słońce pośpiesznie kryło się za horyzontem.

Okna komnat dla wysoko urodzonych były puste. Wisiały w nich ciężkie kotary, skrępowane ozdobnymi sznurami niczym kajdanami.

Dlaczego wysoko urodzeni pragnęli odciąć się od świata? Może nie interesowało ich to, co się działo na dziedzińcu, albo po prostu nie życzyli sobie niepowołanych spojrzeń z zewnątrz.

Na poddaszu zamku powietrze było gęste od upału. Ciszę mąciły jedynie zduszone pochrapywanie służby i rytmiczny dźwięk kart wykładanych na przygotowany naprędce stół do wista, któremu towarzyszyły brzęk monet i szelest banknotów. Od czasu do czasu rozlegał się dzwonek. Wtedy któryś ze służących podrywał się z łóżka, obmywał pośpiesznie twarz, zbiegał po schodach i bez słowa znikał w labiryncie zamkowych korytarzy.

W kuchniach trwały przygotowania do kolacji. Już rozpalono pierwsze paleniska, ich ogień tlił się leniwie.

Świeżo umyte srebrne sztućce leżały na długich drewnianych stołach. Po posiłkach chowano je, jeden po drugim, do specjalnych kieszonek rozmieszczonych na długich pasach

materiału. Materiał zwijano w bele, które wyglądały jak olbrzymie węże, potem wkładano do wielkich, zamykanych na potężne kłódki, szaf.

Wszystkie te czynności wykonywano w zupełnej ciszy.

Wydawało się, że tego wieczora każda z osób przebywających na zamku pogrążona jest we własnych myślach i w pewnym sensie nieobecna.

Dzień kończył się całkiem zwyczajnie. Kiedy jednak zegar wybił kwadrans po dziewiątej, zerwał się wiatr. W okolicach Windsoru ten rodzaj wiatru nazywano „morskim kółkiem graniastym”. Wiatr zaatakował zamek. Połamał mostki rusztowań; gwałtownie poruszał furtkami w stajniach. Zadrżały szyby z ręcznie dmuchanego szkła w komnatach wysoko urodzonych; belki stropowe złowrogo zaskrzypiały. Przeciągły lament przebiegł po windsorskich korytarzach, a ogień w kuchennych paleniskach przygasł.

Stare mury wstrzymały oddech.

Wszyscy mieszkańcy zamku zastygli w bezruchu.

„Kółko graniaste” - zaszumiało morze.

I właśnie wtedy rozległ się płacz dziecka.

Rozdział

Był 28 kwietnia 1829 roku.

Zaraz potem wiatr ucichł równie nagle, jak się pojawił. Powrócił do jednego z tych niewidzialnych miejsc, gdzie odpoczywał.

Pomieszczenie nie wyróżniało się niczym specjalnym. Panował w nim mrok i prowadziły do niego co najmniej cztery osobne wejścia.

Najmłodszy ze spiskowców pojawił się najpóźniej. Musiał zbiec ze wszystkich zamkowych schodów, by dotrzeć do tego sekretnego miejsca, którego istnienia nie podejrzewał nawet królewski architekt. W zupełnej ciemności do nozdrzy najmłodszego spiskowca doszedł mdły zapach kadzidła.

Był zaskoczony.

Pozostali zgromadzeni zbliżyli się do niego szybko; zaszeleściły strojne szaty, rozległ się szcęk szabel przypiętych do pasów, jeden z nich zapytał: - A zatem, stało się?

Nowo przybyły miał na sobie pobrudzony krwią fartuch. Zanim odpowiedział, wytarł w niego dłonie i wyteżył wzrok. Próbował się zorientować, ile osób przybyło na spotkanie w podziemiach. Niewiele jednak widział, bo oczy jeszcze nie przywykły do panującego w komnacie mroku. Dostrzegł jedynie szpiczasty kapelusz marynarki wojennej, wypolerowany but i pięć profili wyrytych na czarnym jak smoła tle.

Odchrząknął i odpowiedział:

- Dziecko się urodziło, dostojni panowie. To chłopiec.

- Chłopiec! - zachnął się jeden ze spiskowców. Słowo to wymówił z wyraźnym niemieckim akcentem. - Chyba ciąży nad nami jakieś fatum.

Powietrze aż drżało od tłumionych emocji. Nie po raz pierwszy w zamkowych komnatach można było wyczuć takie napięcie. Od lat krążyły plotki o przekleństwie ciążyącym nad królewską rodziną. Młody doktor mówił dalej:

- Dokładnie rzecz ujmując, jest to dorodne niemowlę płci męskiej i waży osiem funtów. A siła, z jaką krzyczało po przyjściu na świat, świadczy o jego doskonałym zdrowiu.

- A matka, doktorze? - zapytał szeptem mężczyzna, który jako pierwszy zabrał głos.

Najmłodszy spiskowiec zdrętwiał. Czuł, że nie ma wyjścia i musi odpowiedzieć na to pytanie. Znajdował się w niekorzystnym dla siebie położeniu. Pozostali wiedzieli, kim jest, a on widział tylko zarysy ich poruszających się w ciemności postaci. Brnął jednak dalej:

- Matka przeżyła poród. Nie śpi i jest przytomna. To silna i dobrze zbudowana

kobieta. Skłonny jestem uważać, że ma się dobrze. Równie dobrze jak przed porodem.

- To najgorsze z nieszczęść! - wykrzyknął mężczyzna mówiący z silnym niemieckim akcentem.

Do jego głosu dołączył się następny. Ten głos młody lekarz słyszał po raz pierwszy.

- Nie dość, że na świat przyszedł bachor z nieprawego łoża, to na domiar złego jego matki nie można przedstawić na dworze!

- Z nieprawego łoża, ma pan rację, sir Robercie... - rzekł mężczyzna, który od początku nadawał ton rozmowie i którego głos teraz wydawał się doktorowi znajomy. - Pochodzi z nieprawego łoża. Jest to jednak pierwszy i jedyny potomek płci męskiej króla Anglii. Jedyny dziedzic, który będzie mógł wstąpić po nim na tron.

Doktor zastanawiał się nad tym, kim jest ów „sir Robert”. Czyżby chodziło o Roberta Peela, królewskiego sekretarza stanu? Po raz pierwszy przyszła mu do głowy myśl, że spisek, do którego przystąpił, może się okazać o wiele bardziej niebezpieczny, niż początkowo sądził.

W pozbawionej światła komnacie zapadła długa cisza. Przerwał ją głos tajemniczego sir Roberta.

- Wnuk króla, syn tej biedaczki Charlotty, także urodził się martwy. Król nie ma innych spadkobierców. Nasz władca jest w tak zaawansowanym wieku, że trudno mu liczyć na coś lepszego.

- To nie jego wiek napawa nas obawą... - wtrącił mężczyzna, który aż do tego momentu milczał; mówił poważnym, zdecydowanym tonem - ale trawiąca go choroba, przez którą zmuszony jest unikać słońca i nie może opuszczać swych komnat.

Dyskusję przerwał głos, który doktor już niemal zdołał rozpoznać:

- Nasz król postępuje nierozumnie. Otacza go dwór głupców! Porzucił politykę wiele lat temu. Traci czas na bezsensowne przyjęcia dla dam, artystów i innych nierobów! Lud pragnie króla... a nasz król, zachowując maniery dżentelmena, uchyla się od obowiązków.

Doktor cofnął się o krok. To, co usłyszał, przeraziło go. Któż mógł być tak zapalczywy, szalony lub tchórzliwy, by w ten sposób wypowiadać się o samym Jerzym IV, księciu Kornwalii i Walii? Prawowitym królu Anglii?

- Dziecko przyszło na świat. Co zatem radzicie? - zapytał sir Robert.

- Znane jest wam, panowie, zdanie szkoły w Eton - wtrącił ktoś spokojnym, pewnym siebie głosem.

Mężczyzna, który chwilę wcześniej tak źle wyrażał się o królu, teraz parsknął śmiechem.

- Ależ oczywiście, znamy zdanie szkoły! Jednak w tych okolicznościach decyzja inna

niż ta, którą podjęliśmy wcześniej, jest niemożliwa.

- Może się ona okazać błędem, za który przyjdzie nam słono zapłacić, mój książę - upomniał go mężczyzna z Eton. - Krew krwi woła.

„Mój książę?” - powtórzył w myśli doktor i nagle zaschło mu w gardle. „O jakiej krwi mowa?”

- Najgorszy błąd, jaki można popełnić, to uznanie dziecka albo otoczenie honorami jego niegodnej matki. Wybrano mu imię?

Pytanie zawisło w powietrzu. Odpowiedź na nie mogła paść jedynie z ust doktora.

- Nie, panie - odpowiedział. - Chłopiec nie ma jeszcze imienia.

- A jak brzmi imię jego matki? - zniecierpliwiał się książę.

- May - odpowiedział doktor. Zachwiał się. Szukał w ciemnościach oparcia. - Nazywa się May, dostojni panowie.

- Bardzo dobrze, doktorze - przerwał mu książę i zbliżył się. Jego czarny strój zalśnił jak skrzydło kruka.

- A zatem ja i pan musimy się udać do mojego brata, króla. Wyjawimy mu, że biedna May nie przeżyła porodu i że dziecko urodziło się martwe.

- Książę... to niegodne! - zganił go głos jednego ze spiskowców.

- Chcecie, aby na tronie Anglii zasiadł bękart? - uniósł się książę Wilhelm. Stał kilka kroków od młodego doktora, który teraz mógł dostrzec rysy jego twarzy.

Nikt nie miał odwagi odpowiedzieć na pytanie.

- Czy pójdzie pan ze mną przekazać tę wiadomość? - chciał wiedzieć książę.

Był to ten rodzaj pytania, który nie dopuszczał odmowy.

Doktor powoli opuścił głowę. Ten stojący przed nim mężczyzna miał wkrótce zostać królem. Jeśli nie pojawi się inny następca.

- Co pan zamierza zrobić z dzieckiem i jego matką? - rzucił za nimi sir Robert, zanim opuścili podziemną komnatę.

- Morze jest małżonkiem Anglii... - odpowiedział książę. - Niech weźmie w posiadanie i tę tajemnicę...

Książę Wilhelmem nie był już człowiekiem młodym. Doktor szedł za nim posłusznie i nerwowo przygryzał wargę. Nie wiedział, co robić. Pojął, czemu miał służyć spisek, do którego przystąpił. Prawdziwym celem spiskowców nie było odsunięcie od tronu matki, która właśnie wydała na świat dziecko, ale korona.

Korona największego imperium na świecie.

Lekarz nie mógł się zdobyć na jakikolwiek sprzeciw, po prostu kroczył za księciem.

Nie potrafił zebrać myśli. Wstrząsały nim coraz silniejsze dreszcze. Tysiące pytań przebiegało mu przez głowę.

Kim byli jego rozmówcy z kryjówki w podziemiach Windsoru? Brat króla szedł teraz o kilka kroków przed nim. A inni? Pewny siebie człowiek z Eton, najznamienitszej szkoły w królestwie, która ukształtowała najwspanialsze umysły Anglii. Kto się krył za tym głosem? I dlaczego go nie posłuchano?

Był też z nimi sir Robert. Tak, sir Robert. Prawdopodobnie to Robert Peel, sekretarz stanu. Peel jednak nie szczyił się tytułem sir. Był po prostu panem Peelem. Niedawno założył angielską milicję miejską. Policjantów nazywano: „bobbies” właśnie od jego imienia. Robert. Bobby. Ale nie sir Robert.

A pozostali?

Jeden ze spiskowców mówił z wyraźnym niemieckim akcentem. Doktor wiedział, że część Zjednoczonego Królestwa leży na kontynencie, w niemieckim regionie zwanym Hanower. Być może ostatni spiskowiec pochodził stamtąd? Tylko jaki ukryty cel mu przyświecał?

Te pytania wciąż powracały, ale doktor nie przestawał kroczyć w ślad za księciem. Zdążali w stronę królewskich komnat. Doktor czuł, jak atmosfera gęstnieje. Wreszcie zrozumiał. Szedł prosto w zastawioną pułapkę.

- Proszę nie zdejmować fartucha, doktorze... - nakazał mu książę, gdy byli w połowie drogi. - Jeśli chcemy przekonać mojego brata, że oboje nie żyją... musi ujrzeć krew.

Młodzieniec posłuchał go. W milczeniu wchodził po schodach na piętro, gdzie mieściły się prywatne apartamenty króla. Powietrze pachniało woskiem. Tak długo nie wietrzono tych pomieszczeń, że tkaniny na ścianach i dywany rozłożone na podłogach przeszły zapachami dań, które spożywano w tych wnętrzach. Czuły nos doktora rozpoznał wśród nich aromaty wielu różnych przypraw i ostrą woń alkoholu.

W powietrzu unosił się też inny charakterystyczny zapach - zapach choroby.

Kiedy posuwali się szybkim krokiem w stronę komnat, których doktor nigdy dotąd nie widział, młody spiskowiec miał wzrok wbity w ziemię. Najchętniej rozpląnąłby się w powietrzu.

Guardia królewska rzeczywiście nie zwróciła na niego uwagi. Towarzyszył przecież bratu króla. Nikt nie śmiałby zatrzymać księcia, nawet gdyby przy jego boku kroczył duch admirała Nelsona.

Kiedy mężczyźni weszli do prywatnych apartamentów króla, na progu zatrzymał ich stłumiony okrzyk.

- Ach, bracie. To ty. Wejdz, wejdz. Nie spodziewalem sie... - wyszeptał król Jerzy ukryty pod baldachimem wielkiego łóża. - Roy! Markus! Siad!

Para olbrzymich chartów o podpalanej sierści, przymykając wielkie żółte oczy, usiadła na dywanie. Psy zaczęły powoli obgryzać rozrzucone po podłodze kości.

Król ruszył w kierunku gości. Miał na sobie długą, luźną koszulę, a w dłoni trzymał srebrny, podobny do tulipana, kielich.

- Czemu zawdzięczam tę nieoczekiwaną wizytę? - zapytał.

Jego twarz błyszczała jak oblicze posągu.

Nie czekając na odpowiedź, podszedł do biurka i odsunął ciężkie drewniane krzesło, robiąc miejsce dla brata.

- Chodź, zobacz, to nowy cud! - wykrzyknął. - Popatrz, jaki wspaniały! To prototyp o nazwie tourbillon, który właśnie otrzymaliśmy od naszego przyjaciela zegarmistrza...

Król postawił na biurku srebrny kielich i wyciągnął z eleganckiej złotej skrzynki skomplikowany mechanizm.

- Usiądź obok mnie, mój drogi, i przyjrzyj się temu cudowi. Muszę jedynie znaleźć klucz i nakręcić sprężynę... Będziesz zdziwiony, z jaką dokładnością poruszają się jego koła zębate... - Król odsunął porzucane na biurku kartki... - Klucz... Gdzie ja go położyłem? Widzisz, bracie, mówią, że jest on owocem rewolucyjnej, bo opartej na zniwelowaniu siły grawitacji, myśli...

- Wasza Wysokość... - przerwał mu książę Wilhelm.

Zdziwiony król podniósł wzrok i chyba dopiero wtedy spostrzegł doktora.

I jego fartuch.

- A on? - zapytał, odkładając zegar na biurko. - Kim on jest? I po co właściwie przyszliście?

- Doktorze, proszę przekazać wiadomość... - nakazał mu Wilhelm.

Pułapka została zastawiona i młody człowiek właśnie w nią wpadł.

To z jego ust król miał usłyszeć kłamstwo.

Doktor czuł już zaciskający się na jego szyi sznur.

- Wasza Wysokość... - zaczął. Nie po raz pierwszy zmuszony był kłamać. Ale ten rodzaj kłamstwa nie miał nic wspólnego z nabieraniem kolegów czy zawodowym ukrywaniem prawdy przed pacjentem. - Obawiam się, że muszę przekazać Waszej Wysokości złą wiadomość...

Kiedy wymawiał te słowa, przyszła mu do głowy pewna myśl. W życiu każdego człowieka istnieją granice, po których przekroczeniu nie ma drogi odwrotu. Wrócił w

myślach do ciemnej komnaty i do spiskowców, a potem cofnął się w pamięci do poprzedzającego wszystko momentu, kiedy dołączył do spisku. Przypomniawszy sobie, ile mu obiecano za dotrzymanie obietnicy. To wszystko przywiodło go tutaj.

- Niespełna kilka godzin temu, Wasza Wysokość... zmarła panna May, wydając na świat syna.

Stało się. Oszukał własnego króla.

Właśnie przekroczył granicę. Znalazł się po drugiej stronie. Wszystko to, w co dotąd wierzył, przestało mieć znaczenie.

Widział, jak twarz jego rozmówcy tężeje. Król potrącił ręką kielich, z którego wypłynęła krwistoczerwona rzeka. Zalała mechanizm i rozrzucone na stole dokumenty.

Później usłyszał, jak załamany władca zaszlochał.

- A dziecko? - zapytał król. - Co się stało z dzieckiem?

- To był chłopiec, sir - odpowiedział jego brat. - Ale on także zmarł.

- Zmarł? - krzyknął król Jerzy. - Jak to, zmarł? Przyznaj się, co mu zrobiłeś?

Młody lekarz cofnął się o krok. Psy uniosły pyski i obnażyły długie białe zęby. Wzrok miały utkwiony w jego zakrwawionym fartuchu.

- Przykro mi... - wybełkotał. - To nie moja wina...

- Przykro? Przykro?! Tobie... Wam... jest przykro, a ja... To znaczy, że jestem przeklęty! Moja krew jest przeklęta!

Chwycił mechanizm i cisnął nim przez pokój.

Młody doktor usłyszał świst i uchylił się instynktownie.

- A teraz wynoście się! Bracie, wyjdź z tej komnaty! Precz!!! I zabierzcie ze sobą wszystko! Znikajcie! - krzyczał król Anglii, osuwając się na swoje wielkie krzesło.

Królewski brat i młody doktor szybko spełnili wolę króla.

Zamknęli za sobą drzwi i ruszyli pustymi korytarzami. Nic do siebie nie mówili. Słychać było jedynie odgłosy ich pospiesznych kroków

- Dobra robota - odezwał się w końcu książę Wilhelm.

Młody doktor nie odpowiedział. Przez wielkie okna widział, jak czarna karoca w pośpiechu opuszcza zamkowy dziedziniec.

- Co się stanie z tą kobietą? - zapytał tak cicho, że sam nie był pewien, czy w ogóle wypowiedział na głos to pytanie. - I co się stanie ze mną?

Królewski brat podał mu ciężki przedmiot zawinięty w poplamioną chusteczkę.

- Nadszedł czas, kiedy sami musimy zapomnieć o swoim istnieniu - rzekł książę, kiedy młodzieniec rozwijał zawiniątko, w którym znajdowała się jego pierwsza zapłata.

Był to złoty chronometr, ten sam, którym cisnął król.

Małe zębate kółka tourbillonu przypominały mikroskopijne złote owady.

Doktor przyglądał się im z uwagą.

Kółka mechanizmu były nieruchome. Ale zębate koła maszyny spisku już zostały wprowadzone w ruch.

Czarna karetka szybko oddalała się od zamku Windsor.

Król uważał doktora za winnego śmierci swojego jedynego dziedzica.

A ten złoty zegar owinięty w chustkę poplamioną winem przypominał o bezlitosnym upływie czasu.

„Muszę uciekać, zanim będzie za późno” - pomyślał młody doktor. Ale gdy napotkał twarde spojrzenie księcia Wilhelma, zaczął wątpić, czy będzie to w ogóle możliwe.

May zaciskała zęby z bólu, opierając się o twarde siedzenie czarnej karocy. Zaciskała zęby i modliła się, aby wszystko dobrze się ułożyło. Jednak nigdy nie miała talentu do żarliwej modlitwy, a w jej krótkim życiu, jak dotąd, nic nie układało się pomyślnie. Jej historia była prostą opowieścią o biedzie i nieustannym strachu, których mimo wyjątkowej urody nie udało się jej przezwyciężyć.

May była piękna. Uśmiechała się jak wróżka z bajki, rozsiewając dokoła gwiazdny pył i rozświetlając uśmiechem cień najgęstszego lasu.

Jednak tej nocy May nie miała siły na uśmiech.

Wokoło panowała ciemność. Jakby niebo się wypaliło.

Gdyby było odrobinę jaśniej, może lepiej zrozumiałaby to, co się z nią działo. Karetka jechała wyboistą drogą; tuż obok niania przyciskała do piersi śpiące jak gdyby nigdy nie dziecko. May widziała jedynie zarys jego małej główki. Chciała je utulić, ale nie miała siły. Jej ciało było puste i obolałe. Ledwie udawało jej się utrzymać oczy otwarte. A gdy tylko je zamykała, zapadając w niespokojną drzemkę, karoca podskakiwała na jakimś wyboju, budząc ją.

- Tak mi przykro, pani - mówiła wtedy niania i chłodziła jej czoło wilgotną chusteczką.

Rozdział

Dziecko spało spokojnie. Przed wejściem do karety umyło je i ubrano jak prawdziwego księcia.

Dokąd oni jechali tak w środku nocy? May była zbyt zmęczona, aby się nad tym zastanawiać.

Noc jednak szybko upływała. Konie dyszały zmęczone, a z pysków ciekła im piana.

May nie otrzymała słowa wyjaśnienia. Nie wiedziała, dokąd zdążają ani dlaczego w karecie był jeszcze obcy mężczyzna, który od początku drogi nie wymówił ani słowa.

To był zły człowiek. Wokół niego unosił się zapach śmierci.

Dokąd ich wiózł?

May oddychała powoli. Starła się odzyskać siły.

Nagle woźnica ściągnął cugle, konie gwałtownie skręciły i zaryły kopytami w ziemię. Karoca zatrzymała się. Mężczyzna wyprostował się gwałtownie jak uderzony batem. Wyjrzał z karocy i z jego ust padły pierwsze słowa, które May mogła usłyszeć.

- Nie ma go tu - powiedział.

„Nie ma tu, ale czego?” - pomyślała May. „Kogo tu nie ma?”

Dziecko niespokojnie poruszyło się w ramionach niani.

Mężczyzna otworzył drzwi karety i wyskoczył na zewnątrz.

May usłyszała, jak pytał, co się dzieje.

Z ciemności wyłoniły się ni stąd, ni zowąd jakieś sylwetki. May zobaczyła płonące pochodnie. Dziecko znowu gwałtowniej się poruszyło. May próbowała zdobyć się na wysiłek, by wyjrzeć z karety, ale ciało odmówiło jej posłuszeństwa.

- O mój Boże... - wyszeptała cicho niania, która przez okno obserwowała, co się dzieje na zewnątrz.

Zaniepokojona May zapytała ją, czy coś się stało.

- Są tu uzbrojeni ludzie, pani... - wyszeptała niania - kłóć się...

„Uzbrojeni ludzie” - pomyślała May. „Uzbrojeni przeciwko niej i jej dziecku?”

- Tego nie było w planie! - wykrzyknął mężczyzna, który towarzyszył im w podróży.

- Plany się zmieniły - odrzekł ktoś inny. Ten ktoś miał niski i spokojny głos. Ten ktoś miał władzę.

- Skąd mogę wiedzieć, że się zmieniły?

- Bo mówi to rektor Eton - odparł pewny siebie głos. - Nie jestem przyzwyczajony,

aby tłumaczyć się z tego, co mówię. Proszę się odsunąć, a wszystko się ułoży.

„Wszystko się ułoży” - pomyślała w karocy znużona May.

„Oczywiście, że wszystko się ułoży”. Poszukała wzrokiem dziecka i delikatnie je pogłaskała. Zamknęła oczy i znów je otworzyła, kiedy karetę ruszyła.

Coś się jednak zmieniło.

W powietrzu unosił się inny zapach.

Obok siedział... ktoś inny.

- Proszę się nie obawiać, madame - powiedział rektor Eton. Siedział na tym samym miejscu, które chwilę wcześniej zajmował tamten mężczyzna. - Teraz nikt już nie skrzywdzi pani ani pani syna. rozdział trzeci

May z trudem zbierała myśli. Rektor Eton nazwał ją madame. Nikt nigdy wcześniej nie zwracał się do niej w ten sposób.

Uśmiechnęła się i podziękowała mu spojrzeniem. Zamknęła oczy, a potem znów je otworzyła. Myśli plątały jej się w głowie. Dlaczego ktoś miałby wyrządzić jej krzywdę? Jej syn był synem króla. A ona... ona była... Ona była May. Była nikim.

Była kobietą bez imienia, bez przeszłości, która wydała na świat bezimienne dziecko bez przyszłości.

Uniesiono ją, jakby była piórkem. Nie czuła bólu, kiedy wynoszono ją z karety. Poczwała natomiast wiatr, chłód i wilgoć, a zaraz potem usłyszała szum morza i huk spienionych fal.

Otworzyła oczy.

„A zatem to tu mnie przywieźli...

Nad morze.

Dlaczego nad morze?” - pomyślała.

Była owinięta parą ciepłych koców, ale nachalny wiatr przedzierał się przez wełnę, a chłód szczypał w skórę.

Trochę dalej, tam, gdzie fale rozbijały się o skały, widać było ciemną sylwetkę okrętu, jego proste maszty i zwinięte żagle. Statek leniwie kołysał się na falach.

Przed okrętem widać było ustawionych w szeregu kilku mężczyzn. Gdyby May mogła widzieć ich wyraźniej, rozpoznałaby w nich marynarzy kolonialnych.

„Ale po co... okręt kolonialny?” - myślała.

Zaniepokojona poszukała spojrzeniem dziecka. Spało w objęciach niani, która szła tuż za nią. May uspokoiła się. Rektor Eton szedł przed nimi.

- Panie... - zwróciła się do niego proszącym tonem. - Panie!

Odwrócił się.

- Błagam, madame - odparł mężczyzna. - Proszę oszczędzać siły. Jest pani jeszcze bardzo osłabiona...

- Co my tutaj robimy?

- Staramy się zapewnić wam bezpieczeństwo. „Bezpieczeństwo” - pomyślała May. „Ale czy nie byliśmy bezpieczni w zamku Windsor? Czy nie był to zamek króla, najbezpieczniejsze miejsce w całej Anglii?”

- Czy mogę zadać panu pytanie?

- Proszę.

- Czy pan... nie jest przypadkiem bratem króla?

Przez twarz rektora przebiegł uśmiech, ale nie był to uśmiech kogoś, kto dobrze się bawi, i zniknął tak samo nagle, jak się pojawił.

- Nie, pani. Nie jestem spokrewniony z rodziną królewską. Zajmuję się astronomią.

- Ach - westchnęła May i w tym momencie uniosły ją ku statkowi czyjeś ramiona. - A zatem potrafi pan odczytywać z gwiazd przyszłość?

- Coś w tym rodzaju, tak.

- A skoro potrafi pan odczytać przyszłość z gwiazd... może pan mi powiedzieć, co stanie się ze mną i z synem kr...

Dłoń rektora Eton spoczęła delikatnie na ustach May.

- Proszę nigdy nie wymawiać tego słowa, madame - poradził.

- Czego mam nie mówić?

- Proszę nigdy nie mówić, kim on jest. Proszę już nigdy o tym nie wspominać.

May uśmiechnęła się smutno. Tak naprawdę wiedziała o tym od zawsze. A uśmiech, który się pojawił na jej ustach, był bardzo podobny do tego, który przed chwilą przebiegł przez twarz rektora. Król.

Tego słowa już nigdy więcej nie powinna wymawiać.

- To dla dobra pani i pani syna - ciągnął rektor. - Proszę o wszystkim zapomnieć. Za chwilę wyruszy pani w długą morską podróż. Kiedy dojdziecie do brzegu, niczego wam nie zabraknie. Będziecie żyć spokojnie i, mam nadzieję, bez większych problemów. Być może lepiej, niż moglibyście kiedykolwiek żyć tutaj.

- Czy pan mi to obiecuje?

- Obiecuję. Ale pani, w zamian za to, obieca mi, że zapomni to słowo.

- Jakie słowo? - zapytała May, zwracając wzrok ku nocy pachnącej solą morską.

- Czyli pani rozumie, madame? Dobrze, nie wątpił w to. Szybko się pani uczy. -

Rektor Eton odsunął się i na miejscu jego ciemnej twarzy pojawiły się przed oczami May dwie gwiazdy na firmamencie ciemnego nieba.

- Mam ostatnią prośbę... - powiedziała, kiedy zauważyła, że kierowali się w stronę luków ogromnego okrętu. Słyszała c90 skrzypienie drewna i wydawało jej się, że ryczy ono jak ogromny drewniany wół. - Panie, który czytasz w gwiazdach, ostatnia rzecz.

Rektor ponownie postąpił ku niej.

- Obawiam się, że musi pani natychmiast ruszać, madame. Mamy już niewiele czasu. Dzisiejszej nocy wszystko jest tajemnicą.

- Nie - powiedziała May z trudem. - Jest coś, o czym powinienes wiedzieć, panie. Coś, co nie powinno zostać tajemnicą.

- Co? - wyszeptał stary rektor.

- Jak masz na imię, panie?

Mężczyzna wydawał się zaskoczony, ale odpowiedział:

- James, madame. Nazywam się James.

May zebrała wszystkie siły, aby unieść rękę i pogłodzić nią dłoń rektora.

- Jest pan dzielnym człowiekiem, Jamesie.

- Szybciej, wsiadajcie już! Albo straciecie okazję na zamorską podróż! - ponaglił ich czyjś głos.

- Nikt nigdy wcześniej nie zwracał się do mnie madame, aż do tego wieczora. Mój synek...

- Synek pojedzie z panią, proszę się nie obawiać - pośpieszył z wyjaśnieniem rektor. Fale pieniały się przy kilu okrętu. - Wasze bagaże są na pokładzie, kapitan wie o wszystkim. Zobaczycie, że...

Zdenerwowana May potrząsnęła głową. Ten mężczyzna wciąż mówił. Nie mogła powiedzieć tego, co chciała.

- Mój synek... - rzekła z trudem, patrząc na jedną z gwiazd na firmamencie - będzie miał na imię James. Tak jak ty, panie. Będzie się nazywał James Fry.

I powiedziawszy to, osunęła się zemdlona.

Rozdział

Po May i jej synku zaginął wszelki ślad, jak to bywa w podobnych wypadkach. Okręt, na którego pokładzie odbyła zamorską podróż, należał do Brytyjskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej i był ubezpieczony przez Society of Lloyd's. Firma ta właśnie wtedy odkryła profity płynące z obsługi narodu, który wysyłał swoich najlepszych ludzi w długie i niebezpieczne podróże morskie, by szukali szczęścia w koloniach. Odegra ona jeszcze pewną rolę w naszej opowieści przy bardzo szczególnej wypłacie... Ale nie uprzedzajmy wypadków.

May zeszła na ląd w Koczin, na zachodnim wybrzeżu Indii, i stamtąd w strugach deszczu została przewieziona do spokojnego miasta Triwandrum, o którym się mówiło, że jest świętym miastem Wisznu. Przyjaciele z Eton, którzy jej pomogli w ucieczce, opłacili z góry dziesięcioletni czynsz za mieszkanie, a dzięki kufrowi z ubraniami i dodatkami, który od nich dostała, mogła otworzyć zakład krawiecki. May nie narzekała na nowe życie: miasto było gwarne i ludne jak wszystkie miasta zachodniego wybrzeża, ale miało też otwarte przestrzenie, aleje cienistych palm i piękne parki, gdzie można się było zagubić i rozmarzyć. Długa piaszczysta plaża rozciągała się za wzgórzami. Na północy kończyła się bagnami, które zamieszkiwały flamingi, a na południu - ostrymi skałami, o które rozbijały się fale.

Wbrew obawom synek nie rozchorował się podczas morskiej podróży ani nie zaraził żadną z licznych chorób, które nawiedzały kolonie. Często jednak bywał smutny i bardzo kochał ocean. Być może dlatego, że spędził na nim pierwsze miesiące życia.

Kiedy James skończył roczek, jego tata - król - umarł, zostawiając, co było do przewidzenia, sukcesję swojemu bratu - księciu Wilhelmowi. To on, zwany później królem żeglarzy, pożegnał umierającego jako ostatni.

Mówiono jednak, że Wilhelm, powodowany okrucieństwem, a może szaleństwem, wyszeptał konającemu bratu na ucho, że jego syn żyje. Jerzy szeroko rozwarł oczy i na znak ostatniego sprzeciwu wydał z siebie nieludzki okrzyk, który odbił się echem w korytarzach zamku Windsor i przeszył dreszczem tych wszystkich, którzy mieli nieszczęście go usłyszeć.

Nieszczęśliwe okazało się także panowanie królewskiego brata.

Minęło siedem lat, a król nie doczekał się następcy i znów wszyscy zastanawiali się dlaczego. Ludzie uważali, że kraj potrzebuje młodego, silnego władcy, zdolnego unieść na swoich barkach ciężar rządzenia imperium.

A w Triwandrum, na drugim końcu świata, James właśnie skończył osiem lat i nauczył się wspinąć po wygiętych liściach palm kokosowych.

Wstawał świt. Miejski gwar narastał powoli i brzmiał jak odwieczny lament.

Wraz z brzaskiem budziły się tysiące ludzi, żyjących na ulicy. Przygotowywali się, by zacząć nowy dzień.

Zgiełk różnych dźwięków wzrastał się. Ptaki śpiewały słońcu pieśń pochwalną. Były to długie i głośne trele. Po nich rozlegał się skrzek papug, a wreszcie krakanie rozczarowanych końcem nocy kruków.

W Indiach słońce wstawało wcześniej niż w innych częściach świata.

I szybciej zachodziło.

Porą spotkań był najczęściej wczesny ranek, gdy zaduch i upał nie opanowały jeszcze miasta. O tej porze wiatr rozwiewał czerwony kurz, który był wszędzie.

James wyszedł z domu, nie pożegnawszy się z nikim. Zaczął biec.

Pod pachą miał porządnie złożone zawiniątko.

Biegł boso, sprytnie unikając wszystkiego, co pojawiała się na jego drodze: błotnistych kałuż, śmieci, obwoźnych handlarzy i wózków ciągniętych przez zebu.

Zwolnił dopiero w gęstym, ruchliwym tłumie na targu. Byli tam handlarze miedzią i kolorowymi tkaninami; sprzedawano figurki bóstw i święte obrazki; rozstawiano kosze wypełnione ziarnem, rozkładano słodycze, korzonki i stosy owoców. Wyciągnął rękę i już, już miał zwęździć banana, gdy krzyk sprzedawcy i nagły świst kija w powietrzu sprawiły, że zmienił zdanie.

- James! Ani się waż! - krzyknął z dezaprobatą ciemnooki i ciemnowłosy mężczyzna. Siedział przy stoliku i najwyraźniej dobrze znał chłopca. Później roześmiał się, splunął na ziemię i zawołał za nim z groźbą w głosie: - Niech no ja cię dorwę, smarkaczu! Niech no ja cię dorwę!

Ale smarkacz nie dał się złapać, zniknął w kolorowym tłumie powroźników. Ruszył w stronę warsztatów kotlarskich i olbrzymich latarni. Znalazł się w cieniu bogatych pałaców, ozdobionych wielkimi rzeźbami wieloręcznych bóstw.

James biegi w górę błotnistą drogą, po której bokach wznosiły się naprędce sklecone drewniane domki i baraki. Biegąc, patrzył na nie, bo wiedział, że mieszkały tam sprzedawczynie kapeluszy. Były to piękne kobiety, które raz do roku obcinały sobie włosy dużymi kościanymi nożyczkami. Robiły z nich potem lśnące peruki.

„Co za dziwaczny pomysł” - myślał James. „Na swoje własne włosy nakładać inne!”

„Może dzięki temu poznaje się sny innych osób...” - zażartowała pewnego dnia jego mama, która była krawcową. Odłożyła igłę i nitkę i poczochnała delikatnie jego włosy. A przynajmniej chciała to zrobić, bo James odskoczył - nie lubił, kiedy go dotykano. Nigdy

wcześniej nie pomyślał, że sny mogą rodzić się we włosach. Ale bardzo mu się spodobała ta myśl i zawsze o niej pamiętał.

„Widzisz, ile masz włosów? To znaczy, że masz głowę pełną snów! Bierz po monecie za sen, James, a staniemy się bogaci” - przypomniał sobie słowa mamy.

To była prawda: James miał tysiące różnych snów i marzeń. Za każdym razem, kiedy pozwalał swobodnie płynąć myślom, wyobrażał sobie statek z kilem obłożonym białymi ostrygami, złotą rybkę, która opowiada rymowane bajki; tamburyny i dzwonki, wiekowe drzewa skrywające piramidę. Śnił o zrujnowanych miastach, w których mieszkały mądre słonie, i o bursztynowych pałacach ze ścianami, w których dotąd tkwiły uwięzione owady, o bóstwach z kości słoniowej i nefrytu, stojących na szczytach nieznanych skał.

Zaczynał marzyć, gdy przestawał biec, i śnił o tańczących pod gwiazdami szpadach, gigantycznych ogniskach na plażach pokrytych różowymi muszelkami, kufrach pełnych koralowców i straszliwych książętach, ubranych w stroje ozdobione haftem w srebrne liście.

Sny. Wyobrażenia. Legendy. Opowiadania. To one wypełniały noce i dni tego chłopca, który gdy nie marzył, biegł przez gwarne miasto, nie słysząc hałasów i krzyków, nie czując zapachów, uważny, by nikogo nie dotknąć, zwykle z przesyłką pod pachą, s za której dostarczenie otrzymywał mały napiwek. Był to jego wyścig z samym sobą.

James dobiegł do wysokich murów świątyni Śiwy. Ponieważ nie był ani braminem, ani Hindusem z wyższej kasty, nie mógł tam wejść. Był tylko smarkatym cudzoziemcem, którego oczy miały zbyt intensywnie niebieski kolor, aby mógł wśliznąć się do środka niezauważony. Złota kopuła górowała nad otaczającymi ją drewnianymi domkami.

Świątynię tworzyły wielka piramida i otaczające ją olbrzymie mury ozdobione szeregiem posągów i rzeźbionych potworów. Wierni codziennie zawieszali na nich naszyjniki, diademy i girlandy ze świeżych kwiatów. Kwiaty wydzielały woń tak słodką i intensywną, że zdawała się przenikać nawet przez kamienie. James, nie zatrzymując się, skręcił w kolejną krętą alejkę, która przecinała rynsztok. Ominął wielki czarny posąg, tłusty i wytarty od codziennego dotyku spoconych rąk, i wspiał się na górę, w stronę furtki prowadzącej do willi pana Humble’a.

Dopiero wtedy stanął.

Sprawdził, czy ma wciąż ubranie pod pachą.

Wziął głęboki wdech.

I wszedł.

Rozdział

Długie popękane liście palmy kokosowej wolno kołysały się we mgle czerwonego kurzu. Dom Humble'ów nie różnił się od innych, zbudowanych w stylu europejskim: miał europejski dach, okna wyposażone w siatki przeciwko owadom, które broniły im dostępu do wnętrza, białe kolumnienki przed patio i żelazne stoliki do picia herbaty. Trawnik przed domem był równo przystrzyżony.

James zawsze czuł się w nim nieswojo. Panowało tu nieomal namacalne, pełne szacunku milczenie. Wydawało się, że całe pogrążone w zgiełku i chaosie miasto, które zostawił za furtką, nie chciało zakłócić tej ciszy.

James przeszedł główną alejką, okrążył dom otoczony tropikalnymi drzewami i skierował się na tyły willi.

Zajrzał do środka przez kuchenne drzwi.

Lniane zasłony, mające chronić przed muchami, unosiły się poruszane lekkimi podmuchami wiatru.

- Pani Charu? - zawołał James, zatrzymując się w progu.

Pani Charu była służącą pana Humble'a, a nie panią domu, ale James przyzwyczał się tak do niej zwracać.

- James, chłopcze! - dobiegł go piskliwy głos dochodzący z cienistego wnętrza kolonialnego domu.

- Przyniosłem nową marynarkę - powiedział, robiąc krok do przodu i przechodząc przez zasłony. Zaciągnął się głęboko powietrzem, z przyjemnością wdychając unoszący się z kuchni zapach klarowanego masła, cukru, kawy i cynamonu.

Zaburczało mu w brzuchu.

- Wejdz! Nowa marynarka pana! Dokładnie we wtorek rano, tak jak obiecała mama! Bardzo dobrze! Och, to naprawdę bardzo dobrze!

Wielka postać owinięta w płomienne sari wyłoniła się z wnętrza. Uśmiech pani Charu był biały jak kozie mleko, a jej oczy błyszczały szczególnym blaskiem. Mimo potężnej figury poruszała się niezwykle szybko.

- Jesteś grzecznym chłopcem, James! - powiedziała, biorąc od niego marynarkę. Kawalek papieru, w który była opakowana, zafalował jak olbrzymi motyl. - Pan Humble będzie zadowolony! To ta w żółtą jodełkę! Jaki szyk! Chcesz coś zjeść?

- Obawiam się, że nie mam czasu, pani Charu... - Jednak zaraz zmienił zdanie,

przekonał go apetyczny zapach śmietany i wanilii, który unosił się w całym domu. Miał nadzieję, że służąca będzie nalegać.

- Ależ nie, chłopcze! Tylko troszeczkę... Musiałeś przecież przebiec całe miasto! I popatrz tylko, jaki jesteś chudy! Chudy jak fakir! - Spojrzała na niego z dezaprobatą. - Nie sądzę, żeby twoja mama się gniewała, jeśli wrócisz do domu z pełnym brzuchem!

James się uśmiechnął.

- Jeśli pani nalega, pani Charu... Ale tylko mały kawałek, tylko... kawałek - wyszeptał.

- Dzielny chłopiec, po prostu dzielny chłopiec... Chodź. Usiądź tu, z przodu... Odwieszę tylko tę marynarkę i zaraz wracam! Twoja mama ma szczęście, że może na ciebie liczyć i że ma takiego pięknego synka! - Mówiąc to, zniknęła z tą samą szybkością, z jaką się pojawiła.

Serce Jamesa zabiło głucho, czuł, jakby zaciskała się wokół niego jakaś opaska. Usłyszał krakanie i zobaczył odlatującego ptaka. Usiadł przy wielkim stole, na krześle, które wskazała mu kobieta. Oparł łokcie na wyheblowanym drewnianym blacie i czekał.

Pani Charu szybko wróciła, nie podejrzewając nawet, co przeżywał jej mały gość.

- A zatem, James, które chcesz? - zapytała, unosząc ściereczkę, która przykrywała tacę pełną ciastek.

„Chcę być jak kruk i odlecieć daleko stąd” - pomyślał James. „Chcę pofrunąć wysoko, daleko, w miejsce, gdzie nie słychać ludzkiego gwaru”.

- Ciepłą bułeczkę - odpowiedział i uśmiechnął się. - Z kremem, jeśli jest.

Wielkie aleje były niczym świątynie cienia. Kiedy południowe słońce świeciło nad miastem, drzewne tunele stanowiły przed nim jedyne schronienie. Pod wielkimi kokosowymi palmami biegły wąskie zielone uliczki usiane trzciniowymi chatkami, granitowymi świątynkami i słomianymi domkami. O tej porze w mieście panował bezruch. Było zmęczone, spocone i pozwalało się chłodzić wiatrowi niosącemu czerwony pył. Ludzie odpoczywali w cieniu, siedząc na ziemi tuż obok zwierząt.

James lubił te najgorętsze momenty dnia, ponieważ wtedy mógł przemieszczać się po mieście bez przeszkód.

Po wyjściu z willi Humble'ów poszedł w stronę zbudowanych przez maharadżę fabryk terakoty, a potem do niemal pustego ogrodu zoologicznego. Miejscowa ludność rzadko tu zaglądała. James mijał wybiegi dla gazeli, sadzawki z krokodylami i trawniki, na których rosły różne egzotyczne rośliny. Jak zwykle zatrzymał się przed grubą bambusową kratą. Ludzie mówili, że w tej części ogrodu mieszka tygrys. Chłopiec czekał, aż się pojawi. Jednak, tak jak wiele razy wcześniej, zwierzę ukryło się przed spojrzeciami ludzi. James zaczął nawet

podejrzewać, że żaden tygrys nie istnieje. Rozczarowany ruszył po chwili dalej alejkami posypanymi drobnym piaskiem. Między bujną roślinnością widać było otwarte altanki, w których wieczorami urządzano koncerty.

James postanowił wspiąć się na najwyższy taras ogrodu znajdujący się nad wybiegiem dla małp i papuzim pawilonem.

Kiedy już był na górze, zachwyił go roztaczający się stamtąd widok. Z jednej strony wznosił się pałac maharadży, z drugiej - jedno za drugim - wzgórze miasta, z wapiennymi, wybielonymi przez słońce domkami. W tle lśnił wielki ciemnoniebieski jęzor oceanu. Oczy Jamesa rozbłysły. To był jego cel, zobaczyć z bliska ocean.

Wody przybrzeżne Malabaru były ponoć dzikie i nieprzyjazne - kryły się niebezpiecznych prądów.

Mimo to - od czasu do czasu - białe żagle przesuwały się po tej sięgającej po horyzont powierzchni. Statki zawijały potem do małego portu. Wyładowywano z nich towary z Europy i Arabii, a wnoszono bawełnę, miedź, terakotę i olej palmowy. Czasami wprowadzano na nie pasażera, rodzinę kolonialistów albo urzędników Kompanii. Zdarzało się też, choć znacznie rzadziej, że ze statku schodził jakiś wygnany z ojczyzny szlachcic. Albo romantyczny podróżnik.

Jeśli ktoś nie chciał podróżować statkiem, przyjeżdżał koleją żelazną. Ale według Jamesa to nie było to samo. Morze wyzwalało w chłopcu marzenia, a pociąg go przerażał, choć nigdy nie widział z bliska lokomotywy, a swojej podróży na statku nie pamiętał.

Rozdział

Tego dnia zmrużył oczy, nakrył je daszkiem dłoni i zapatrzył się w odległy horyzont. Po chwili zobaczył okręt. Ciął fale pod pełnymi żaglami, które z oddali wyglądały jak małe trójkąciki.

Serce mocniej zabiło mu w piersi. „Kto wie, czy zawinie do naszego portu” - pomyślał. „I kto wie, co przewozi pod pokładem!”

Nagle usłyszał dochodzący z tyłu delikatny dźwięk dzwoneczka, który wytrącił go z zamyślenia.

Kątem oka zdążył jedynie zobaczyć zbliżającą się małą postać. Szybko przeskoczył przez balustradę tarasu i ukrył się wśród liści bananowca.

Ukucnął i obserwował z ukrycia nowo przybyłych.

Okazało się, że dzwoniły bransoletki zawieszane na kostkach małej dziewczynki. Szła w towarzystwie nauczyciela, mężczyzny o długiej białej brodzie, w jasnoszarym ubraniu i z wielkim czerwonym turbanem na głowie.

Ta dwójka skierowała swe kroki na ten sam taras, z którego przed chwilą James podziwiał ocean.

Zamiast po cichu odejść, chłopiec ukrył się głębiej wśród liści i ciekawie przyglądał się obcym. Dziewczynka miała piękne kruczoczarne włosy, które okalały małą, doskonale proporcjonalną buzię. Jej nagie ramiona ozdobione były złotymi bransoletami, a z uszu zwisały długie brylantowe kolczyki.

Zatrzymała się kilka kroków od kryjówki Jamesa, wskazując morze w oddali.

- Czy to może ten statek, mistrzu? - zapytała.

Jamesa zaskoczyły jej słowa. Księżniczka mówiła bowiem po angielsku. Mówiła źle, ale język ten brzmiał w jej ustach jak jakieś tajemnicze egzotyczne narzecze.

James używał angielskiego w rozmowach z mamą, ale tylko wtedy, kiedy nie chcieli, aby ktoś ich zrozumiał. Przed ośmiu laty, kiedy przyjechali do Triwandrum, sahibowie, czyli Europejczycy, nie byli jeszcze tak liczni, więc angielski służył im jako zaszyfrowany kod.

Mistrz nie odpowiedział. Zbliżył się do księżniczki, wyciągnął zza paska małą mosiężną lunetę, rozsunął ją i popatrzył.

- To trójmasztowiec, na którym powiewa angielska flaga, moja mała Shileily... - rzekł.

Imię księżniczki zabłyszczało jak skarb pośród piasku. „Shileily” - powtórzył w myślach James. „Jakie urocze imię”.

- Szkoda, że z tego miejsca nie jestem w stanie nic więcej zobaczyć - ciągnął mężczyzna.

James także miał trudności z zobaczeniem czegoś więcej. Odsunął jeden z zielonych liści i zobaczył szczupłą stopę małej księżniczki, owiniętą w skarpetkę tak delikatną, że wydawała się być zrobiona z pajęczyny.

- Może ten okręt zawinie do portu i zawiezie mnie daleko stąd! - wyszeptała Shileily.

- Księżniczko, nie wolno tak mówić...

Ale ona wciągnęła głęboko powietrze zniecierpliwiona.

- A ja ci mówię, że któregoś dnia zjawi się statek, którym odpłynę! Jego kapitanem będzie Król Mały we własnej osobie, lub kalif albo arabski książę!

Westchnienie małej księżniczki rozbawiło mistrza.

- Masz rację, księżniczko - odpowiedział spokojnie. - Jestem przekonany, że tak właśnie się stanie.

- Pewnie, że tak się stanie - uparcie potwierdziła księżniczka. - Wcześniej czy później wypłynę w podróż morską wraz z moim małżonkiem!

„Dobrze powiedziane” - pomyślał James i uśmiechnął się.

Mistrz wciąż obserwował morze przez lunetę.

- A co byś powiedziała, gdybyśmy teraz wrócili do naszych zajęć? - zapytał niskim głosem.

- Och, nie! - westchnęła po raz drugi. - Znów ta matematyka!?

- To dzięki zeru podbiliśmy świat, mała księżniczko...

- Nie teraz, spójrz! Drogą morską zbliża się okręt, a ty chcesz mi mówić o liczbach? Jesteś okrutny!

Rozbawiony tą rozmową James zrobił niebacznie krok do przodu i złamał gałązkę. Niemal od razu znieruchomiał, ale było już za późno.

- Co to? - zapytał mistrz.

Mała księżniczka szybko się schyliła, spojrzała przez kolumnienki tworzące balustradę tarasu i znalazła się twarzą w twarz z Jamesem.

Dwójka dzieci przez chwilę patrzyła na siebie zaciekawiona. Nie wymówili ani słowa.

Oczy małej księżniczki były ogromne, a twarz tak piękna, że James musiał się do niej uśmiechnąć.

- Jeśli chcesz, to ja cię porwę... - wyszeptał po angielsku.

Ku jego wielkiemu zdziwieniu księżniczka odwzajemniła uśmiech, a zaraz potem wyprostowała się, potrząsając bransoletkami.

- To tylko zwierz! - powiedziała do mistrza. - Pewnie jedna z tych białych małp, których teraz wszędzie pełno.

James słysząc jej słowa, zaczerwienił się aż po czubki uszu.

- Ach, o tych małpach mowa... - wyszeptał mężczyzna. - Trudno będzie utrzymać je na dystans.

- To prawda! - wykrzyknęła. - Ale czy jest jakieś miejsce, w którym mogłyby spokojnie przebywać i nie przeszkadzać?

- O ile wiem, mała księżniczko, to nie... - odpowiedział mężczyzna, wsuwając na powrót lunetę za jedwabny pasek.

James faktycznie nie miał swojego miejsca. Nie czuł, że jest u siebie, gdy przemierzał uliczki Triwandrum, nie czuł się u siebie w europejskiej szkole (pojawił się tam kilka razy), nie czuł się tak nawet we własnym domu.

Kiedy księżniczka i mistrz opuścili taras, wyszedł z kryjówki i uświadomił sobie, że pora wracać. Wkrótce zatrzymał się na wprost szyldu.

Napis w lokalnym języku głosił:

MEDALOWY EUROPEJSKI ZAKŁAD KRAWIECKI MODNE UBRANIA SZYTE
NA MIARĘ a poniżej, mniejszymi literami dodano:

Szyjemy i naprawiamy odzież

Zakład oczywiście nigdy nie otrzymał żadnego medalu. Mama Jamesa zawiesiła jedynie na białych ścianach kokardy i dyplomy, które miały nadać temu miejscu charakter profesjonalnej i cenionej firmy. W rzeczywistości zakładzik był mały i skromny, ale czysty i miał klasę. Wisiało tam wiele tkanin, stały dwa manekiny, wielkie lustro i - przede wszystkim - maszyna do szycia z 1833 roku zaprojektowana przez Thimonniera.

James nie wiedział, od kogo mama ją kupiła. Ale choć urządzenie pojawiło się już kilka lat temu, wciąż przychodzili tu ciekawscy, którzy chcieli na nie popatrzeć.

Igła i nitka zszywały dwa kawałki materiału z niezwykłą szybkością, ku ogromnemu zdziwieniu obecnych. May i jej pomocnice szyły, cerowały, skracały i rozmawiały ze sobą przez większość dnia.

Mieszkali za zakładem - w dwupiętrowym ceglany domu, którego okna wychodziły na małe podwórko - May, James i właściciel domu. Jego pokoje znajdowały się po drugiej stronie podwórka. Pan Lalchand był mężczyzną potężnego wzrostu, o bardzo ciemnej skórze i podkrążonych oczach. Miał szczególny talent - rzeźbił w papier mache. Część czasu spędzał w przydomowym ogrodzie (zajmował się hodowlą roślin), a część w magazynach, gdzie przygotowywał wozy na uroczystą procesję. Był powolny, ale posiadał niezwykły dar

parodiowania, czym rozśmieszał May i złościł Jamesa.

„Jak to się dzieje, że nie płacimy za wynajem panu Lalchandowi, mamó?” - zapytał pewnego dnia James. Był wściekły, że ten mężczyzna snuje się zawsze w pobliżu szwalni. „Nazywa mnie Jammy... A ja nie chcę, żeby mnie nazywał Jammy”.

„To dobry człowiek” - odpowiedziała May.

I to było wszystko, czego się o nim dowiedział.

- James, to ty?

James zajrzał do szwalni. Mama siedziała za maszyną, a na jej kolanach leżało długie białe prześcieradło.

- Jak się miewa mój chłopiec? Wszystko w porządku? Dlaczego wróciłeś tak późno?

James opowiedział jej o ciastkach pani Charu i o tym, jak spędził pierwsze popołudniowe godziny w ogrodzie zoologicznym.

- I zobaczyłeś tam coś ciekawego?

- Nie - skłamał James.

- Nie było ci za gorąco?

- Trochę.

Mamą nie zapytała o nic więcej.

Słońce, gdy było na szczycie nieba, piekło niemiłosiernie, ale potem zniżało się, zachodziło i zapadała bardzo długa noc.

James błędził wzrokiem po ubraniach zawieszonych na manekinach.

Tego dnia był wesoły, a jednocześnie rozpierała go ciekawość.

- Czy kiedyś robiłaś poprawki dla maharadży? - zapytał nagle.

May wybuchła śmiechem.

- Dla maharadży? O mój Boże, nie! Niby dlaczego maharadża miałby szyć sobie u mnie ubrania?

James myślał przez chwilę.

- Nie sądzę, żeby miał taką maszynę do szycia.

- Ale ma pałacowych krawców!

- A wiesz, ile ma dzieci?

May przestała szyć, położyła dłonie na prześcieradle.

- A od kiedy to interesujesz się dziećmi maharadży?

- Nie interesuję się dziećmi maharadży - odpowiedział James, uśmiechając się i wyszedł z pracowni.

To była prawda.

Przecież interesował się tylko jego córką.

Rozdział

W 1837 roku królową Anglii została młoda i niedoświadczona dziewczyna: miała na imię Wiktoria i właśnie skończyła osiemnaście lat.

Po objęciu tronu powiedziała swej matce, grzecznie, acz stanowczo, aby ta przestała sobie zaprzętać głowę sprawami córki i Korony.

Premier, pan Robert Peel, ten sam, który należał do spisku zawiązanego ponad dziesięć lat wcześniej, poprosił o dymisję. Wyglądało na to, że królowa zmieni wszystko.

Doktor, młody wówczas, gdy ważyły się losy May i jej syna, i rektor Eton w sekrecie wznosili toasty za nowy obrót spraw. Czuli, że po latach dworskich intryg zaczyna się w państwie nowa era. Trzeba jednak było zachować czujność i nie lekceważyć spiskowców. Kryli się wciąż w zakamarkach królewskich korytarzy i mieli plan, by - jak mówiono - zabić królową. Dwaj starzy spiskowcy postanowili do tego nie dopuścić. Spotykali się regularnie w pubie Dog and Duck. Kochali nową królową i mieli wciąż wpływowych przyjaciół. A przede wszystkim, jako że byli kawalerami, mieli dużo wolnego czasu. Podczas tych spotkań rozmawiali o sytuacji politycznej, najważniejszych wydarzeniach i, czasami, wspominali noc, kiedy wyprawili w daleką podróż na pokładzie statku młodą May i królewskiego syna.

- Czy czytał pan o tym chłopcu, doktorze? - zapytał rektor podczas jednego ze spotkań.

- O którym?

- O tym przedsiębiorczym jedenastolatku z Francji, który uciekł z domu, aby zaciągnąć się na statek do Indii. Nazywa się Juliusz Verne, ojciec znalazł go na chwilę przed podniesieniem kotwicy.

Doktor się roześmiał. Przypomniał sobie tę historię w trzydzieści lat później, kiedy odkrył, że ów francuski chłopiec został znanym pisarzem. Wtedy też dowiedział się, że syn króla Jerzego, którego przyjmował na świat w zamku Windsor, właśnie dopłynął do Londynu. Ale nie uprzedzajmy wypadków.

W tym samym czasie, kiedy doktor wraz z rektorem spotykali się potajemnie w londyńskim pubie, James, także w tajemnicy, spotykał się księżniczką Shileily. Zostali dobrymi przyjaciółmi i widywali się co tydzień, a miejscem ich sekretnych spotkań była ukryta przed wzrokiem ciekawskich polanka w ogrodzie zoologicznym. Nie mógł ich tam znaleźć ani mistrz, ani nikt ze służby maharadży.

Właśnie upływało dziesięć lat, odkąd młoda cudzoziemka przyплыnęła z synem do

miasta, i kończył się okres, na który został wynajęty dom. May Fry musiała powziąć ważną decyzję, dlatego przed kolacją wezwała do siebie Jamesa.

Bez zbytnich wstępów wyznała mu, że zamierza poślubić pana Lalchanda.

- W jakim sensie poślubić? - dopytywał James

Na to pytanie nie potrafiła odpowiedzieć. Potrzebowała jedynie domu, który byłby jej domem, i mężczyzny, który by ją ochraniał. Nie chciała niepotrzebnych ceremonii i obecności duchownych.

James się sprzeciwił, ale mama wróciła do tego tematu kilka tygodni później. Nalegała. James musiał ustąpić.

May pomalowała dłonie henną, jak to było w tutejszym zwyczaju podczas zaślubin, i małżeństwo zostało zawarte.

James skończył właśnie trzynaście lat i poprosił o pozwolenie zaciągnięcia się na statek.

May zaprotestowała, ale James wrócił do tematu kilka tygodni później.

Świątynia Siwy składała się z wielu pomieszczeń. Im głębiej wchodziło się do środka, tym było ciemniej i chłodniej. James szedł szybko za panem Lalchandem.

- Ale dlaczego nie? - pytał przy każdym zakręcie. - Co jest niewłaściwego w chęci pływania po morzu?

- Zapytaj swoją mamę, Jammy.

„Przestań mówić do mnie Jammy!” - James chciał wykrzyknąć to panu Lalchandowi, ale nic nie powiedział. Wciąż szedł za nim.

Nie lubił pana Lalchanda i nie lubił, kiedy mama była w jego towarzystwie. Ale musiał przyznać, że był to mężczyzna spokojny, dający samą swą obecnością poczucie bezpieczeństwa, i że dzięki niemu mama często się śmiała.

- Może gdybyś to ty ją o to poprosił... - nalegał - pozwoliłaby mi odejść.

Pan Lalchand zatrzymał się. Mrok, który ich otaczał, rozjaśniały jedynie latarnie w głębi.

- O co chcesz, abym ją poprosił, Jammy... o zgodę na wysłanie na morze jej jedyne dziecko?

- Nie wyjadę przecież na zawsze! - zaprotestował niecierpliwie James. - Chcę jedynie zaciągnąć się na statek! Nie mogę... dorastać i umrzeć w szwalni!

Pan Lalchand głęboko westchnął. Należał do wielu pokoleń tych, którzy przez wieki rodzili się, dorastali i umierali w tym samym miejscu.

- Nie rozumiem was... - wyszeptał i znów zaczął iść.

- Czego nie rozumiesz?

Przechodzili przez kolejne pomieszczenia, których ściany pokryte były płaskorzeźbami. Wszystko spowijał mrok. W jednym z pokoi James zobaczył bramińskie dzieci studiujące święte księgi pod przewodnictwem staruszka o białych włosach. W innym znajdowały się wspaniałe dekoracje procesyjne: postacie bóstw, wozy, konie, słonie dużo większe niż w naturze, kolorowe kartki i bambusowe ramy.

W magazynach, wśród fantastycznych figur, rodziny jaskółek i wróbli uwiły sobie gniazda. Słychać było bicie skrzydeł i ćwierkanie. Ptaki wysiadywały jajka.

Pan Lalchand znów się zatrzymał. Tym razem obok postaci z papier mâché, które pomagał wykonać.

- Nie rozumiem, dlaczego nigdy nie jesteście zadowoleni z tego, kim jesteście - odpowiedział sucho.

- A ty? - wybelkotał James. - Po co każdego wieczora przychodzisz do świątyni?

- Pomagam duchownym przygotowywać wozy - odpowiedział po prostu pan Lalchand.

- I dlaczego nie uprawiasz ziemi? Nie jesteś rolnikiem?

- Mówimy teraz o wozach Siwy. Wszyscy powinniśmy czcić Śiwę!

James spojrzał na spokojne oblicze pana Lalchanda, na jego głęboko osadzone oczy, a potem przesunął wzrok na stojące wokoło olbrzymie, kolorowe figury bóstw.

W oddali zauważył duchownego, który miał na sobie przepaskę z białego lnu i pokryty popiołem tors.

Był niepokojony. Spuścił głowę.

Nie chciał tu zostać.

To nie był jego świat. A Śiwa nie był jego bogiem.

Dlaczego nikt nie chciał go wysłuchać?

- Chodź ze mną, Jammy... - powiedział do niego pan Lalchand i gestem pozdrowił duchownego. - Bądź grzeczny i pomóż mi przy łodzi Siwy.

Łódź z papier mâché to był jedyny statek, na który pozwalano mu wejść.

- Idź do diabła - powiedział do niego James, odwrócił się i zanim wybiegł z magazynu, rzucił: - Ty nie jesteś moim ojcem.

Był wściekły. Natychmiast wrócił do zakładu krawieckiego. I dopiero wtedy trochę się uspokoił.

- James, to ty? A gdzie pan Lalchand?

James nie chciał wszczynać kłótni, więc odpowiedział wymijająco, że ojczym został w

świętyni. Pomógł matce zamknąć zakład i wniósł wiklinowy fotel z ulicy do domu. Oboje zabrali się za przygotowywanie kolacji.

Dla dwóch osób.

Na stole ustawili gliniane talerze pokryte niebieską emalią.

- A zatem? - zapytał mama. - Jak idzie praca nad łodzią Siwy i Parwati?

James zacisnął zęby.

- Dobrze - skłamał.

- To będzie wspaniałe święto - zauważyła.

Przez chwilę jedli w milczeniu.

- Była tu dziś pani Poincare... - Zdawało się, że umysł May jest zaprzątnięty czymś innym.

- Aha - skomentował James - i czego chciała tym razem?

- Zapłaciła.

- Nareszcie - ucieszył się chłopiec.

Pani Poincare była bardzo bogata i bardzo francuska. Przyszła do nich dopiero wtedy, gdy dowiedziała się, że są Anglikami. Bawiło ją składnie zamówień. Wymagała maksymalnej dokładności w każdym szczególe, bez względu na to, czy chodziło o poprawkę, wyszycie inicjałów na wyprawowych prześcieradłach czy o uszycie ubrań, które powstawały według wzorów prosto z Paryża.

- Co o tym myślisz? - May wyciągnęła z gorsetu czek, na którym było napisane: 6 funtów.

Do wypłaty a vista, w okienkach Society of Lloyd's. W oczy rzucał się głównie podpis madame Poincare.

- Tyle wystarczy? - zapytał James drwiąco.

- Dla niej to tyle, co kot napłakał - odpowiedziała May. - Ale dla nas to dwa miesiące pracy. Zajmiesz się tym?

- Czym? - zapytał James.

- Mam wiele zamówień. Nie mogę stracić całego dnia, stojąc przed okienkiem w Society of Lloyd's.

- Wyślij Lalchanda.

- On także nie może. Muszą skończyć wozy...

- Ale czy wypłacą mi pieniądze? - wyszeptał James.

- Nie jestem pewna - odpowiedziała. - Jesteś faktycznie jeszcze mały...

James odsunął się, kiedy chciała go pogłaskać i prychnął.

- Mam trzynaście lat, mam. I wszyscy mnie znają.

- Trzynaście lat! O panie na niebiosach! - wyszeptała May i westchnęła. - Jak ten czas szybko leci!

James nie znosił takiej gadaniny. Dla niego życie jeszcze się nie zaczęło i czas włókł się, a nie pędził. Czuł, jak depta mu po piętach. Każdy dzień spędzony w zakładzie krawieckim to był jeden dzień mniej na statku.

- Mam...? - zapytał. - Czy wiesz, że w porcie...

- James, przestań natychmiast - przerwała mu May. - Odsunęła gwałtownie krzesło i odwróciła się do niego plecami. - To był długi dzień...

- Mam...

- Powiedziałam: nie.

- Ale, ja chcę tylko...

- Powiedziałam, że nie. Nie pozwolę na to.

I tego wieczora już o tym nie rozmawiali.

Z góry szeptało do niego nocne niebo. James zbierał rozproszone myśli i wpatrywał się w gwiazdy. Zwyczajem Hindusów spał na dachu, pod gołym niebem.

Sny się spóźniały. Jakby poczuły się zdradzone.

James myślał i myślał, i nie mógł znaleźć żadnego rozwiązania.

Rozpierała go energia. Nie wytrzymał długo na dachu.

Wstał.

Podszedł do gzymsu. Spojrzał wokoło na uśpione domy. Próbował przeniknąć wzrokiem ciemność zaułków, w których hulał wiatr. Na szczycie wielkich złożonych kopuł świątyń płonęły ognie, a w dole rosły aleje palm o postrzępionych liściach.

Wszluchał się w daleki pomruk świata, który gdzieś tam krążył, krążył i krążył.

Czuł się niepotrzebny.

Zupełnie.

Był nikim.

Potem usłyszał kroki na drodze. Drzwi domu otworzyły się i zamknęły. Ktoś zakaszłał. James zorientował się, że to ojczym wrócił do domu.

Kto wie, co powie mamie.

Chłopiec usiadł na gzymsie i spojrział w stronę ogrodu zoologicznego. Nazajutrz, jak co tydzień, miał się spotkać z małą księżniczką Shileily. Nic nie mogło im przeszkodzić w tych spotkaniach. I tak będzie, przynajmniej do tego momentu, gdy ojciec zmusi ją do zamążpójścia. Może poślubi księcia pustyni.

A jeśli ona nie zechce?

A jeśli, podobnie jak James, ma inne plany? Jeśli spróbuje się sprzeciwić?

Myślał o tym, co jest się zmuszonym robić, i o tym, co pragnie się robić. Pomyślał o żaglach na statku.

Pomyślał o słowach swojej matki: „Nie pozwolę na to”.

James skupił się na tych wszystkich myślach jednocześnie. Krążyły bez końca w jego głowie. A kiedy już nie miał siły myśleć, w głowie pozostały mu trzy słowa.

Zero, bunt, morze.

I wtedy poczuł, że udało mu się przeniknąć do najgłębszego sensu spraw. Już wcześniej się nad nim zastanawiał, ale do dziś on wciąż mu się wymykał.

Było to jednak złudne zwycięstwo, jeden z tych momentów absolutnej pewności, która ulatnia się rankiem następnego dnia, jakby nigdy nie istniała.

„Kim jestem?” - pytał samego siebie w myślach i tak mocno wbijał sobie paznokcie w skórę na przedramieniu, że ją przebił.

Szukał odpowiedzi.

Jestem James Fry i pochodzę z morza.

To była jedyna odpowiedź, którą znalazł.

Wyciągnął z kieszeni czek pani Poincare; rozłożył go sobie na kolanach i tak długo się w niego wpatrywał, aż litery zaczęły nakładać się jedna na drugą, aż w końcu zlały się wszystkie.

James poczuł znużenie. Nie był pewien, czy to, co postanowił, ma sens.

Zero. Bunt.

I morze.

Czy naprawdę wystarczy mu odwagi, aby wszystko porzucić?

Ukucnął pod wapienną ścianą w kącie i spojrzał na jasnoblękitne niebo. W oddali widział wielką świątynię Śiwy, nad którą unosiły się pierwsze śpiewy duchownych. Dochodziły do niego dźwięki nowego, budzącego się do życia dnia. Ludzie ruszyli do swych codziennych obowiązków.

Wyobraził sobie, że miliony stóp ubijają ziemię, wzniecając z niej, unoszony przez wiatr, czerwony pył.

„Czy to twoje życie, James?” - zapytał sam siebie. „Czy to tu chcesz zostać na zawsze?”

„Nie” - odpowiedział.

Co zatem zrobisz?

Chodził nerwowo po zaułku. Palcami aż do bólu ścisnął skrzydełka nosa. To był jedyny znany mu sposób, aby przestać myśleć.

Przeskoczył przez karalucha, który przechodził z jednej strony uliczki na drugą. Stał w rozkroku. Znieruchomiał.

W którym kierunku powinien pójść?

Miał wrażenie, że jego stopy są przykute do ziemi.

Wydawało mu się, że będzie tak stał, aż do momentu gdy ktoś oswobodzi jedną z jego nóg albo przewróci go wiatr lub porwie błotnisty ściek.

„Jestem buntownikiem czy grzecznym chłopcem?” - zastanawiał się. Stał w rozkroku między dwiema możliwościami wyboru. „Mam wolną wolę czy muszę zgodzić się na to, co inni dla mnie przewidzieli?”

„Powiedziałaś: nie” - to były słowa mamy. „Nie pozwolę ci na to”.

„Jeśli się zbuntuję, co stanie się z moją mamą?”

James pomyślał, że pęknie jej serce, a pan Lalchand powie jej w końcu, że wiedział o tym, co się stanie, ale nie mógł nic zrobić.

- Mama mnie znienawidzi, prawda? - wyszeptał James do karalucha, który poruszał się między jego stopami.

Może na początku go znienawidzi, ale potem, wraz z upływem lat, zapomni. I za każdym razem, kiedy James przyjedzie do niej w odwiedziny, znowu opowie mu o Anglii, o ich pierwszej podróży morskiej, o jednym kufrze z ubraniami, z którym wysiedli na ląd. O tym, jak otworzyła zakład krawiecki.

A James zapyta: „Dlaczego zatem nie możemy wrócić do Anglii?”

Nagle poczuł wewnętrzny spokój.

I zrobił krok do przodu.

Stalówka była ciężka i ostra jak szpada.

Serce waliło mu mocniej niż bębny podczas procesji.

To, co musiał zrobić, to dopisać zero.

To samo zero, o którym szeptał mówiono w babilońskich domach nauki i które napawało strachem handlarzy.

Jedno zwyczajne zero.

Ręka mu drżała. Stalówka była ciężka, ale mimo to Jamesowi udało się skierować jej czarny czubek w stronę czeku pani Poincare.

Jedno kółko po szóstce. Jedno małe kółeczko bez znaczenia, kształtem podobne do całego świata.

Rozdział

- A zatem jesteś synem, madame Fry... - powiedział niedługo potem urzędnik u Lloyd'sów. - No, no, już duży z ciebie chłopak.

James nie odpowiedział. Stał spięty, z potarganymi włosami, po drugiej stronie biurka. Nie miał butów. Marmurowa podłoga w biurze Kompanii była lodowata.

- Siadaj, chłopcze! Siadaj! - ciągnął urzędnik i wskazał mu fotelik pokryty materiałem w białe i niebieskie pasy.

- Wolę stać, jeśli pan pozwoli... - odpowiedział James. Bał się poruszyć ze strachu, że coś uszkodzi.

- Oczywiście! - roześmiał się urzędnik. Szybko obejrzał czek. - Poczekaj chwilę...

- James - przypomniał mu chłopiec.

-...James - dokończył zdanie mężczyzna.

Potem zapadła cisza. Urzędnik usiadł po swojej stronie biurka i przyglądał się czekowi, który wręczył mu James. Trzymał kłapy marynarki między kciukiem a palcem wskazującym. Powoli, w zamyśleniu, zaczął się kołysać na krześle.

„Na pewno się zorientuje” - pomyślał przerażony James. Przebiegł go lodowaty dreszcz, który zmroził mu krew w żyłach.

„Zaraz włączy się alarm. Przyjdzie żołnierz z Kompanii Wschodnioindyjskiej i zostanę aresztowany”.

- Kurczę blade... - wyszeptał urzędnik. - Sześćdziesiąt funtów to ładna sumka. - Podniósł wzrok i spojrzał w oczy Jamesa, który starał się zachować spokój. - Chyba pani Poincare zleciła wam zrobienie całej garderoby.

- No, tak - zgodził się James. Zimno od podłogi mroziło mu kolana.

Urzędnik wciąż kołysał się na krześle. Trwało to wieczność. Potem wrzuszył ramionami i mrugnął do Jamesa...

- Kto zrozumie kobiety? Co?

Na twarzy Jamesa pojawił się cień uśmiechu.

- Jednego dnia chcą tego, drugiego tamtego. A my musimy udawać, że wiemy, o co im chodzi. Taka jest teraz moda, mówią. Moda! Niezły pomysł, aby mieć świat pod kontrolą, nie sądzisz?

James był innego zdania. Uważał, że liczby są ważniejsze niż moda. Ale nie podzielił

się tym spostrzeżeniem. Nie powiedział nic. Ze strachu.

Urzędnik otworzył kasetkę i wyjął z niej papier firmowy. Potem zamknął ją i otworzył następną, z której wyjął stempel. Na koniec sięgnął do trzeciej po nożyczki, pióro i linijkę. Coś napisał, potem to podstemplował, zmierzył i odciął.

- No, gotowe... - powiedział i z uśmiechem przystawił kolejny stempel. Przy każdym uderzeniu stempla James czuł, że traci przytomność.

- Jeszcze chwilka i wracam - zakończył urzędnik i odsunął się od biurka.

„To nie może być takie łatwe” - pomyślał zdenerwowany chłopiec.

Faktycznie, urzędnik zrobił kilka kroków, zatrzymał się i sprawdził jeszcze raz swoje papiery.

- Posłuchaj, James, jest pewien problem...

Chłód podłogi podniósł się zniecka i zmroził Jamesowi gardło. Chłopiec nie był w stanie nawet przełknąć śliny.

- Masz jakąś mocną torbę na banknoty z królem Jerzym? Chcesz jakąś? Możesz mi ją oddać potem. Czy odprowadzić cię do zakładu?

- Nie - odparł James, cicho wydychając powietrze. - Nie musi pan iść ze mną. Nie boję się.

- Dzielny chłopak - powiedział urzędnik. - Jesteś naprawdę dzielnym chłopcem.

Tego dnia James zrozumiał, że ludzie widzą tylko to, co chcą zobaczyć.

Hej! - wyszeptał James ukryty między gałązkami glicynii w ogrodzie zoologicznym. - Widzisz mnie? Tu jestem! Mała księżniczka spojrzała na niego i uśmiechnęła się. Sprawdziła, czy nikt nie zobaczył, że tu biegnie.

- Myślałam, że już nie przyjdiesz! - powiedziała tym swoim dziwnym angielskim. James odsunął gałęzie, żeby zrobić jej miejsce.

- Jak dotąd biała małpa nie opuściła żadnego spotkania! - roześmiał się. - Szybko, włącz!

Księżniczka Shileily ukucnęła obok niego, rozbawiona.

- Nie wiesz, że nie należy się w ten sposób zwracać do księżniczek?

James nie wiedział wielu rzeczy. Tylu, że nie mogłaby sobie tego nawet wyobrazić.

Weszli między gałęzie i zniknęli za pnączami.

Ich sekretną polankę otaczały egzotyczne rośliny i kwiaty. Miejsca wystarczało zaledwie dla nich dwojga. Sadowili się tam w kucki obok siebie. Zasłaniały ich obsypane kwiatami krzewy, a pnącza tworzyły nad nimi gęsty, postrzępiony namiot. Ziemia była rozpulchniona i pokrywała ją delikatna warstwa trawy.

Shileily ukucnęła. James poprosił ją, aby się nie ruszała. Chciał się upewnić, że nikt ich nie obserwuje.

Dwoje dzieci siedziało przez chwilę w zupełnej ciszy bardzo blisko siebie. James był naprężony jak struna, a ona ucieszona, że znów mogła go zobaczyć.

- Jak ci minął tydzień, James? - zapytała.

- A tobie? Roześmiała się.

- No... chyba mam dobre wieści.

- To znaczy?

- Słyszałam, że jakiś książę poprosił o moją rękę.

- Poprosił o twoją rękę?

Kiwnęła głową. Wyglądała jak wróbelek.

- A co to znaczy, że poprosił o twoją rękę?

- Naprawdę nie rozumiesz? James szeroko otworzył oczy.

- Chce cię poślubić?

Spojrzenie księżniczki rozbłysło świetlistymi iskierkami.

- To oczywiście jeszcze nic pewnego, ale... czy to nie wspaniałe? - wyszeptała niepewnie.

James był, delikatnie mówiąc, oszołomiony.

- Czy ty... naprawdę sądzisz, że to wspaniałe? Twarz księżniczki pociemniała.

- Oczywiście, że wspaniałe.

- Ale dlaczego? Czy znasz tego księcia?

Pokręciła głową.

- I nie boisz się go?

Dziewczynka skrzyżowała ręce na piersiach. Nie tak wyobrażała sobie to spotkanie.

- Ale tak właśnie powinno być! - powiedziała.

- Nieprawda! - krzyknął niespodziewanie James. - Wcale by tak nie było, gdybyś ty tego nie chciała.

- James? Co się z tobą dzieje? - Księżniczka rzuciła mu zaniepokojone spojrzenie. - Jesteś jakiś dziwny...

Dopiero wtedy uniósł skórzaną torbę, którą wcześniej ukrył w krzewach, i powiedział:

- Do portu zawinął wczoraj angielski statek. Odpływa chyba jeszcze dziś wieczorem.

Nazywa się Hope, rozumiesz? Nadzieja.

Nic nie odpowiedziała.

On z kolei nie wiedział, co mógłby jeszcze dodać.

- Pamiętasz, jak się poznaliśmy?

- Na tarasie?

James kiwnął głową.

- Co ci wtedy powiedziałem?

Rozejrzała się wokoło, jak gdyby chciała schwytać wspomnienie. - Powiedziałeś: „Ja cię porwę, księżniczko”.

Roześmieli się. A potem nagle spowaźnieli.

- Właśnie po to przyszedłem - powiedział James.

Uspokoił się, stał się pewniejszy.

Księżniczka znów się roześmiała. Sądziła, że żartuje.

Ale on nie żartował.

- Mówię serio. Mam wystarczająco dużo pieniędzy, aby się zaokrętować. Nie chcę wyjeżdżać sam.

Umilkła, zaskoczona jego słowami.

James był z nią szczery. Miał w sobie tę niewzruszoną pewność trzynastoletniego chłopca i wierzył, że to wystarczy, by pokonać trudności.

- Pojedziesz ze mną?

Trudno było odgadnąć, co się działo w głowie księżniczki. Może myślała o tym, jakie życie jest dziwne... Czasem bardzo czegoś pragniemy, marzymy o tym dniami, tygodniami, miesiącami, nie wierząc w duchu, że nasze marzenie kiedykolwiek się ziści, a gdy może się stać rzeczywistością, jesteśmy przerażeni i sparaliżowani.

- Umiesz dotrzymać danego słowa, James - wyszeptała w końcu. - Ale ja nie mogę z tobą pojechać.

W tym momencie słońce skryło się za chmurą. Wszystko wokół straciło kolor i blask.

- A dlaczego nie możesz? - zapytał James bardzo cicho.

- Ponieważ nie mogę stąd odjechać, James - wyznała księżniczka. - To miejsce jest wszystkim, co znam.

- Mnie też znasz - przypomniał jej James. - A ja znam ciebie.

- Znasz mnie, James? - roześmiała się. - Kim więc jestem?

- Jesteś moją księżniczką - odpowiedział po prostu chłopiec.

- Och, ty głuptasie! - wykrzyknęła Shileily i zadzwoniła głośno bransoletkami. - To wszystko jest po prostu...

Potrząsnęła głową, nie mogąc znaleźć odpowiedniego słowa, a może nie miała odwagi dokończyć i powiedzieć: okrutne.

Czuła się oszukana. Jakby jakieś złośliwe bóstwo zakpiło z niej. Nie mogła zrozumieć, dlaczego James jest aż tak naiwny. Naprawdę miał nadzieję, że ona się zgodzi? I z kim miałyby popłynąć tym statkiem? Dlaczego uważał, że uda im się wejść na pokład? James i Shileily, córka maharadży!

A morze? Co wydarzyłoby się na morzu?

To, czego chciał, było okrutne, głupie i niebezpieczne. A jednak nie czuła strachu. Nieostrożność Jamesa była pociągająca.

To, co czuła, nie pozwalało jej odejść.

- Co ci jest? - zapytał, widząc jej wahanie.

Powieki zaczęły jej nagle ciążyć. Zamknęła oczy.

- Czuję się tak, jakbym słuchała legendy... - powiedziała. - Gdy słuchasz legend, masz wrażenie, że to, o czym opowiadają, jest naprawdę piękne, i wierzysz, że wydarzyło się naprawdę. Wyobrażenia w legendach nie zna granic. A rzeczywistość...

Przerwała. Usłyszała szelest liści i gałęzi.

- James? - zawołała księżniczka Shileily.

Lekki wiatr poruszał glicyniami, które utworzyły tę naturalną kryjówkę. Tajemniczy angielski chłopiec zniknął.

Księżniczka wolno położyła się na trawie.

Potem zrozumiała, jak niewiele trzeba, by dać i odebrać nadzieję.

James nie tracił więcej czasu.

Po tym wszystkim, co zrobił, czuł się okropnie.

Po raz ostatni przemierzał miasto przy akompaniamencie cymbałów, trąb i bębnow.

Tym razem nie udało mu się nikogo nie dotknąć. Musiał przepychać się w tłoku, czasami ludzi było tak dużo, że przywierał do ściany, by tłum nie uniósł go ze sobą. W końcu wmieszał się w powoli sunącą naprzód procesję. Biegł wtedy, kiedy mógł. Pod pachą niósł torbę wypełnioną pieniędzmi.

Tłum wiernych oblegał brzegi sadzawek, potrząsając na wietrze długimi trzciniami bambusa nad mętną białawą wodą podobną do mleka.

James znalazł wreszcie przejście w tłumie; wbiegł w zaułek bez girland i papierowych wiatraczków i skierował się prosto do zakładu krawieckiego.

Już z daleka słyszał dobiegający ze środka hałas pracującej maszyny do szycia.

- James, to ty? - zapytała May, kiedy usłyszała trzask otwieranych drzwi.

James nie chciał odpowiedzieć, więc zagryzł wargi.

Wiedział, że jeśli odpowie, zabraknie mu odwagi. I nie odejdzie.

Przeliczył funty i położył je na stole. Potem dołożył do nich jeszcze cztery, które po chwili zastanowienia położył tak, aby nie można ich było od razu znaleźć.

Zostawił w pokoju dwadzieścia funtów, ukrywając je w tych kilku przedmiotach, które do niego należały, i na zawsze opuścił dom pana Lalchanda.

Nie pożegnał się z nikim.

Już nie mógł wrócić.

Płakał.

Wydał kolejne trzy funty, aby kupić niezbędne rzeczy: biały zeszyt, piórnik z przyborami do pisania, atrament, dwa komplety ubrań na zmianę i torbę podróżną. Monety ukrył w mieszk pod bluzą i przejrzał się w lustrze. Zniknął zwykły chłopiec. W nowych ubraniach wyglądał jak cudzoziemiec.

Założył buty. Kołysał się lekko na obcasach i starał się poruszyć palcami. Nie lubił tego uczucia. Ale i tak je kupił, ponieważ sądził, że mogą okazać się przydatne. Włożył je do plecaka i ruszył w dalszą drogę boso.

Już na peryferiach Triwandrum zamówił wielką miskę pikantnego ryżu i pieczonego kurczaka i pochłonął wszystko do ostatniego ziarnka. Był chyba jedynym młodym cudzoziemcem, który tak dobrze posługiwał się lokalnym językiem.

Do procesji Śiwy i jego małżonki Parwati wciąż dołączali wierni. Długi orszak przemierzał ulice.

Ciekawe, czy mama znalazła już pieniądze, zastanawiał się James. I ciekawe, czy ktoś już wie, że sfalszował czek.

Postanowił o tym nie myśleć.

Wstał od stołu i zapłacił, nie czekając na resztę.

Jacyś dwaj mężczyźni spojrzeli na siebie porozumiewawczo i ruszyli za nim.

Jeden z nich miał za pasem zardzewiały nóż.

W Triwandrum nie było właściwie portu. Zastępował go długi drewniany pomost ułożony na palach, połączony z plażą pokrytą przyniesionymi przez fale maleńkimi muszlami. Po drugiej stronie plaży, u stóp wzgórz, mieszkańcy pobudowali przed laty kilka prowizorycznych budynków. Z czasem teren przekształcił się w prawdziwe przedmieście: były tu domy z suszonych na słońcu cegieł, hoteliki i pensjonaty dla marynarzy, magazyny, budki na towar małej wartości. James dotarł tam pod wieczór. Przeszedł obok stajni i kuźni, w której kowal naprawiał właśnie jeden z tych typowych wózków na dwóch kołach ciągniętych przez zebu. Minął lokale, w których ludzie pili i głośno rozmawiali. Popatrzył na tancerki rzucające powłóczyście spojrzenia i zatrzymał się na chwilę, by posłuchać muzyków grających

na wielkich gitarach z zakrzywionymi gryfami zakończonymi głową potwora.

Statek, który widział poprzedniego dnia, jeszcze tam był, na końcu pomostu. Kołysał się na uwięzi niezbyt daleko rzuconej kotwicy.

Był wspaniały.

Kadłub wąskiego i długiego trójmasztowca zrobiono z ciemnego drewna. Chłopiec patrzył zachwycony na zwinięte żagle, skrzypiące na wietrze drabinki i wanty.

To była fregata wojskowa. Jej nazwę wypisano srebrnymi literami poniżej fokmasztu.

Kiedy James zbliżał się do Hope, zdał sobie sprawę z tego, że jest mały i nic nie znaczy. Poczul się jak żebrak.

Poprawił plecak i ruszył biegiem przez pomost. Morze powoli uderzało o pale pod jego stopami. Zza masztów fregaty wylaniały się gwiazdy.

Na rufie płonęły pochodnie, skwiercząc głośno. W kabinie kapitana też było jasno.

Ciekawe, o czym mówiono, jakie rejsy planowano i jakie kursy ustalano właśnie w tym momencie!

James nie miał pojęcia, co powinien zrobić ktoś, kto chce się zaciągnąć na statek, więc stał dłuższą chwilę ogarnięty wątpliwościami. Może powinien po prostu kogoś zawołać...

Nagle zdecydował, że wróci na brzeg i postara się znaleźć w jednym z lokali jakiegoś marynarza, którego mógłby poprosić o informacje.

Przedmieście było o tej porze ciemnym labiryntem uliczek. Szedł pośpiesznie, chcąc szybko dotrzeć do miejsca, z którego dobiegała muzyka i śmiech. Kiedy jednak zanurzył się w mroku pierwszego zaułka, poczuł, że ktoś chwyta go za ramiona.

- Ani piśnij, inaczej zginiesz - wyszeptał ktoś ostrzegawczo.

Chłopiec poczuł, jak krew ścina mu się w żyłach.

W świetle gwiazd rozpoznał zardzewiałe ostrze noża i skrzyżował spojrzenie z mężczyzną, który go śledził.

Napastnik miał zęza i rzadką brodę. Kilka kroków dalej ktoś inny stał na czatach.

- Dawaj plecak! - rozkazał zezowaty.

- Nnie mogę... - wybełkotał James.

Zardzewiały nóż przeciął powietrze tuż obok jego twarzy.

- Plecak, szybko!

Nie czekając na odpowiedź, zezowaty wyrwał Jamesowi plecak i rzucił go na ziemię. Później popchnął chłopca tak mocno, że ten uderzył o ścianę.

- Pośpiesz się! - ponaglał zezowatego współnik, który stał na czatach.

Mężczyzna otworzył plecak i wyrzucił na ziemię buty i ubrania. Dźgał wszystko

czubkiem noża, wreszcie wycharczał:

- Gdzie są funty? Widziałem, jak płaciłeś funtami!

- Wszystkie wydałem! - odpowiedział James, modląc się, aby zbir mu uwierzył. - Tylko to mi zostało! - Przetrzęsnał kieszenie w poszukiwaniu drobniaków i rzucił nimi w napastnika.

Ten znowu popchnął go do tyłu i przyłożył mu nóż do gardła.

- Nie żartuj sobie, Angliku - zagroził.

James poczuł jego kwaśny oddech i zaczął się dusić. Przeklinał się w duchu. Jak mógł być tak głupi i nie zwrócić uwagi na tych dwóch osiłków. Teraz sobie przypomniał, że już ich widział, gdy jadł.

Drugi rzezimieszek przetrząsał mu kieszenie. Wreszcie zauważył mieszek.

- A co to jest? - zapytał i nie czekając na odpowiedź, podciągnął mu bluzę i znalazł ukryty pod nią woreczek.

- Zaraz ci to wytłumaczę! - zawołał James.

Zezowaty przeciął nożem sznurek. James krzyknął przeciągle. Bardziej z przerażenia niż z bólu. Upadł na ziemię. Dyszał.

- Stójcie! - zawołał. - Oddajcie mi ją! To moja sakiewka! To moje pieniądze!

Ale zezowaty nawet się nie odwrócił. Podbiegł do współnika i znikli w ciemnościach, unosząc ze sobą funty.

- Nie! - krzyknął James. - Nie możecie mi tego zrobić! Chciał się podnieść, ale nogi miał jak z waty, a kolana same się pod nim ugiwały. Podczołgał się do plecaka. Szukał po omacku swoich rzeczy.

Rana na klatce piersiowej paliła go ogniem.

- Moje funty! Moje wszystkie funty! - rozpacział głośno. Objął plecak, jakby to było żywe stworzenie. Starał się za nim ukryć. Chciał zniknąć.

- Złodzieje! Podli! Jesteście podłymi złodziejami! Niech tylko was znajdę! Niech tylko... was znajdę!

Nie miał siły zrobić nic innego, mógł tylko rozpaczać. Leżał na ziemi i łkał.

- Nie sądzę, żeby się ciebie bali... - wyszeptał jakiś głos po angielsku.

James natychmiast przestał się mazać. Odsunął plecak i zauważył ciemną sylwetkę mężczyzny na tle połyskującego morza.

- A ty, czego chcesz? - zapytał, obcierając sobie nos wierzchem dłoni. - Spóźniłeś się. Już mi wszystko ukradli.

Nieznajomy zrobił kilka kroków w jego kierunku. James zaczął się cofać, ale za

plecami poczuł ścianę. - Nie zbliżaj się!

- U puci avi a tussi!' - wykrzyknął nieznajomy w nieznanym języku. Potem dodał po angielsku: - Nie przejmuj się! Nie chcę cię skrzywdzić.

James nie protestował, ale też nie pozwolił, aby nieznajomy przyjrzał się jego skaleczeniu na piersi.

- Tylko nie to! - jęknął i odsunął się.

- Jesteś pewien?

- To tylko zadrapanie - odparł James i zacisnął zęby.

Gdy nieznajomy podszedł do niego, James miał okazję mu się przyjrzeć. Zauważył jasne kręcone włosy, zmierzwioną brodę i drwiące spojrzenie.

Był niewiele starszy od niego.

- Co ci zabrali?

James starał się poprawić porwaną i poplamioną krwią bluzę.

- Wszystkie pieniądze - odpowiedział.

- Dużo ich miałeś?

- Lepiej, żebyś tego nie wiedział.

- W takim razie miałeś ich dużo - wywnioskował nieznajomy.

- Tak, miałem ich dużo - przyznał James. - A teraz nie mam nic.

- A zatem, witaj w porcie - odpowiedział ostrym głosem nieznajomy.

James zaczął podnosić z ziemi ubrania. Patrzył na nie i nie wiedział, co ma robić.

- Masz porządne buty, zawsze możesz je komuś odsprzedać.

- Nie mam ochoty nikomu ich odsprzedawać. Dopiero co je kupilem.

- Rozumiem - odparł nieznajomy.

Potem, pod długiej ciszy, wyciągnął do niego rękę - Jestem Salvo². Z imienia i w rzeczy samej.

James bez zastanowienia uścisnął jego dłoń.

- Jesteś Anglikiem? - zapytał.

- Nie. Jestem Sycylijczykiem. Wiesz, co to Sycylia? James pokręcił głową.

- To wyspa znacznie piękniejsza od Anglii - wytłumaczył mu Salvo. - A ty?

- Ja jestem James.

- Z jakiej strony świata pochodzisz, James? Na czym pływałeś?

* Salvo - włoskie imię męskie, dosłownie 'zbawiony' (przyp. tłum.).

Chłopiec przygryzł wargę i westchnął.

- Och, to długa historia. Powiedzmy, że... nieważne, na czym dotąd pływałem.

Chciałbym... zaciągnąć się na Hope.

- Na ten wrak?

Salvo splunął na ziemię i popatrzył na Jamesa, który wkładał właśnie rzeczy do plecaka.

- Dlaczego nazywasz go wrakiem?

- Bo to wielki jak wieloryb wrak, który fale roztrzaskają przy pierwszej okazji.

- Wcale nie wydaje mi się taki zły... - zaprotestował nieśmiało James. - Słyszałem, że wypływacie z portu jeszcze dziś wieczorem.

- Podnosimy kotwicę o świcie. - Sycylijczyk powściągnął uśmiech. - Kto nauczył cię tak dokładnie składać ubrania, James?

- Dlaczego o to pytasz?

- Nie jesteś marynarzem, prawda?

James splonął rumieńcem wstydu i uparcie milczał.

- Nie chciałem cię urazić - powiedział Salvo, uważnie obserwując jego reakcję. - Jeśli nie chcesz powiedzieć, co tutaj robisz, nie będę cię więcej o to pytał. Naprawdę mi przykro, że straciłeś swoje funty. Ale najważniejsze, że jesteś tu cały i zdrowy i możesz o tym komuś opowiedzieć. - Podrapał się po głowie. - Wracaj do domu, umyj się, a jutro zdecydujesz, co robić.

- Nie mam domu - odpowiedział James, zaciskając zęby. - I mam wątpliwości, czy jeszcze kiedyś nadarzy się okazja, żebym mógł sam zdecydować, co robić.

Ruszyli wąską uliczką.

- Bontempu e malutempu un dura tuttu u tempu! - wyrecytował Sycylijczyk w swoim tajemniczym języku.

- A co to znaczy? - zapytał James.

- Brzydka pogoda i ładna pogoda nie trwają wiecznie.

- No, dobrze powiedziane.

- Zauważyłem, że masz przybory do pisania. Umiesz pisać?

- Tak.

- To może umiesz także liczyć?

James wolno skinął głową.

Zatrzymali się na ubitym placu, rozbrzmiewającym wesołą muzyką płynącą z jednego z lokali. Były to dźwięki hinduskiej gitary, którym towarzyszyło rytmiczne klaskanie marynarzy.

- Nie wszyscy to potrafią... - powiedział Salvo i zrobił dziwną minę. - Widzę, że nie

zajmujesz wiele miejsca i pewnie jesz tyle co ptaszek.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Widzisz tego mężczyznę, tam, na dole? Tego łysego, który skacze między stolikami?

James dostrzegł go. Człowiek w średnim wieku, którego wskazywał Salvo, był niziutki, ale wydawał się niezwykle szybki i sprawny. 6

- Chodźmy z nim porozmawiać. Nazywa się Ciro i jest kucharzem na statku. Wiesz, co to kambuz?

- Właściwie nie - przyznał James.

- Może wkrótce się dowiesz. Miejmy nadzieję, że Ciro będzie chciał przyjąć smarkacza, który umie czytać, pisać i liczyć.

- Żartujesz? - roześmiał się James z niedowierzaniem. - Naprawdę zrobiłbyś to dla mnie?

- Zrozum, że ja ci nie pomagam - powiedział Salvo - wprost przeciwnie, na zawsze niszczyć ci życie.

Kiedy w Londynie rektor Eton zdecydował się przejść na wcześniejszą emeryturę i brał udział w inauguracji Stowarzyszenia Etnologicznego do Studiów nad Egzotycznymi Cywilizacjami, James Fry stawiał swe pierwsze kroki na pokładzie statku. Został pomocnikiem kucharza, Cira Wielkiego, który wcale nie był wielki. Był za to szybki. Ciro nazywał Jamesa Giacomo, jakby ten był chłopcem z neapolitańskiej ulicy. Marynarz urodził się w Sorrento, miasteczku położonym nad samym morzem. Stamtąd właśnie pochodziły dwa drzewka cytrynowe znajdujące się na pokładzie. Otaczano je czcią, jakby były świętymi roślinami.

- Czyś kiedyś słyszał o republikach morskich? - ryczał Ciro, kiedy pocili się w kambuzie na dolnym pokładzie. - Nie? A o Amalii?

A ponieważ James nic o nich nie wiedział, Ciro opowiadał mu o bitwach i wyprawach morskich, o marynarzach i odkrywcach, o Odyseuszu i Sycylii, Wenecjanach i Pizańczykach. To właśnie Włosi, mawiał, wymyślili morze po to, żeby nie siedzieć w domu, kiedy wszystko idzie nie tak.

James śmiał się, uczył i słuchał, a kiedy mógł, notował wszystko w swoim zeszycie. Pisał malutkimi literkami, oszczędzał w ten sposób papier, bo nie wiedział, kiedy będzie mógł kupić następny zeszyt. Odnotował nazwiska wszystkich tych, których poznał na statku: bosmana O'Malleya, który stracił głos i trzy palce u nóg między lodami Antarktydy; Tentena, który przegrywał każdy grosz, jaki wpadł mu do kieszeni; Barreta z Manchesteru, piątego z siedmiu braci marynarzy; Abrahama, najstarszego z majtków pokładowych, który uparcie

odmawiał awansu. Byli tam też: golibroda Ridolini, który lubił opowiadać dowcipy, kiedy przeciągał brzytwą po szyi; Chet Siedem Zon, który nigdy nie wychodził na ląd, bo bał się, że spotka tam którąś z nich; kanonier Delroy pochodzący z Belgii i Truman, milczący Afrykańczyk o niejasnej przeszłości; a wreszcie Junior, wielki Tamil zabrany na pokład jako przewodnik i tłumacz.

Prawie nikt nie zauważył obecności Jamesa przez kilka pierwszych dni: Alvin i Rope, dwaj chłopcy, którzy wspinali się aż do bocianiego gniazda, założyli się o tygodniowy przydział sucharów, że James zachoruje na chorobę morską na co najmniej dziesięć dni.

Przeegrali. Kiedy tylko statek zaczął ciąć fale, James poczuł się na nim jak w domu; chodził między mostkami tak, jakby od zawsze mieszkał na pokładzie; a otrzymawszy stosowne zezwolenie, ku zdziwieniu Delroya, ze zręcznością małpy wspiął się na szczyt głównego masztu.

Tęsknotę za morzem zastąpiły wyrzuty sumienia. Gryzł się tym, że uciekł z domu, i tym, w jaki sposób to zrobił. Martwił się konsekwencjami swego kroku. Jednak życie na morzu, przez swą intensywność, liczne obowiązki, złośliwość załogi, z którą na początku musiał sobie radzić, nie zostawiało mu wiele czasu na przemyślenia. James chciał po prostu przetrwać. I to pragnienie angażowało niemal całą jego energię.

Nigdy nie spał dłużej niż cztery godziny z rzędu. A kiedy nie spał, miał wiele spraw do załatwienia: sprawdzał listę aprowizacji, organizował dostawy, dostarczał zamówienia do kuchni (pięć kilogramów słonego mięsa z przeznaczeniem na pieczone dla ośmiu mężczyzn), karmił zwierzęta, strofował je, doił, zbierał jajka; liczył, ile zdrowasiek wyklepał Ciro, zanim zabił świniaka (kucharz darzył większą sympatią świnie niż członków załogi) i tak dalej. Każdy nowy dzień był podobny do poprzedniego. Potem musiał wyszorować mostki, wyczyścić ubrania, oddać je do naprawy, wytrześcić hamaki, sprawdzić lufy armat.

Miał tylko trzy przerwy na wypoczynek: pierwszą około ósmej rano, gdy rozdał już suchary całej załodze; drugą w południe, a ostatnią o czwartej, jeśli warunki żeglugi na to pozwalały.

Wieczorem padał ze zmęczenia na swój hamak. Nie miał siły ani słuchać marynarskich opowieści, ani gwizdać melodii czy grać w warcaby.

Każdego dnia pytał drugiego oficera o kierunek rejsu i szybkość, z jaką płynęli. Potem wszystko skrupulatnie notował: kurs na południe, osiem węzłów; południe - południowy wschód, dziewięć węzłów.

Tygodnie zamieniały się w miesiące, a miesiące wkrótce zamieniły się w rok.

I nim się James obejrzał, minęli wybrzeża Singapuru, za którym otwierało się owiane

złą sławą Morze Południowochińskie. Pływali po nim piraci, a jego brzegi były nieprzyjazne.

James został marynarzem. Wiedział już, jak i z kim wymieniać jednego papierosa na dziesięć sucharów. Rozpoznawał gwiazdy i wspinał się aż na sam szczyt głównego masztu. Utrzymywał się na nim siłą samych palców u stóp.

Kiedy był wysoko, czuł się wolny. Tam na górze, nie czując pod stopami desek pokładu, miał wrażenie, że dotyka nieskończoności. Patrzył w dal, na horyzont, za którym znikało zachodzące słońce. Czasami za kilwaterem widział czerwone burzowe chmury, czasami zdawało mu się, że widzi port, w którym zaciągnął się na statek.

A gdy zdarzało się, że wstrząsał nim lodowaty dreszcz, zawsze obok był Salvo z dolnego mostka, który śpiewał swoją piosnkę:

Scirocco chiru e tramuntana scura, mentiti in mañ senza paura. Scirocco chiru e tramentata scura, mentiti in mañ... - Senza paura - kończył James i schodził na dół.

Był początek roku, kiedy wpłynęli na wody Indonezji. Otaczał ich pejzaż pełen światła. Nie mogli wyjść ze zdumienia, jak było silne. Mieli wrażenie, że po raz pierwszy otworzyli oczy. Na ciemnoniebieskich wodach morza płąsały srebrne refleksy. A na niebie nie widać było ani jednej chmurki.

To chyba był ten słynny Wielki Wschód, o którym opowiadali marynarze.

Miejsce, gdzie rodzi się słońce.

Hope niedawno opuścił port w Singapurze. Załadowano na niego około dwudziestu zapieczętowanych drewnianych skrzyń. Wraz z nimi na pokładzie pojawił się tajemniczy pasażer. Mówiono, że obrali kurs na północny wschód i mieli rozkaz, aby odebrać dużą partię herbaty w Sajgonie. Ale, zdaniem Jamesa (i wielu innych), statek płynął za bardzo na wschód, aby mogli dotrzeć do Sajgonu.

Stare określenie „podejrzliwy jak marynarz” nie jest wymysłem pisarzy. Podczas południowej przerwy James poczuł w powietrzu dziwne napięcie. Zaciekawiony, dołączył się do reszty załogi, gdy spożywali posiłek.

- Dziwne wieści krążą po pokładzie... - wyszeptał do niego Salvo i zrobił mu koło siebie miejsce.

James usiadł obok niego i słuchał uważnie. Większa część załogi nie miała w ogóle pojęcia, gdzie się znajdowali. Po tych wodach żeglowali po raz pierwszy. Zdawali sobie jednak sprawę z tego, z jakimi niebezpieczeństwami przyjdzie im się zmierzyć. W opowieściach o tej części świata roilo się od smoków i potworów, pięknych i złych kobiet, łowców głów i kanibali uzbrojonych w dmuchawki, pogańskich wielbicieli ognia, potężnych bóstw, które kolekcjonują czaszki, oraz wojowników o wytatuowanych twarzach.

Zapieczone skrzynie załadowane w Singapurze były kolejnym ulubionym tematem rozmów marynarzy. Według jednych miały zawierać złoto i drogocenne klejnoty skradzione radży, według innych broń, magiczne amulety, a nawet składniki potrzebne do wytworzenia kamienia filozoficznego.

A tajemniczy pasażer wciąż zmieniał tożsamość, stając się raz szpiegiem, innym razem zaś alchemikiem.

James patrzył kolejno na swych współtowarzyszy żeglugi i spijał z ich ust wszystkie te opowieści.

Wreszcie stary Abraham krzyknął:

- Starczy tych głupstw!

Wszyscy zamilkli, a on wyjaśnił, że żeglował już po tych wodach. Był w Manili i Dżakarcie, przepływał obok Moluków, a kiedyś zawinął do portu w Hongkongu z dostawą opium.

- Naprawdę przewoziłeś opium, Abrahamie? - zapytał kpiąco Delroy.

Opium było wówczas najcenniejszym towarem z przemytu. Nie bacząc na zakazy, Anglicy kupowali narkotyk w Indiach i przewozili go do Chin, dopóki nie wybuchła pierwsza wojna opiumowa.

- Oczywiście, Delroy! Każdy angielski marynarz przewoził przynajmniej raz w życiu opium! Może nie? A jak sądzicie, co się znajduje pod pokładem Hope? Listki herbaty? - zaryczał Abraham i wszyscy się roześmieli.

- Kapitan Butler powiedział...

- Daj spokój, głupi Belgu! Chyba nie sądzisz, że uwierzę, że kapitan Butler rozmawiał z tobą o tych tajemniczych skrzyniach!

Znów rozległ się śmiech, a Delroy poczerwieniał na twarzy. Miał niespokojne, rozbiegane oczy, a usta wykrzywił mu grymas wściekłości.

- Ty stary koźle! - wysyczał. - Zapytaj O'Malleya, co przewozimy!

Uderzył łyżką o menażkę.

- A od kiedy to można wierzyć chociaż jednemu słowu O'Malleya? - odparł Abraham.

- Mógłby ci nawet powiedzieć, że przewozimy damskie pończochy albo kły słonia! Tobie i tak byłoby wszystko jedno! Jesteś tylko marynarzem!

- Nieźle powiedziane, Abraham! Co nas właściwie obchodzi, co przewozimy?

- Co przewozimy, to przewozimy!

- Najważniejsze, żeby nikt nam nie przeszkadzał!

Rozmowa zamieniła się w końcu w pełną przekleństw kłótnię.

Jako ostatni przemówił Junior, tamilski przewodnik. Mówił rzadko, a jego akcent był tak tajemniczy, że za każdym razem, kiedy otwierał usta, mimo że o to nie prosił, natychmiast zapadała cisza.

- Sztuczne zwierzęta... - powiedział.

Wszyscy spojrzeli na niego zdumieni.

- W skrzyniach przewozimy sztuczne zwierzęta. W Singapurze widziałem, jak je do nich wkładano.

Marynarze wymienili między sobą spojrzenia.

- Sztuczne... zwierzęta? - wybełkotał zaskoczony James.

- Dokładnie rzecz biorąc, są wypchane słomą. I mają szklane oczy - powiedział Junior, dotykając palcami powiek.

Słowa Tamila wywołały niepokój. Sama myśl, że przewożą zwierzęta ze szklanymi oczami, sprawiła, że przesądni marynarze poczuli się nieswojo.

Rozchodzili się w ciszy, nie znajdując w sobie dość odwagi, aby dalej rozmawiać na ten temat.

Nikt z załogi nie wiedział, kim był pasażer, który wszedł na pokład statku dokładnie wtedy, kiedy pojawiły się na nim skrzynie. Nie wychodził z kajuty przez pierwsze tygodnie, stając się tematem plotek i domysłów.

Hope rzucił kotwicę w zatoce jakiejś wysepki, naprzeciw osady, za którą rozciągał się gąszcz zieleni. Miasto było ukryte w dżungli. Nad drzewami połyskiwały w słońcu złoczone wieże świątyń. Zwoje lian zwisały z gałęzi tuż nad powierzchnią wody. Malutkie łodzie z portu podpływały do cumujących tu statków i wymieniały towary. Potem rozprasały się po powierzchni morza jak owady po tafli stawu.

Wyspa porośnięta była tropikalnym lasem, który piął się po górskich zboczach. Drzewa zdawały się sięgać dachu z niskich chmur skrywających niebo.

Było bardzo gorąco. Upał i zaduch nie pozwalały Jamesowi zasnąć.

Chłopiec porzucił więc swój hamak w samym środku nocy. Wszedł na pokład, mając nadzieję, że orzeźwi go morska bryza. Na próżno. Hope był nieruchomy. Powietrza ani wody nie poruszał najlżejszy nawet podmuch. Ciemna ściana lasu wydawała się schodzić pod morze; w oddali świeciły latarnie, a w górze, tuż pod chmurami, płonęło wielkie ognisko. Słychać było nieprzerwany hałas trąb, gongów i bębnow.

To była muzyka indonezyjskiego gamelanu, święta i barbarzyńska zarazem.

- To musiał być ktoś bardzo ważny - zauważył jakiś marynarz, który podobnie jak James nie mógł zasnąć i obserwował światła na lądzie. Stał w cieniu i patrzył na ogień

pożerający z wolna bambusową wieżę.

- Pałą ciało... - wyszeptał chłopiec. - Nie chciałbym być na jego miejscu - dodał, kiedy wieża zaczęła się przechylać.

- Naprawdę? A ja uważam, że to najlepszy sposób na odejście... - rzekł marynarz. - To lepsze niż gnicie w ziemi.

- Ja umrę na morzu - powiedział spokojnie James.

- W takim razie życzę ci, żeby to nastąpiło możliwie jak najpóźniej.

- Miejmy nadzieję - rzekł chłopiec poważnie.

Przez moment w ciszy patrzyli, jak fale odbijają blask ognia, a po chwili James dodał:

- Wiesz, co jest najlepszego w byciu martwym?

- Nie - odpowiedział marynarz.

- Ze nie musisz już się zajmować należącą do ciebie przestrzenią.

Nieznajomy roześmiał się.

- Nie wiedziałem, że mam filozofa na pokładzie. Jak się nazywasz?

- James, a ty? - chłopiec wyteżył wzrok. Starał się rozpoznać w ciemności rysy twarzy swojego rozmówcy. - Wydaje mi się, że nigdy przedtem cię nie widziałem.

To był Wilhelm Scott Butler, kapitan Hope.

Następnego ranka Jamesa obudził głos O'Malleya.

- Pobudka! Myć się! Wstawać! - wrzeszczał, jakby za chwilę miał nastąpić piracki atak.

A gdy zaspani marynarze nie zrywali się z hamaków dość szybko, kręcił młynka zawiązanym na supel prześcieradłem i uderzał nim tych, którzy - jak sądził - jeszcze spali.

James stoczył się z hamaka, zdjął go i zwinął. Potem ruszył do kambuza, pomóc Cirowi z sucharami.

Zatrzymał go Salvo, mówiąc: - Wracaj, schodzimy na ląd.

W mgnieniu oka znalazł się w szalupie razem z dwójką Włochów, Juniorem i cieślą. Oprócz nich w stronę lądu popłynęły jeszcze trzy inne łodzie. Dzięki sile ramion marynarzy szalupa szybko przybiła do zatłoczonej przystani. Były tam zacumowane łodzie w kształcie gondoli i stateczki poruszane długimi bosakami. Jak okiem sięgnąć wszędzie na gałęziach wisiały flagi we wrzaskliwych kolorach.

Dzieci skakały do wody z kamiennych stopni przypominających zatopione częściowo schody. Za nimi wznosiły się potężne budynki zbudowane z ciemnego kamienia, które dopiero po dopłynięciu do brzegu stały się widoczne wśród gęstej roślinności. Jak nakręcony biegał między kojami i hamakami

Zaskoczenie marynarzy wywołał przefruwający obok, niczym niebieska strzała, zimorodek. Wybuchnęli śmiechem. Wodne kanały wydawały się nie mieć końca. Stały nad nimi domy, rosły szpalery gęstych palm i bananowce o błyszczących liściach.

James włożył rękę do wody i przez chwilę przyglądał się, jak przepływa między jego palcami, ale szybko ją wyciągnął, gdy Salvo na migi zademonstrował, jak krokodyl odgryza mu dłoń.

Zacumowali u stóp szerokich schodów. Weszli po nich, rozglądając się ciekawie. Wokół roztaczał się intensywny zapach.

- Dokąd idziemy? - zapytał James, krocząc wraz z przyjaciółmi po rozgrzanych słońcem, porowatych kamieniach.

- Na targ, musimy zrobić zakupy - odpowiedział Ciro. Ale ton jego głosu zdradzał, że to nie była cała prawda. Kucharzem powodowała ciekawość. Chciał zejść na ląd i dokładnie się rozejrzeć.

Chodzili po mieście przez większą część dnia. Snuli się po wielkim targu bardziej z ciekawości niż z konieczności, a Ciro targował się o każdą rzecz: wpadał we wściekłość, krzyczał, oburzał się i udawał, że odchodzi. To było prawdziwe przedstawienie, w którym grał główną rolę.

Załadowali kupione towary na szalupy. Znalazło się tam dziesięć prosiąt, kilka koszyków z rybami, kora wierzbowa i chinina. Potem wrócili na targ. Z ciekawością przyglądali się koszykom wypełnionym perłami i bursztynem, ale dłużej zatrzymali się przed straganem, który wypatrzyli dwaj Włosi.

Rozdział

- To papier! - powiedział uradowany chłopiec, kiedy go tylko zobaczył.

Ciro targował się do upadłego, negocjując cenę trzech nowych zeszytów na pamiętniki Jamesa.

Wczesnym popołudniem targ zaczął zamierać.

Handlarze liczyli swój utarg - wysypywali na specjalnie skonstruowane stoliki z różnej wielkości otworami srebrne i miedziane monety, które wcześniej chowali do małych toreb.

- Trzeba już wracać na statek - zdecydował Ciro, popijając gorzką herbatę. - Wy już skończyliście? Giacomo, jesteś tu jeszcze?

James skrzyżował właśnie spojrzenie z dziewczyną o kruczoczarnych włosach i zielonych oczach. Była tak piękna, że zachwycony jej urodą chłopak zaniemówił z wrażenia i przez chwilę nie był w stanie się poruszyć.

- Kogo zobaczyłeś? - zapytał Salvo.

- Chyba anioła - odpowiedział chłopiec z uśmiechem.

- Daj spokój temu aniołowi! - wykrzyknął Ciro. - W moich stronach mawia się, że mężczyzna powinien się bać dwóch rzeczy: morza i kobiet.

Przyjacielsko poklepał przewodnika po ramieniu i zapytał głosem świadczącym o tym, że jest w wyśmienitym humorze:

- A w twoich stronach co się mówi, Salvo?

- Że każdy anioł zapowiada burzę... - odpowiedział Salvo, uważnie patrząc na niebo.

Powietrze stało się dziwnie lekkie. Morze wyglądało jak pokryte niewidzialną patyną, która drżała przy najmniejszej zmianie wiatru.

Czterech mężczyzn wiosłowało powoli. Za nimi płynęły trzy szalupy załadowane kupionymi na targu towarami. Dobili do burt Hope i zaczęli wspinać się na pokład. W połowie drogi James usłyszał kilka słów z jednej z oficerskich kajut. Jej okienko znajdowało się o kilka piędzi od niego.

Szybko rozpoznał głos kapitana Butlera i charakterystyczny głos Abrahama.

- To niesubordynacja, marynarzu! - grzmiał Wilhelm Butler. - A wiesz, jaka jest kara za niesubordynację?

- Niech pan oszczędza powietrze, kapitanie! - mówił podniesionym głosem Abraham.

- Pływam na morzu o wiele dłużej niż pan!

- Marynarzu Abraham! Proszę mnie nie zmuszać...

Nacisk, z jakim wypowiedział to zdanie, przekonał Jamesa, że warto się zatrzymać i słuchać dalej.

Nie wyglądało to na zwykłą kłótnię.

- Chcę być z panem szczerzy, kapitanie Butler... - ciągnął marynarz - bo znamy się od trzydziestu lat!

- To jedyny powód, dla którego nie kazałem cię wychłostać, Abraham! Co zamierzasz zrobić?

- Chcę zejść na ląd, kapitanie. Proszę mnie zostawić na wyspie i płynąć dalej!

James otworzył szeroko oczy ze zdziwienia.

- Mam nadzieję, że nie mówisz poważnie!

- Nie możemy jutro wypłynąć, kapitanie. Nie po to dożyłem swych lat, aby teraz gupio ryzykować podczas burzy.

- Wszystko w porządku, James? - zapytał Salvo z pokładu.

Chłopiec kiwnął potakująco. Wspiął się o kilka cali i znów udało mu się usłyszeć kilka słów.

-...śledzeni z powodu misji, Abraham.

- Beze mnie, panie Butler. Może pan nawet pomyśleć, że na starość zwariowałem. Proszę mnie wychłostać i powiesić... albo, po prostu, niech mi pan da na pół godziny jednego z ludzi i szalupę. Zejdę na ląd.

James nie słuchał dłużej.

- Co ci się stało? - zapytał Salvo, pomagając mu wejść na pokład.

James nie miał nawet czasu odpowiedzieć. Zobaczył, jak Abraham wychodzi z kapitańskiej kajuty.

Przeszedł obok Jamesa i zwrócił się do marynarzy:

- Spuśćcie szalupę na morze. Schodzę na ląd. Schodzisz ze mną? - zwrócił się do Jamesa, próbując poklepać go po ramieniu. Ale James się uchylił. Był dziwnie poruszony tym, co przed chwilą usłyszał. Chwycił jeden z przywiezionych worków i poszedł za Salvem do kambuza.

- Według ciebie nasz rejs to misja? - zapytał go, zanim zaczęli schodzić wąskimi schodkami na dolny pokład.

- O jakiej misji mówisz? - odpowiedział Sycylijczyk.

- No właśnie - zgodził się James. - Ja też dotąd nic o niej nie wiedziałem.

Ale w ostatnim momencie, kiedy właśnie mieli zniknąć pod pokładem, James

dostrzegł błysk okularów.

Dwa okrągłe szkła i metalowa oprawka. Ktoś patrzył na niego zza drzwi oficerskich kajut.

- Ej! - krzyknął James i zatrzymał się nagle.

Kiedy jednak znów spojrział w tamtym kierunku, drzwi korytarza prowadzącego do kajut oficerów były już zamknięte.

Hope podniósł kotwicę o ósmej rano, a kapitan Butler dał rozkaz Alwinowi i Rope'owi, aby rozwinęli żagle. Dzięki temu mieli szybko osiągnąć jak największą prędkość. Wyruszyli na pełne morze. Kierunek: południe - południowy wschód. Dla Jamesa stało się jasne, że nie płyną do Sajgonu.

Głośnie stado ptaków towarzyszyło im, dopóki nie wypłynęli na pełne morze, a Jamesowi te płaczące ptasie krzyki wydawały się ostrzeżeniem. Nikomu nic nie powiedział ani o rozmowie, ani o tym, że kurs na południe wydawał się dziwny. Ale był niespokojny i czujny.

Niebo pozostało szare i groźne przez cały dzień, a stały wiatr popychał pochylony na falach statek. Głębokie zielonkawe morze oblewało dziób białymi słonymi falami.

James całe rano pracował w kambuzie, czujny na każdy ruch fali, a w czasie południowej przerwy wziął swoją porcję sucharów, uderzył nimi o główny maszt, aby wypęzły z nich owady, i wspiął się aż do połowy masztu.

Oparł się plecami o drewno i jadł, patrząc w zamyśleniu na otaczające ich morze.

Dokąd właściwie płynęli? I o jakiej misji wspominał kapitan Butler?

Nie miał pojęcia, i co gorsza, nie mógł nikogo o nic zapytać - najniewinniejsze pytanie, doskonale o tym wiedział, wywołałoby lawinę plotek.

Hope trafił nieoczekiwanie na szczególnie wysoką falę; masa spienionej wody uderzyła o pokład, wywołując przekleństwa marynarzy. James o mały włos nie spadł z masztu, a suchary - jego posiłek - wypadły mu z ręki.

- Lepiej, że to one znalazły się za burtą, a nie ty! - krzyknął Alvin. - Wszystko w porządku?

- Tak! - zapewnił go James, mocno trzymając się masztu.

Hope z trudem utrzymywał się na powierzchni. Fale to unosiły go w górę, to strącały w dół.

- Trzymaj się! - ostrzegł go Alvin.

Bosman O'Malley coś krzyknął, zakręcił sterem i statek podskoczył jeszcze raz. James przyłgnął do masztu i czekał, aż kadłub roztrzaska się na tysiące kawałków, ale nic takiego się

nie stało. Kiedy statkowi udało się pokonać kolejną potężną falę, morze trochę się uspokoiło.

O'Malley wciąż wrzeszczał, a marynarze wspięli się na drabinki, aby zmniejszyć powierzchnię żagli. James znalazł się w środku zamieszania i zaczął pomagać Alwinowi związać jeden z nich. Był olbrzymi i ciężki, a jednak udało im się związać go pośrodku. Potem rozwinęli żagle mniejszych masztów, a wiatr ze świstem natychmiast je wyrzucił.

Okręt przechylił się w przeciwnym kierunku.

Wzięli kurs na południowy wschód i nie napotkali już tych niezwykłych fal, oświetlonych dziwnym szarawym światłem, które sprawiało, że powierzchnia wody przypominała granitową płytę.

Walka z falami, choć wygrana, wprawiła całą załogę w okropny humor i nawet „specjał mięsny” zaserwowany na kolację nie był w stanie poprawić marynarzom nastroju. Na dodatek Ciro dodał do dania jakiejś nadzwyczaj pikantnej przyprawy, od której nos puchł, a łzy same płynęły z oczu.

- Dalej, Delroy! Dalej! - śmieli się mężczyźni, kiedy kanonier wybałuszył oczy i się zakrztusił.

Statek trzeszczał i kołysał się na falach.

Truman pociągnął nosem, stwierdził, że to diabelskie mięso, i nawet go nie tknął.

- Nieważne, czy przyrządził pieczeń z samego diabła czy z czegoś innego... - Berret z Manchesteru zaśmiał się głośno. - To jest piekielnie dobre! Daj mi swoją porcję, Truman! Zjem za ciebie!

Wtedy następna fala zakolysała statkiem i wywróciła menażkę Trumana z gorącą porcją jedzenia.

Kilku poparzonych marynarzy zakłęło, a pozostali wybuchnęli śmiechem. Prawie wszyscy.

- Ciekawe, czy popijają wino ze swoich sreber - powiedział z ironią w głosie Delroy, patrząc ponuro w stronę oficerskich kajut, z których dobiegały dźwięki odkładanych sztućców i sączyło się światło lamp.

- Oni nie piją ze sreber - wtrącił Chet Siedem Zon - ale z kryształów. Z kryształowych kielichów.

- W takim razie, życzę im, aby im popękały w rękach! Wtedy nauczą się, że nie należy opuszczać portu przy takiej pogodzie... - rzeki Delroy, grzebiąc łyżką w menażce.

James starał się przełknąć ostry kawałek mięsa, nie wzbudzając zainteresowania współtowarzyszy. Salvo rzucił jednak w jego stronę zatroskane spojrzenie.

- Wszystko w porządku - powiedział cicho James i skrzywił się.

Statek wciąż kołysał się na falach i z każdą chwilą kołysał się coraz bardziej.

Kiedy kończyli posiłek, zaczęło padać. Powolne, rzadkie i ciężkie krople wpadały do wody jak rzucone z nieba kamyki.

Marynarze z drugiej wachty zeszli pod pokład. O'Malley włożył nieprzemakalny ceratowy płaszcz i stanął za sterem. Jeden z marynarzy zaklął głośno, choć wszyscy wydawali się spokojni.

Pod pokładem Tenten, Rope i Delroy znaleźli dwa karaluchy i zorganizowali zawody. Narysowali węglem krąg na kawałku płótna. Przyjmowano zakłady, który z karaluchów jako pierwszy wyjdzie poza krąg.

James nie uczestniczył w tej zabawie, postanowił zanotować w swoim dzienniku, co poprzedniego dnia widział na targu. Trudził się nad doбором właściwych słów, gdy próbował opisać dziewczynę o zielonych oczach; pisał i skreślał. Na koniec zanotował: „Piękniejsza od bogini Parwati”.

I właśnie wtedy statek wydał z siebie przeciągły jęk, uniósł się na falach i zaraz zaczął spadać w morską otchłań.

Hamak Jamesa prawie oderwał się od przytrzymujących go haków, a jego zeszyt poszybował gdzieś daleko. Słyszał przekleństwa marynarzy i zaraz potem ku swemu przerażeniu spadł na ziemię.

Poszukał wzrokiem Salvo. Sycylijczyk siedział w kącie i podśpiewywał sobie cicho.

A może to tylko serce Jamesa z przerażenia waliło jak szalone?

Chłopiec postanowił wziąć się w garść. Podniósł z podłogi zeszyt i siłą woli starał się uspokoić oddech. Szedł, zataczając się, między kojami. Hope rzucał nim to w jedną, to w drugą stronę.

Scirocco chiru e tramuntana scura...

Statek unosił się i opadał. Jamesa ogłuszał huk fal uderzających raz po raz o dziób. Czuł wodę rozbijającą się o kadłub i słyszał złowróźbne skrzypienie jęczącego z wysiłku głównego masztu.

Chet Siedem Zon poturlał się po podłodze. Potem usiadł na swojej koi i znieruchomiał. Udawał, podobnie jak każdego wieczora, że czyta książkę. Kiedy James pytał go, o czym czyta, za każdym razem otrzymywał inną odpowiedź.

- Hej, Chet! - zawołał James.

Ryk morza był jednak tak głośny, że Chet go nie słyszał.

I wtedy James zrozumiał. Wszyscy udawali. Salvo udawał, że sobie podśpiewuje, a tak naprawdę się modlił. Chet udawał, że czyta. Hurricane udawał, że gra w warcaby, przestał

nawet kaszleć.

Mentiti in mari senza paura...

Ale nawet Salvo zamilkł, kiedy uderzyła w nich kolejna fala. Słysząc było jęczenie takielunku. Uderzenie, pustka, opadanie. Skrzypienie, jęk drewna, poskręcane sznurki hamaków.

Nie mógł tu już dłużej wytrzymać! Podbiegł do schodków wiodących na pokład. Na górze uderzył w niego najpierw deszcz, a zaraz potem wiatr.

Oślepiiony poślizgnął się na mokrym drewnie pokładu. Drzwi zatrzęsły się za nim.

A potem Jamesowi objawiła się burza.

Widział, jak kapitan Butler z całych sił stara się utrzymać ster. Jego ceratowy, podarty na strzępy płaszcz powiewał na wietrze.

Widział przytwierdzonych do masztów marynarzy, przywiązali się do nich ze strachu, że zostaną zmyci z pokładu przez fale. Słyszał krzyki i rozkazy. A w górze zobaczył podarte żagle głównego masztu i malutkie czarne punkciki, resztę załogi, która starała się związać poszarpane żagle albo przynajmniej je odciąć.

Zobaczył też białe błyskawice przecinające czarne niebo i raz po raz uderzające w morze jak meteory.

Statek miotał się jak szalony. To wznosił się, to opadał, raz pochylał się do przodu, a raz do tyłu.

Kilka beczek wyswobodziło się z więzów i roztrzaskało o górny pokład. Ich deski latały wokoło jak deszczułki wachlarza.

James nie był przygotowany na taką burzę. Schylił się i szukał czegoś stabilnego, by móc się przytrzymać. W chwilę potem ogromna fala powaliła go, pozbawiając tchu. Chwytał mocno cumę. Skaleczył się. A potem uderzył o jakiś rant. Poczul, jakby ktoś wrywał mu ramię. Ale kiedy fala już się przewaliła, on, ledwo żywy, wciąż leżał na pokładzie. Marynarze krzyczeli. Chcieli zagłuszyć huk morza.

Próbował wstać, ale cuma, którą trzymał, owinęła mu się wokół ramienia i prawie je zmiążdżyła. Rękę miał siną, a skóra na niej była zdarta.

Zrozumiał, że musi tak jak inni zacząć walkę z żywiołem albo nie powinien znajdować się tu, na górnym pokładzie. Nie wiedział, czy podoła, ale nie mógł zejść pod pokład. Tam czuł, że się dusi.

Przeżyć.

To było to, co musiał zrobić.

Odszukał wzrokiem główny maszt i haczyki podtrzymujące żagle. Widział, że

marynarze pokazują mu na migi, że nadchodzi nowa fala.

James skoczył do przodu, poślizgnął się, ale na szczęście znalazł się obok współtowarzyszy. Chwycili go, unieśli i przyczepili specjalnymi hakami do masztu, zanim zdążył wypaść za burtę.

- Do stu tysięcy nieszczęść, James! Co ci strzeliło do głowy!

Barret. To był Barret.

Jego silne ręce mocno go trzymały i przywiązywały do masztu. James poczuł, jak cuma oplata mu się wokół pasa. Nie chciał tego i wyswobodził się. Nie chciał być skrepowany. Nie chciał być unieruchomiony!

- Wracaj pod pokład! Tu jest niebezpiecznie!

- FALA! - krzyknęli ostrzegawczo marynarze.

James odgarnął sobie włosy z twarzy. Był taki moment absolutnej jasności i ciszy, gdy widział wszystkich wokół: Barreta, Juniora, Convoya, Ridoliniego, Shustera, Preudhomme'a... Widział zmarszczki, skaleczenia, poparzenia. Widział strach i determinację. Widział gasnące światła latarni. Jedna z cum przelatywała przez pokład od lewej burty do prawej jak wąż lub gilotyna. Potem Alvin otworzył drzwi od dolnego pokładu.

Wtedy James widział go po raz ostatni.

Nie zdążył krzyknąć, żeby Alvin wracał na dół.

Kapitan Butler ze wzniesioną ręką i szeroko otwartymi ustami wskazywał na coś, co nadchodziło z góry.

O'Malley zataczał się ogłupiały w strugach deszczu.

A potem cisza przeszła w huk.

Huk pochłonął ich wszystkich.

James myślał, że nie żyje.

I że śmierć jest płynna i cicha.

Nie czuł nic. Nic nie widział. Nie potrafił powiedzieć, czy się rusza czy jest nieruchomy. Czy się wznosi, czy opada. Czy jest mu zimno, czy ciepło.

I właśnie tak było dobrze.

Wiesz, James, co jest najlepszego w byciu martwym?

Nie wiem, James.

Ze nie musimy już przejmować się przestrzenią, którą zajmujemy.

Jesteś filozofem, James.

Naprawdę jestem filozofem?

Tak, filozofem, który zginął na morzu w wieku czternastu lat.

Wiesz James, co jest najlepsze?

Cisza.

I nieobecność innych. Wszystkich tych, którzy chcą odegrać jakąś rolę w twoim życiu. Którzy przeciągają je na swoją stronę, kierują nim i traktują je tak, jakby to do nich należało...

A potem w tej ciszy James poczuł uderzenie. Coś ciężkiego i twardego prawie przetrąciło mu kręgosłup.

Wtedy krzyknął, ale krzyk uwiązł mu w gardle. Zamienił się w bańki..

James zwinął się jak zraniony kot.

Nie był martwy - żył.

I był w morzu.

I ktoś albo coś go uderzyło.

Zachłysnął się i próbował się zorientować, gdzie jest powierzchnia, a gdzie dno. Wtedy dostrzegł błyskawicę i zrozumiał: to tam były chmury, ale zasłaniała je woda.

A zatem tonął.

Obrócił się wokół własnej osi, ruszył biodrami i zaczął płynąć w kierunku powierzchni.

W stronę błyskawic.

Czuł, jak ciała i przedmioty tuż obok niego opadają w morską głębinę. Czarne i olbrzymie. Szpagaty jak morskie węże. Skrzynie.

Zamknął oczy, nie myślał, płynął. Był zmęczony. Obolały. Wycieńczony.

Wiesz, że może być pięknie, kiedy jest się martwym, James? Gorące dłonie ciągnęły go w dół, cisza wabiła go jak słodka muzyka. To przyzywały go podmorskie otchłanie. Nareszcie spokój. Nieruchome i wieczne bycie sobą.

„Ja umrę na morzu” - powiedział nie tak dawno do kapitana Butlera.

Beczki. I... ludzie jak marionetki.

Ale nie teraz!

James był posłuszny szalonemu rytmowi swego serca, choć jego mięśnie nie miały już sił, płuca pełne były słonej wody, choć prawie nic nie widział.

Nie teraz.

Płynął pod prąd, sam przeciw całemu oceanowi.

Wiesz, James?

Jeszcze jeden wymach ramion. I drugi. I trzeci. Płynął w stronę grzmotów i błyskawic, które uderzały w fale jak ogniste meteoryty.

Wiesz, James?

Wiedział.

Ale.

Nie.

Teraz.

Wiesz...

- JAMES! - krzyknął, wypływając na powierzchnię. - JAMES! - powtórzył, wykrztuszając swoje imię jak wyzwanie rzucone

Obrócił go prąd, przykryła go fala, ale znów się wynurzył.

- NAZYWAM SIĘ JAMES FRY! - krzyknął chłopiec, który

Morze huczało wokół niego, a zimny wiatr gnał po nim spienione fale. niebu. miał się nigdy nie narodzić. - I ŻYJĘ!

Piana?

James się zakrztusił. Skrył się pod wodą, a kiedy wypłynął, zobaczył odległy pas lądu, białe linie skał. A potem znów przykryła go woda.

Płynął jak szalony, a kiedy był już na powierzchni, starał się zrozumieć, co się wydarzyło: statek się rozbił. Był rozbitkiem.

Został zmyty do morza przez ostatnią, najpotężniejszą falę. Tak. „Ale... gdzie jest Hope? I gdzie są wszyscy?” - myślał przerażony.

Wokoło pływało wiele rzeczy. Czarne cienie. Cumy. Strzępy tkanin. Płynął, aby je wyłowić. Co się stało?

Strzępki. Kawałki desek. Beczki. Pływały na powierzchni wody tuż obok niego. James mógł chwycić kawałek drewna obok siebie i...

Przerażony, wciągnął głęboko powietrze. Drewniane części statku jak okiem sięgnąć kołysały się na wodzie: belki, kabestany, kufry, skrzynie, żagle, takielunek... i...

Co to było? Co płynęło o kilka metrów od niego?

Czekał na światło błyskawicy.

A kiedy wreszcie światło z nieba oświetliło wodę, stłumił okrzyk. „To niemożliwe” - powiedział do siebie. „To niemożliwe!”

To był tygrys.

Tygrys, który unosił się na wodzie tuż obok niego.

„Ale przecież to niedorzeczne, tygrys pośrodku morza!” - wydawało mu się, że zaraz oszaleje.

Huk roztrzaskiwanych o skały fal nie pozwalał mu myśleć. Skały? Ziemia? Wyspa? Tygrys?

Co się wydarzyło na Hope?

Potem zobaczył następną postać. Światło błyskawicy - i miał już pewność: człowiek. Człowiek, który, podobnie jak on, wymachiwał rękami, płynąc w kierunku skał.

Chciał dopłynąć do skrawka lądu.

„Tak” - pomyślał James.

Przeżyć. Musiał przeżyć.

A potem będzie mógł sobie zadawać inne pytania.

Trzeba płynąć w stronę skał. Przewyciężyć siłę prądu. W stronę skał.

Płynął desperacko. Znow złapał oddech. Wynurzył się w odległości mniej więcej metra od tygrysa.

Był to imponujący okaz. Szczyrzył kły, a jego oczy...

James się zakrztusił.

Jego oczy... były zupełnie nieruchome.

Chłopiec wyciągnął ręce w jego stronę i uczepił się go. Zwierz nie stawiał oporu.

Podpłynął do niego i przytrzymał z całych sił.

Tygrys patrzył na niego swoimi szklanymi oczami. James chwycił mokre futro i ostatkiem sił wspiał się na wielkiego zwierza, pozwalając się unosić prądowi.

Był już dzień, gdy się ocknął.

Leżał na piasku, a o kilka kroków od niego znajdował się wypchany tygrys.

Nie zauważył nic więcej. Wzrok mu się mącił, bolało go całe ciało i wszystkie kości.

Przestało padać.

Woda morską lizła mu delikatnie stopy.

Wypluł słoną wodę. Chciał spojrzeć na niebo, więc odwrócił się na bok. Wtedy napotkał szklany wzrok zwierzęcia, które uratowało mu życie. Wkoło pełno było mokrej słomy.

Jamesowi wystarczało to, że oddycha. Czekał. Usłyszał jęczenie, a potem napad kaszlu. To nie on kaszlał.

Przestraszył się. Chciał usiąść. Jednak przy każdym ruchu czuł przeszywający ból i miał wrażenie, że zaraz pęknie mu kręgosłup.

Na szczęście nie pękł. Bolały go tylko mięśnie, nic poza tym mu się nie stało.

Wzdłuż brzegu szedł jakiś mężczyzna. Ślady, które zostawiał na piasku, natychmiast zacierały fale.

Zataczając się, szedł w stronę tygrysa. Miał na sobie poszarpane ubranie, a buty związane sznurówkami zawiesił na szyi.

- Hej - James rozpoznał go bez trudu.

Kręciło mu się w głowie, dzwoniło w uszach i nie był do końca pewny, czy udało mu się wydobyć z siebie jakieś słowo. Uniósł rękę w geście powitania.

- Delroy - wyszeptał. - Delroy, to ty?

Ten drugi chyba dopiero wtedy go zauważył, bo zatrzymał się w połowie drogi.

- Tak! To ja! - James oparł się o wypchanego tygrysa i trzymał rękę w górze. Opuścił ją dopiero wtedy, kiedy podszedł do niego kanonier z Hope.

- Jak ci się udało, Fry?

- Ja... nie wiem... Ostatnia rzecz, którą pamiętam, to to, że udało mi się wdrapać na... niego.

- Co to, u diabła, jest? - splunął Delroy i odwrócił na drugą stronę wypchanego tygrysa. - Wszystko w porządku? Nic sobie nie złamałeś?

- Nie. Chyba nie. Przy każdym ruchu czuję ból, ale... A ty? To znaczy... Co się właściwie stało?

Delroy miał włosy posklejane krwią. - Stało się to, że się rozbiliśmy. To się właśnie stało.

- Rozbiliśmy się... - wybełkotał James. - Tak, to wiem, ale... Jak? Nie... nie mogę w to uwierzyć...

Osunął się na ziemię. „Zginęli” - pomyślał. „To nie mogła być prawda”.

Czuł się, jakby był w innym świecie. Nocą płynął w stronę groźnego czarnego zarysu. Teraz siedział na spokojnej, piaszczystej, porośniętej palmami plaży.

- Ktoś jeszcze przeżył? - zapytał Delroy.

- Nikt, z tego co wiem - odpowiedział James.

Kanonier nerwowo obserwował plażę. - Ze mną jest jeszcze dwóch.

- Kto?

- Truman i przewodnik.

- Junior?

Delroy kiwnął głową. - Niezła gromadka...

James z trudem podniósł się i wtedy zobaczył w oddali dwie sylwetki. Mężczyźni brodzili w wodzie, starając się wyłowić z morza różne rzeczy, które kiedyś stanowiły wyposażenie Hope.

- I nikt inny się nie uratował?

- Nie wiem, Fry! Skąd mam wiedzieć? Wyglądam na czarodzieja?

- To tylko pytanie.

- Głupie pytanie.

- A... Hope?

- Byłem pod pokładem! - zawył Delroy. - Nagle wszystko poszło w górę... morze odwróciło nas do góry nogami.

James pokiwał głową.

Przypomniał sobie złowrogą ciszę, druzgocącą wszystko falę, a potem...

Potem znów ciszę.

Delroy wybałuszy! oczy i opowiadał dalej:

- Rozległ się huk, jakbyśmy uderzyli o podwodną skałę. Wszystko rozpadło się na kawałki... Jak puszka sardynek rozbita na miazgę... Rozumiesz? A my byliśmy w środku tej puszki... do kroćset, byliśmy w środku... - Młody kanonier przeżywał na nowo wydarzenia ostatnich godzin. - Byliśmy w środku, kiedy wtargnęła woda... i uniosła nas ze sobą.

Zrobił bardzo długą przerwę.

- A potem? - zapytał James.

- A potem znalazłem się tutaj - odpowiedział Delroy z przerażeniem w oczach.

Czterech rozbitków składało pod palmami to, co udało im się wyłowić: skrzynię szmat, z których można było zrobić ubrania, parę blaszanych misek, pięć świeczek, wkład do lampy, kawałek lustra, fragment angielskiej flagi, kilka metrów liny i kawałki drewna, beczek oraz zbiorników i skrzynek. Z jedzeniem im się nie poszczęściło: na plaży leżała beczułka kokosowego mleka, skrzynka sera, worek sucharów, które w większości nasiąkły słoną wodą i nie nadawały się do jedzenia. Wyłowiony kawałek słonego mięsa pochłonęli od razu, bez gotowania.

- Musimy tylko trochę poczekać... - powiedział Delroy, przypatrując się ich niewielkim zdobyczom - a zobaczycie, że coś jeszcze wypłynie na powierzchnię.

James miał nadzieję, że będzie dokładnie odwrotnie. I kiedy zauważył, że na powierzchni morza przestały pojawiać się nowe szczątki takielunku i beczek, wypowiedział na głos to, o czym myślał: - Jeśli już nic nie wypłynie, to znaczy, że kadłub Hope jest cały...

- Poszedł na dno - odparł Truman. Zanurzył się w wodzie aż po pas i wyjął coś, co unosiło się na wodzie.

Była to dolna część głównego masztu z przytwierdzonym do niej herbem Korsyki.

- Wszystko wskazuje na to, że Hope zatonął.

Wbili to, co zostało z masztu, pośrodku obozowiska. Rozdzielili się, by szybciej przeszukać brzeg wyspy: Delroy i Truman poszli w jedną stronę, a Junior i James w drugą. Po wejściu na wzniesienie James i jego towarzysze stwierdzili, że teren układał się podobnie w

obydwu kierunkach. Wyspę porastał gęsty las.

Słońce zachodziło z lewej strony.

Juniorowi udało się jakoś skrzesać ogień. Podtrzymywali go za pomocą kilku wysuszonych na słońcu kawałków drewna. Zjedli ostatnie nadające się do spożycia suchary. Podzielili między siebie ser i popili deszczówką, którą znaleźli w zagłębieniach liści palmowych.

Jedli w zupełnej ciszy, każdy zatopiony we własnych myślach.

Zapadła noc. Na niebie błyszczało tysiące gwiazd. Żadnej z nich nie znali. Wiatr ucichł. Słysząc było jedynie trzask ognia i jednostajny szum fal.

Nagle od strony dżungli rozległ się szelest liści palmowych.

- Słyszeliście? - zapytał Delroy i zerwał się na równe nogi. Płonące polana rzucały straszne pomarańczowe cienie na jego podłużną, napiętą twarz.

- Słyszeliście to?

- To pewnie jakieś zwierzę - powiedział Junior. - Nie zbliży się do ognia. - A potem wyszeptał po tamilsku: - Biedne, małe, przestraszone dziecko.

Już od dawna James nie słyszał tego języka. Odpowiedział: - Wszyscy jesteśmy małymi, przestraszonymi dziećmi.

Delroy wziął to do siebie i spojrzał na nich podejrzliwie: - Co tam do siebie szepczecie, co? - krzyknął. - Coś knujecie?

- Nic, Delroy - odpowiedział uspokajająco James. - Mówiliśmy tylko, że znaleźliśmy się w trudnej sytuacji.

Kanonier podejrzliwie patrzył to na jednego, to na drugiego.

- A skąd mam wiedzieć, że właśnie o tym rozmawialiście?

- Siadaj, Delroy - poradził mu Junior.

- Co mówisz?

- Powiedziałem, żebyś usiadł.

- A od kiedy mi rozkazujesz, przewodniku? Hej! Spójrz na mnie! Do ciebie mówię! Rozumiesz? Do ciebie mówię!

- Przestań, Delroy - wtrącił się James. - Nic się nie stało.

- Och, popatrz! Teraz i ty mi rozkazujesz, chłopczyku? Co z wami? Pamiętacie jeszcze, kim jestem? Jestem kanonierem z Hope! Jestem tu najwyższy stopniem! I macie mnie słuchać!

Kanonier z Hope okrążył ognisko i stanął naprzeciwko nich. Już wyciągał rękę w stronę Jamesa. Ale wtedy Junior chwycił ją i wykręcił, zmuszając Delroya do pochylenia się.

Potem przycisnął jego plecy kolanem i unieruchomił go na ziemi.

- Co ty robisz? Zwariowałeś? - bełkotał Delroy, starając się wyswobodzić. - Przestań! Złamiesz mi rękę!

Ale Junior nie puszczał. Nachylił się nad kanonierem i wyszeptał spokojnie:

- A teraz mam dla ciebie dwie wiadomości, Delroy... Pierwsza: nie jesteśmy już na Hope i nie jesteś już niczym zwierzchnikiem... A druga... - Olbrzymi Tamil błysnął półksiężycem lśniącego żelaza. - Nie każdy z nas jest bezbronny.

Zbliżył ostrze noża do twarzy Delroya, który nagle przestał się szamotać.

Truman po drugiej stronie ogniska ani drgnął.

- Kiwnij głową, Delroy... - wyszeptał jeszcze Junior - żebym wiedział, że wszystko zrozumiałeś. No właśnie... ładnie...

Puścił go.

Wolny Delroy poturlał się po piachu i wycofał aż do linii palm.

- Jesteś szalony! - wybełkotał, kiedy znalazł się w bezpiecznej odległości od Tamila.

Przewodnik schował nóż i usiadł na swoim miejscu, nie mówiąc ani słowa.

Zaczął jeść.

Jamesowi wydawało się, że Truman płacze po drugiej stronie ogniska.

Kolejny raz usłyszeli jakiś ruch w listowiu.

Delroy, wpatrzony w ciemną ścianę drzew za sobą, zawołał:

- Kto to? Kto tam jest?

Ku wielkiemu zdziwieniu obecnych, z ciemności wyłonił się biały, który też wyglądał na rozbitka. Mężczyzna trzymał ręce w górze. Miał na sobie porwane ubranie. A jedno niestłuczone szkło w okularach odbiło blask ognia.

- Kim ty, do diabła, jesteś? - zapytał Delroy, wybałuszając oczy. - Ja... ja nazywam się Neville. Wright Neville... I jak sądzę... ocalałem z tego samego statku.

Jamesowi prawie wypadł z ust kawałek sera. Wright Neville.

To właśnie był ów tajemniczy pasażer Hope. cP puściłem Anglię ponad cztery lata temu... - wyjaśnił pan Neville, siadając przy ognisku i przyjmując z wdzięcznością ofiarowaną mu ostatnią porcję sera. - Pracuję dla pana Graya. Znać pana Graya? To dyrektor Muzeum Historii Naturalnej w Londynie.

A ponieważ żaden z rozbitków nie miał pojęcia, o czym mówi, pan Neville dodał wyjaśniająco:

- Mam... to znaczy miałem za zadanie zebrać dla muzeum jak największą kolekcję dzikich zwierząt, miała być największa w Europie. Zwierzęta... ptaki i... owady. Znalazłem

mnóstwo gatunków owadów, o których jeszcze nigdy nie słyszano.

Mówił i jadł jednocześnie. Przerzywał tylko wtedy, kiedy przetykał.

- Chodzi o te skrzynie na Hope? - zapytał James. - To one tam były? Te zwierzęta?

- Właśnie - odpowiedział Wright Neville. A potem, przez nikogo nieproszony, zaczął wymieniać ich nazwy po łacinie.

- Ale kim pan właściwie jest, panie Neville? - przerwał mu zniecierpliwiony Delroy.

- Jestem przyrodnikiem - odpowiedział pan Neville, poprawiając sobie na nosie to, co zostało z jego okularów.

Rozdział

Przyrodnik to pewnie taki myśliwy, pomyślał James. Słuchał i starał się zrozumieć, co to jest muzeum i dlaczego ludzie mieliby przychodzić oglądać wypchane zwierzęta.

- I płacili ci za to? - zapytał bezceremonialnie kanonier.

- Oczywiście. - No i...?

- Nie mogę narzekać, ja... właśnie napisałem do pana Graya, aby zapowiedział wielką wystawę na koniec przyszłego roku, ale... teraz, po tym, co się wydarzyło... - Pan Neville westchnął i zamilkł.

James zauważył, że jego dłonie były tak delikatne jak dłonie kobiety.

- Jest coś, czego nie rozumiem, profesorze... - rzekł z namysłem Delroy.

- Ależ ja nie jestem profesorem... - starał się doprecyzować Neville. Zauważył jednak, że to nie był właściwy moment, by bawić się w dobieranie właściwych słów.

- Co pan robił na Hope?

- Nnic takiego... - odpowiedział Wright Neville, poprawiając odruchowo okulary. - Ja... poprosiłem jedynie kapitana o zabranie mnie i moich okazów.

- Zabranie dokąd? - wmieszał się Truman. - Londyn leży po drugiej stronie kuli ziemskiej, przyjacielu.

- O to chooodzi! - rozpromienił się obłudnie Delroy. - Wyjąłeś mi to z ust. Dokąd sobie chciałeś zrobić wycieczkę, profesorze?

- Nnie sędzę, żeby... to miało jakieś znaczenie...

- Możliwe - powiedział spokojnie Junior. - Ale może dzięki temu dowiemy się, gdzie jesteśmy.

- Kapitan coś wspominał o jakiejś misji - wtrącił James, ale od razu pożałował, że to powiedział. Pozostali popatrzyli na niego z ciekawością.

- Misji?

Chłopiec kiwnął głową.

- Jakiej misji?

- Tego nie wiem - wyznał James. - Ale kilka dni temu usłyszałem przypadkiem urywki rozmowy między kapitanem i Abrahamem...

- Zanim wnieśli skrzynie na pokład?

- Dużo później - powiedział James. I zrelacjonował, co słyszał, a potem dodał: - Za Singapurem powinniśmy byli udać się na wschód, a potem na północny wschód, żeby

dopłynąć do Sajgonu. Obraliśmy jednak kurs: wschód - południowy wschód, ale... oczywiście nie mogę być tego pewien... i nie mam ze sobą ani zeszytów, ani mapy.

- Wschód - południowy wschód... Przez ile dni? - zapytał przyrodnik.
- Przez trzy dni - odpowiedział James.
- Potem zawinęliśmy do portu na wyspie - przypomniał sobie Delroy.
- No właśnie - powiedział Truman.

Rozdział

- To tam Abraham zszedł na ląd. Starał się przekonać kapitana Butlera, żeby został w porcie. Bał się burzy.

- Więc kapitan wiedział, że pogoda się zepsuje? - zapytał Junior.

- Sądzę, że tak - odparł James.

- No właaaśnie. Zatem musiało mu być bardzo pilno, co, profesorze Neville? - wtrącił Delroy.

Przyrodnik był zażenowany.

- Jja... Posłuchajcie, nie wiem, przykro mi, że to się wydarzyło, ale... muzeum...

- To nie ma żadnego związku z muzeum, prawda? Przed czym pan ucieka, profesorze?

Co było w tych skrzyniach?

Wright Neville zaczął mówić szybko i nerwowo:

- Nnie, nnaprawdę... nnie mam pojęcia...

Kanonier pochylił się nad nim, jego głos zabrzmiał złowrogo:

- Wiesz co, profesorze, nie wierzę ci. Jesteśmy tutaj z twojej winy. A skoro jesteś winny, musimy cię zabić!

Junior rzucił w stronę Delroya twarde spojrzenie i ten natychmiast usiadł.

- Odwagi, panie Neville. - James próbował go uspokoić. - Proszę nam opowiedzieć wszystko, co pan wie. Dokąd płynął Hope?

Wright Neville spojrzał na chłopca przez jedyne szkło w okularach i głęboko westchnął. I to chyba go uspokoiło.

- Dobrze. Powiem wam, co wiem. I tak nie ma to już znaczenia. Właściwie jesteśmy martwi, co?

- Proszę na to zbytnio nie liczyć - odpowiedział Junior.

- Ale jak się nadarzy okazja, będziesz pierwszy w kolejce - zagroził Delroy.

Neville starał się nie zwracać na niego uwagi, ale nie bardzo mu się to udawało. Zaczął snuć swoją opowieść, przerywając ją od czasu do czasu.

- Kiedy w Singapurze dowiedziałem się, że Hope zawiął do portu, pomyślałem, że mam szczęście. Jak wspominałem, od kilku miesięcy przygotowywałem wysyłkę kolekcji do muzeum w Londynie. I szkoda, że nie zrobiłem tego wcześniej. Byłaby teraz cała...

- Proszę mówić dalej.

- Taaak... do portu zawiął Hope i poinformowano mnie, że to kurierski statek

wojskowy o małej ładowności. Postanowiłem więc skorzystać z okazji, porozmawiać z kapitanem Butlerem i doprowadzić do końca moje ostatnie zadanie.

- Jakie zadanie?

Pan Neville nie śpieszył się z odpowiedzią.

- Słyszeliście kiedyś o radży Sarawaku?

- Sarawaku? - powtórzył pytająco Junior.

- O Jamesie Brooke'u - wytłumaczył pan Neville.

Junior zaśmiał się ponuro.

- Nie ma żadnego radży Sarawaku! - wykrzyknął. - Ani nikogo, kto się podobnie nazywa. - Dorzucił kawałek drewna do ogniska, a potem mówił dalej: - Sarawak to miejsce często

ASO odwiedzane przez piratów... na brzegu leży kilka wiosek, środek wyspy jest nie do przebycia. Wszędzie dżungla, komary i pijawki. Nic poza tym. - Znow roześmiał się nerwowo. - Królestwo Sarawaku nie istnieje.

Profesor Neville zaczął nerwowo zacierać dłonie.

- Tak, tak. Macie rację... Tak było kilka lat temu... - zaczął. - Teraz wszystko się zmieniło. Mają radżę. I jest on Anglikiem.

- Białe? - wykrztusił Junior. - Białe Anglik wśród łowców głów i piratów?

- Tak! - wykrzyknął Neville z płonącymi oczami. - Właśnie!

- Niemożliwe - powiedział Truman.

- To nie jest niemożliwe. Brooke pokonał piratów z Malezji i przejął kontrolę nad północną częścią wyspy. Jak mówią, założył tam prawdziwe miasto. Ma niezwykłą flotę, najszybsze statki, jakie kiedykolwiek żeglowały po tych morzach... i okręt wojenny z metalowym kadłubem...

- A skąd by go wziął? - przerwał mu ironicznym pytaniem Delroy. Profesor jednak mówił dalej:

- W niecały rok Brooke'owi udało się rozbić pirackie bandy. Zatopił ich ładunki. Droga do Chin jest bezpieczna... Jednak pod warunkiem, że statek przeplynie przez kontrolowane przez niego wody.

- Bajki - ofuknął go Junior. - To jakaś wyssana z palca historia. Ten Brooke nie istnieje.

- A ja wam mówię, że istnieje - upierał się Neville. - Czytałem urzędowe pisma, które to potwierdzają. Nawet wasz kapitan o nim słyszał.

- James Brooke... - wyszeptał James. - Ma na imię tak samo jak ja.

Informacje, które przekazał przyrodnik, zainteresowały nawet zazwyczaj małomównego Trumana.

- Misja Hope miała jakiś związek z tym... Brookiem? - zapytał.

- Właśnie - powiedział niepewnie Neville. - Mielśmy popłynąć pod pełnymi żaglami do Sarawaku, spotkać się z Brookiem i jego ludźmi, potwierdzić jego istnienie, odkryć jego zamiary, a potem dostarczyć informacje do Londynu.

- To jednak nie tłumaczy jeszcze pośpiechu, z jakim opuszczaliśmy port.

- Sądzę, że... że to także moja wina - przyznał Neville, opuszczając głowę. - Obawiam się, że zadawałem zbyt wiele pytań i to wywołało plotki...

- Co pan chce przez to powiedzieć, profesorze?

- Zanim do portu zawinął Hope, poinformowano mnie, że jakiś statek piracki przeczesuje południowe wybrzeże. Kiedy dowiedzieli się, że znalazłem drogę do Sarawaku, ruszyli naszym śladem. Trzy dni temu wasz kapitan ich zauważył w cieśninie. Dlatego wolał wypłynąć w morze. Miał nadzieję, że zdąży przed burzą. Jednak wszystko poszło inaczej.

- Wydałeś na siebie wyrok śmierci, profesorze - wyszeptał Delroy.

- Pprzykro mi - przyznał profesor. - Ale to nie ja podjąłem tę fatalną w skutkach decyzję.

- Piraci - wykrzyknął Truman. - Czy ktoś z nas ich widział? Ale ani Junior, ani James nie widzieli żadnych tajemniczych żagli na horyzoncie.

- A zatem ryzykowaliśmy dla... dlaczego? - zastanawiał się rozwścieczony Delroy. - Zeby znaleźć Białego Radzę? I to gdzie?

Junior wyciągnął zza pasa nóż i narysował coś na piasku. Rysował z pamięci zarys Archipelagu Malajskiego.

- Jeśli nam się poszczęściło... i płynęliśmy z Singapuru z szybkością, którą notował przez trzy dni James, to możemy być tutaj... albo tutaj... - Nakreślił dwa znaki na północnym wybrzeżu Borneo. Wszyscy zamilkli, przyglądając się prowizorycznej mapie.

- A jeśli profesor Neville ma rację... - dodał Truman - i ten Sarawak naprawdę istnieje, to, idąc wybrzeżem... naprawdę możemy go znaleźć.

- I będziemy uratowani! - zakończył James. Truman zwrócił się do Juniora:

- Jak to może być daleko stąd?

- Co najmniej sto mil - policzył James.

- To może zabrać nam miesiąc.

- Musimy tylko trzymać się wybrzeża - upierał się James, przyglądając się linii brzegowej narysowanej przez Juniora.

- Nie masz pojęcia, o czym mówisz, chłopcze - rzekł Delroy. - A poza tym... - splunął do ognia - wcale nie wiecie, czy faktycznie fSS znajdujemy się w tym miejscu... Skąd pewność, że jesteśmy na tym... Sarawaku, a nie na jakiejś innej wyspie, których są tu pewnie dziesiątki.

- Przekonamy się o tym, gdy ruszymy - odpowiedział Junior. - Jeśli jesteśmy na jakiejś małej wyspie, wcześniej czy później wrócimy do punktu wyjścia.

- To szaleństwo - stwierdził Delroy. - Nie wiemy, gdzie jesteśmy, i nawet nie wiemy, czy ten Brooke istnieje. A może to tylko legenda?

- Istnieje - upierał się Neville.

- Sto mil - powtórzył Truman.

- Czy ktoś ma jakiś lepszy pomysł? - zapytał James.

- Zostańmy tutaj i zbudujmy sobie kryjówkę - powiedział Delroy. Wcześniej czy później ktoś się pojawi.

Truman się roześmiał.

- Kto się ma pojawić?

- Załoga Hope!

- Hope poszedł na dno. Wyłowilem przecież szczątki głównego masztu.

- A gdzie są pozostali? Skoro my ocaliliśmy, ktoś mógł się jeszcze uratować. Na pokładzie było ponad stu marynarzy!

- Stu dziewiętnastu - uściślił James.

- Stu dziewiętnastu, no właśnie! Może... posłuchajcie! Może Hope dryfuje, więc spuścili szalupy i...

- I dlaczego nie ma ich tutaj?

- Może dlatego, że wcale nie jesteśmy tam, gdzie nam się wydaje, że jesteśmy. Może to bezludna wyspa! - wrzasnął Delroy. - I nie ma tu żadnego radzy... i nikt po nas nie przyplynie! - Zaczął kopać z wściekłości piasek. Wreszcie przestał i z opuszczonymi rękami wpatrywał się w morze. - To jak w książce Cheta - skomentował po chwili.

- Jakiej książki? - zapytał James.

- O rozbitku, który przez wiele lat sam mieszkał na wyspie. O mało nie oszalał.

- I jak to się kończy? - zapytał Truman.

- Nie wiem - odpowiedział Delroy. - Chet nigdy nie doczytał do końca. Żeby go wszyscy diabli!

- Co proponujecie? - zapytał James kilka chwil później.

Morze łagodnie lizało piasek.

- Głosujmy - rzekł Truman.

- Tak, głosujmy.

Junior kiwnął głową.

- Uważam, że to dobry pomysł.

- Delroy?

Kanonier wzruszył ramionami i rzekł:

- Ja głosuję, żeby zostać tutaj i zrobić sobie kryjówkę. Mamy drewno, coś do jedzenia i...

- Ja głosuję za tym, żeby ruszyć w drogę - przerwał mu James. - Jutro, o świcie.

Delroy posiał mu piorunujące spojrzenie.

- I w którą stronę pójdiesz, w tę czy w tę?

James popatrzył na profesora Neville'a, który wtrącił:

- Małe niezależne państwo Brooke'a powinno rozciągać się wzdłuż północnwschodnich krańców wybrzeża.

- W takim razie tędy - odpowiedział James, wskazując kierunek przeciwny do zachodu słońca.

- Hej! Powoli! - zaprotestował Delroy. - Co to za głosowanie?

- Wygrywa większość - odpowiedział Truman.

Delroy kiwnął głową, patrząc na każdego z osobna.

- Co wygrywa większość?

- Głosuj, Delroy - nalegał Truman.

- Ja chcę zostać tutaj, mówiłem.

- Ja idę z chłopcem - powiedział Neville, podnosząc rękę.

Delroy rozzłościł się.

- Ty nie możesz głosować, kupo gnoju! To przez ciebie tu jesteśmy! To wyłącznie twoja wina!

- Zamknij się, Delroy! - wykrzyknął Truman. - On ma prawo głosować tak jak wszyscy. Jedna głowa, jeden głos.

- Akuraaat. A co jeśli ta głowa nie nadaje się nawet na trofeum dla łowców głów?

- Ja też idę z chłopcem - zadeklarował Junior.

- Co? - krzyknął Delroy. - Wielkie nieba! Powariowaliście? Podoba się wam plan oseska i stukniętego profesora, kolekcjonującego martwe zwierzęta? To szaleństwo! Dżungla... nie wiemy nawet, co nas tam czeka! Małpy i pijawki! A co będziemy jeść?! Nie mamy broni, żeby polować, nic, ale to nic!

- Mamy nóż Juniora - przypomniał mu James. - A ja umiem wspinać się na palmy. Możemy jeść kokosy.

- Kokosy? - powtórzył Delroy. - Żywiąc się kokosami, chcecie pokonać sto mil?

- Będziemy łowić ryby - zaproponował Neville.

- A skąd weźmiemy haczyki? - zapytał drwiąco Delroy. - Czy pan myśli, że ryby da się łowić gołymi rękoma?

Profesor wskazał na leżącego tuż obok tygrysa.

- Skóra tego zwierzęcia została przytwierdzona za pomocą haftek i ostrych haczyków. Możemy ich użyć, a żyłkę zrobimy z dłuższego paska skóry. Możemy też łowić na muchę, posługując się kolorowym piórkiem lub kawałkiem nitki!

- Naprawdę potrafi pan to zrobić, profesorze... - zapytał Junior - czy tylko pan o tym słyszał?

Neville poprawił okulary. - Prawda jest gdzieś pośrodku, panowie. Ale... jestem pewien haczyków. Sam pomagałem je zakładać.

James zatarł ręce i wstał.

- A ty, Truman? - zapytał Delroy. - Po czyjej jesteś stronie?

- Jest trzech na jednego - odpowiedział Afrykanin. - Czy to ma znaczenie, po której jestem stronie?

- Dla mnie tak. - Delroy zacisnął zęby.

- Idę z nimi - odpowiedział Truman.

Wyruszyli świtem następnego dnia, bez Delroya. Kanonier z Hope nie chciał nawet słyszeć o opuszczeniu obozowiska. Pozwolił im odejść, przekonany, że wrócą za kilka godzin.

Wreszcie się poddał. „Do diabła!” - zaklął w duchu, kiedy zrozumiał, że został sam na pustej plaży.

Zawiesił buty na szyi i ruszył w drogę.

James, Junior, profesor Neville i Truman szli szybkim krokiem, trzymając się linii brzegowej. Zrobili sobie prymitywne menażki z orzechów kokosa i napełnili je deszczówką po południu. Zaczął wtedy padać ciepły, wonny, rześisty deszcz. Zamienił plażę w błoto.

Kiedy przestało padać, zrobiło się jeszcze cieplej niż przedtem. Powietrze było gęste od wilgoci.

Szli powoli, pod wielkimi postrzępionymi liśćmi palm.

- Delroy za nami idzie - stwierdził w pewnym momencie James. Zauważył postać, która kuśtykała wzdłuż brzegu osiem mil za nimi.

Truman klasknął.

- Mówiłem, że pójdzie za nami. Znam go. Jest zbyt tchórzliwy, żeby zostać sam.

I znów ruszyli.

Wieczorem Delroy padł na ziemię obok ogniska, nie powiedziawszy ani słowa. Junior przygotował rybę w naczyniu wyżłobionym w wielkiej tyczce bambusa zatkanej trawą. Kiedy ryba była gotowa, bambus pękł, woda wyciekła, i zostało tylko chrupiące białe mięso.

- Jak wam się udało ją złowić? - zapytał kanonier z Hope.

Przygotowali sobie lance o zaostrzonych końcach, aby trafić w ryby pływające blisko dna. A profesor Neville przygotował przynętę do łowienia na muchę. Rzucił haczyk na powierzchnię wody, przykrywając go kolorowymi piórkami.

- Nigdy nie jadłem nic lepszego - zauważył James, biorąc do ust kawałek upieczonej ryby.

- Jeszcze nie próbowałeś z przyprawą... - dodał Junior, posypując swoją porcję ryby zmiażdżonymi czerwonymi mrówkami.

Delroy zniesmaczony pokręcił głową.

Truman natomiast spróbował i zawyrokował, że smakują jak cytryna.

Kolejne dni w niczym się nie różniły od pierwszego: maszerowali godzinami, często w deszczu, łowili ryby w płytkiej wodzie lub wspinali się na palmy, aby strząsać z nich orzechy kokosowe.

Wright Neville i James lubili rozmawiać. Profesor był ciekaw, co taki młody chłopiec robi na morzu, James natomiast prosił, aby przyrodnik opowiedział mu o Londynie i Anglii. Neville opisał wspaniałe, ludne i ruchliwe miasto. Statki zawijały do portu i opuszczały go, płynąc przez łączącą go z morzem Tamizę, eleganckie powozy przetaczały się po miejskich placach. W bajkowych barwach przedstawił gazowe latarnie uliczne, które zapalały się same po zachodzie słońca. Opowiedział też o młodziutkiej królowej władającej wielkim imperium. Uznał za cudowne, że ma niewiele ponad dwadzieścia lat.

James był tego samego zdania.

Rozmawiali o krykocie i koniach. Delroy opowiadał o swoim dzieciństwie w czasie kampanii belgijskiej.

- A ty, Truman? - zapytał Junior. - Co robiłeś, zanim zostałeś marynarzem?

- Jest takie morze, w którym woda ma kolor krwi - powiedział Afrykanin. - Nie wiem, czy kiedykolwiek o nim słyszeliście.

- Morze Czerwone? - zapytał James.

Truman się uśmiechnął.

- Nie. To morze u brzegów Afryki, tamtędy przyplływają handlarze niewolników. Mówi się, że niewolnictwo to historia. To nieprawda. Arabowie zabrali mnie z mojej wioski, gdy miałem osiem lat. Schwytanych ludzi wrzucali do wody, sprawdzali, kto przeżyje. Mnie się udało.

Nic więcej nie powiedział.

I nikt go więcej o nic nie pytał.

Swit zastał Jamesa na czubku palmy. Poprzedniego wieczora zapuścił się w głąb lądu. Oddalił się o kilkaset kroków od obozowiska. Wdrapał się na palmę, by z góry obserwować okolice.

W nocy patrzył na gwiazdy, szukał znanych konstelacji i w końcu zasnął. Zbudził go rwetes tysięcy ptaków, które wirowały wokół niego niczym jaskrawa, wrzaskliwa karuzela.

Nadmorska plaża mieniła się białoróżowym światłem, fale delikatnie pieściły brzeg; w cieśninie, tu i ówdzie, wyrastały z morza ostre skały; w głębi lądu bujna roślinność pokrywała wzgórza. Chmary szaroskrzydłych nietoperzy unosiły się nad zwartą gęstwiną drzew. W świetle poranka słychać było ciche nawoływania członków wiewiórczych rodzin, robiących akrobacje między drzewami.

Z trudem patrząc pod słońce, James zauważył kilka szczególnych, nieregularnych wzgórz. Miały kształt dzwonów.

Długo się w nie wpatrywał, a serce podeszło mu do gardła. Potem zsunął się zwinnie na ziemię, aby podzielić się z innymi swoim odkryciem.

Pobiegł na plażę, do obozowiska, krzycząc:

- Widziałem dagoby!

- Gdzie? - zapytał szybko Junior.

- O czym mówicie? - zapytał podejrzliwie Delroy.

Dagoby były zbudowanymi przez ludzi świątyniami. Jeśli te dziwne wzgórza, które zobaczył James, były naprawdę starożytnymi dagobami... to znaczyło, że znajdowali się blisko... czegoś.

Chłopiec nakreślił szybko na piasku to, co widział.

- Warto spróbować... - uznał Junior, klęcząc obok niego. - Możemy posunąć się jeszcze o kilka mil wzdłuż brzegu, a potem... spróbujemy pójść w głąb wyspy.

- A skąd będziemy wiedzieć, kiedy mamy skręcić? - próbował ich sprowokować Delroy.

Okazało się to nie takie trudne.

W połowie dnia dotarli do zamulonego kanału. Wpadał do bagna nakłutego łądygami

trzciny, z którego wyrastały nenufary i kwiaty lotosu. Nad wodą unosił się rój bzyczących owadów.

Kilka makaków przyglądało się im zza drzew.

Junior spostrzegł dziwną kamienną bryłę. Końcem noża zaczął z niej odsuwać pędy pnąca.

- Coś znalazłeś? - zapytał Delroy.

Ich oczom ukazała się ukryta w listowiu rzeźba bogini. Czas zatarł jej rysy, a ubytki kamienia sprawiły, że kształtem jej ciało upodobniło się do wielkiego dekoracyjnego jajka.

- Nie mam pojęcia, kim ona jest - wyszeptał Junior - ale chyba nas zaprasza.

Rozdział

James też był zdania, że rzeźba stała na straży. Czego? Jej twarz kryła tajemnicę sprzed tysięcy lat.

Pięciu mężczyzn popatrzyło na siebie z ciekawością pomieszaną z niepokojem.

A potem rozbitkowie zapuścili się w głąb dżungli.

Szli wzdłuż kanału, zachowując bezpieczną odległość od mętnej wody. Teraz zamiast wysokich palm pojawiły się drzewa o pokrzywionych pniach porastające bagienne tereny. W dole było ciemno, słońce z trudem przebijało się przez gęste listowie.

Upał, maleńkie pijawki i wilgoć dawały im się we znaki. Na każdym kroku napotykali liany i kłujące rośliny. Stopy topiły się w pokrytej zgniłymi liśćmi, kawałkami spróchniałych drzew i szczątkami pasożytów ziemi.

Bzyczenie owadów stawało się coraz intensywniejsze. Zakłócało ciszę i stanowiło podkład muzyczny dla ich kroków.

Pięciu towarzyszy w milczeniu kroczyło starożytną drogą, wytyczoną dawno temu przez długie, białe, a teraz porzrzućane i pokryte zielenią kamienie.

Zatrzymali się przed białą marmurową bramą. Widniały na niej rzeźby i napisy w niezrozumiałym języku. Tuż za bramą, na stoku pierwszego wzgórza, wznosiły się zniszczone schody. Strzegło ich kolejne bóstwo o kobiecej twarzy i zachęcającym uśmiechu.

Dookoła było cicho i pusto.

Dżungla pochłonęła wszystko, pozostawiając jedynie marmurowy szkielet zbudowanego przez ludzi miasta, na który składały się łuki, bramy i schody.

James starał się ignorować złe przeczucia. Czul świętość tego opuszczonego miasta. Zastanawiał się, jakie było dawniej, i szukał w górze wzrokiem skrawków nieba pomiędzy koronami drzew.

Dał znak Juniorowi, kiedy doszli do pierwszej dagoby. Wyglądała jak małe wzgórze, ale tak naprawdę była to piramida zbudowana przez ludzi. Pokrywały ją korzenie, liany i ziemia.

- Nie podoba mi się tutaj... - wyszeptał Delroy, przechodząc obok piramidy.

Potem natrafili na jeszcze jedną, i jeszcze jedną. W miejscu, gdzie kiedyś znajdował się plac miejski, teraz rozciągała się wilgotna polanka. Dalej piętrzyły się kolejne białe kamienne bramy, małe balustradki z porośniętych mchem, kwadratowych kamieni, za nimi zniszczone posągi bóstw i masywne kolumny, na których siedziały płomiennoczerwone

papugi.

James, Junior, Neville, Delroy i Truman trzymali w pogotowiu zaostrzone patyki, myląc zwierzęta z duchami.

Wielkie kamienne bryły. Liczna rodzina makaków. Przezroczyście ważki.

To opuszczone miejsce działało na rozbitków przygnębiająco.

- Nie podoba mi się tu - powtórzył Delroy.

I po raz pierwszy James musiał się z nim zgodzić.

Stanęli u brzegu sadzawki wyłożonej czarnym granitem, tak dużej, że mogłyby się w niej kąpać słonie maharadży.

- To umarłe miasto... - wyszeptał wreszcie James.

- Nie jest umarłe - zaprotestował Wright Neville, a ręce drżały mu z podniecenia. - Co więcej... moim zdaniem nigdy nie było w nim tylu mieszkańców co obecnie.

Spojrzał na bańki wypuszczane przez krokodyle ukryte w ciepłej i płytkiej wodzie sadzawki. Odczuwał cichą obecność licznych węży i żółwi ukrytych między korzeniami drzew. Wyglądał jak zahipnotyzowany.

- W tym mieście wydarzyło się coś strasznego, tylko to wam powiem - głos Delroya lekko drżał. - Wyośmy się stąd.

- Właśnie teraz, kiedy znaleźliśmy schronienie? - wyszeptał Truman. - A nawet całe miasto?

- Nie podobają mi się ich gęby... - nie ustępował kanonier, wskazując na twarze kamiennych strażników u wejścia do świątyni. - Lepiej będzie, jak damy stąd nogę.

- Ale dokąd? - zapytał Afrykanin. - Już prawie noc.

- Nie chcę tu spać.

- Te małpy naigrawają się z nas... - wtrącił James.

- To Semnopitecus aygula... - zaczął wyjaśniać Wright Neville.

Na to Junior wyciągnął nóż, błyskawicznie pchnął i jedna z małp potoczyła się na ziemię.

- Nie, to pięć kilo mięsa - uściślił przewodnik.

Rozbili obóz na dziedzińcu pod gołym niebem, obok dwudrzwiowej bramy, w której tkwił jeszcze żelazny zamek. Na dziedzińcu nie było żywej duszy, jedynie cisza, ruiny i uschnięte drzewa ze splątanymi, przypominającymi włosy gałęziami.

Na ciemnym niebie ukazał się sierp księżyca. Junior rozpałił ognisko, żeby upiec małpę. Podzielił ją na kawałki jak królika. Reszta towarzyszy rozeszła się po dziedzińcu, żeby sprawdzić, czy coś nie czai się pod starymi, ukrytymi w trawie kamieniami.

Kiedy zapadł zmrok, zaległa złowróżbna cisza.

- Będziemy czuwać na zmianę - zaproponował Truman, podchodząc kolejny raz do ogniska. Nie chciał się przyznać, że atmosfera tego upiornego miasta napawała go lodowatym strachem.

Nie zostało spalone, zniszczone czy podbite przez obce wojska. Wyglądało na to, że było opuszczone, a mieszkańcy po prostu zapomnieli o jego istnieniu.

Junior rozdzielał nabite na ostrze noża porcje.

- Ja obejmę straż jako pierwszy - zaproponował Delroy. - I tak nie zmrużę oka.

- Dobrze - odrzekł Junior.

- Przydałoby się jeszcze trochę drewna na ognisko.

- Najpierw zjedz. Potem go poszukamy.

Tak właśnie zrobili.

Delroy poszedł z mamroczącym łacińskie nazwy zwierząt profesorem. Zmęczony James nie był w stanie pójść z nimi. Znalazł sobie miejsce nieco oddalone od ogniska, oparł się o granitowy blok i przysłuchiwał się rozmowie Juniora i Trumana. Ziewał. Miał wrażenie, że między ciemnoskórymi mężczyznami nawiązała się nić sympatii.

- Chcesz wiedzieć, jak się naprawdę nazywam? - zapytał Tamil Afrykanina. - Kamalbandhu.

Truman roześmiał się.

- W takim razie wolę Junior.

- A ty?

James ziewnął i już nie usłyszał odpowiedzi Trumana. Myślał o swoich zaginionych przyjaciółkach, o Ciro i Salvo, o swojej mamie i o zakładzie krawieckim.

Zaraz potem zasnął.

Obudził się w środku nocy. Serce waliło mu jak młotem. „To tylko sen. Zły sen...” - starał się uspokoić.

Otworzył szeroko oczy i policzył śpiących na dziedzińcu towarzyszy: Junior, Truman, Delroy. Brakowało Wrighta Neville'a.

Pewnie był gdzieś nieopodal, czuwał albo...

Nagle wszystkie zmysły Jamesa się wyostrzyły. Usłyszał delikatny dźwięk dzwoneczka, który zdawał się rozbrzmiewać gdzieś niedaleko.

Znowu ogarnęło go złe przecucie. Ten dźwięk zapowiadał żałobę.

Otrząsnął się i już zupełnie rozbudzony rozejrzał wokół, szukając wzrokiem profesora. Nigdzie go jednak nie dostrzegł.

Wright Neville zniknął.

W nocnej ciszy James słyszał tylko ten dziwny dźwięk.

Kiedy wzrok chłopca przyzwyczał się już do ciemności, mógł rozróżnić pobliskie drzewa, kamienne wejścia i zrujnowane schody pnące się w górę wśród gęstwiny.

Dźwięk dobiegał od strony skał, zza kamiennych posągów.

James przebiegł dziedziniec i skręcił w wąską alejkę, którą zamykały korzenie starego, pokrytego białą korą drzewa. Serce skoczyło mu do gardła, gdy zauważył, że na korze widać czarne ślady rąk. Były mniejsze od jego dłoni, przypominały wielkością dłonie dziecka.

- Panie Neville! - zawołał cicho.

Jedyną odpowiedzią było bzyczenie owadów i pohukiwanie sowy.

„Może to tylko sen” - pomyślał.

Drzewo rosło tuż przy równie białym wejściu do świątyni. Za nim znajdował się rząd kolumn, każda z nich zrobiona była z jednego kamiennego ciosu.

Wyryto na nich tajemnicze znaki i rysunki. Zrobiono też małe otwory, które całkiem niedawno ktoś posmarował olejem.

Kolumnowa aleja była długa i ciemna.

- Profesorze! - zawołał James, któremu się wydawało, że dostrzegł jakiś ruch w głębi.

- To pan?

Ruszył w tamtą stronę i znów usłyszał dzwoneczek. Teraz dźwięk był wyraźniejszy. Przypominał mu odgłos, jaki wydawały bransolety księżniczki. Jego źródło musiało znajdować się na końcu alei.

- Shileily? - wyszeptał, idąc w tamtą stronę i zaraz zganił się za to niedorzeczne przypuszczenie. Takie spotkanie mógł przeżyć tylko we śnie.

Kolumnowa aleja kończyła się dużą grota, która z pewnością była dziełem człowieka.

- Jest tam kto? - zapytał James. Przestraszył się własnego głosu, odbitego od sklepienia i ścian. Szedł szybko w kierunku, z którego dobiegało dzwonienie. Wreszcie znalazł się na dużym, skąpanym w poświacie księżyca, placu.

To była inna część tego wykutego w skale miasta.

James widział zarysy wież, strome schodki prowadzące donikąd, wycięte w skale pionowe ściany z galeriami na trzech lub czterech piętrach, przysadziste kolumny i posągi wielkości człowieka, które patrzyły na niego z góry. Zrozumiał, że znalazł się w świętym miejscu, i poczuł strach.

- Profesorze? - zapytał, kiedy po raz kolejny ktoś czy coś poruszyło się w ciemności. - Panie Neville?

Szukał w kieszeniach, aż wreszcie znalazł - ogarek i krzesiwo. Po chwili uniósł do góry mdłe światło, które jednak - zamiast rozjaśnić ciemność - spotęgowało wrażenie, że otacza go mroczna otchłań. Niepewnie ruszył dalej, coraz mniej pewny, że podąża właściwym tropem. Wtedy, ni stąd, ni zowąd, zamajaczyła przed nim jakaś olbrzymia sylwetka. Z wolna zaczęła przybierać konkretny kształt.

Było to samotne, wysokie na prawie dziesięć metrów, siedzące na tronie bóstwo. Nikłe światło, które James niósł w dłoni, sprawiło, że kamienna rzeźba rzucała ogromny, tańczący na skalnych ścianach cień.

James nie mógł oderwać wzroku od granitowego oblicza, od obramowanych czerwienią oczu z białymi źrenicami. Były przerażające.

Potem nagle coś jakby wybuchło i rozległo się trzepotanie skrzydeł zbudzonych ze snu ptaków. Podmuch wiatru zgasił świecę. James krzyknął i rzucił się na ziemię.

Serce waliło mu jak szalone, rękami ścisnął głowę. Leżał płasko, bez ruchu, aż do momentu gdy ucichły odgłosy skrzydlatej symfonii, odbijającej się echem wśród skał.

Kiedy był już sam w tym zakazanym miejscu i kiedy znów zapadła cisza, ponownie usłyszał rozlegający się w ciemności dźwięk dzwoneczka.

James wstał. Ruszył po omacku, strach dodał mu sił. Dotykał poczerniałych od dymu ścian i posuwał się dalej, starając się przeniknąć wzrokiem mrok.

Noc, ciemność, kamienne ciosy.

Rozdział

W końcu wyszedł na zewnątrz, na dziedziniec, którego jedynym sklepieniem było sklepienie niebieskie. Otaczały go ściany pokryte niezrozumiałymi napisami.

Na samym środku dziedzińca stał słoń. Do nogi miał przywiązany srebrny dzwoneczek.

W granatowej ciemności nocy chłopiec i słoń długo na siebie patrzyli. Słoń miał tylko jeden kiel i wydawał się być u siebie na tym oświetlonym jedynie przez księżyc i gwiazdy dziedzińcu. Ruszał trąbą, jakby czarował i uważnie obserwował chłopca. Wydawał się mądry, stary, niezwykły w swej zbroi z pomarszczonej skóry. Wydawał się także bardzo smutny.

- Lamba Karna o długich uszach... - powiedział James i wyciągnął do niego rękę. - Założę się, że ty jesteś Ganeśa. Syn Śiwy i Parwati, bóg mądrości i pomyślności, ten, który ma oblicze słonia. Ja nazywam się James.

Dzwoneczek na nodze zwierzęcia lekko zadzwieczał.

James uśmiechnął się i mówił dalej:

- Nie jestem ani mądry, ani szczęśliwy, niestety.

Słoń zakręcił trąbą młynka.

- Co ty tu robisz? - zapytał James.

Zagłębienia wokoło nich wypełnione były popiołem, pachnącym kadzidłem i żywicą.

- I kto ci to założył?

Srebrny dzwoneczek znów zadzwieczał.

- Czy ktoś się tobą zajmuje? Duchowni? Czy jest tu blisko jakieś inne miasto? Zaprowadzisz mnie?

Słoń przechylił głowę na jedną, a potem na drugą stronę, jakby uważnie słuchał.

Jamesowi znów rzucił się w oczy jego bezdenne smutek.

- Dlaczego jesteś smutny? - zapytał. - Ktoś cię skrzywdził? Słoń wyciągnął trąbę, a James ją chwycił i delikatnie pogłaskał. Była chropowata i ciepła.

- Jacyś źli ludzie? - zapytał chłopiec. Słoń zastygł w bezruchu. Cofnął się.

- Co się stało?

Przestraszone zwierzę zaczęło się cofać. Srebrny dzwoneczek znów zadzwieczał. A potem, kiedy słoń podniósł trąbę do góry...

- POMOCY! POMOCY! - rozległo się niedaleko. - POMOCY! NIECH KTOŚ MI POMOŻE!

To był Anglik. Wright Neville. Profesor.

James pobiegł w kierunku, skąd dochodził krzyk przyrodnika.

Usłyszał, jak coś szamocze się w wodzie. I znów rozległo się wołanie:

- POMOCY! BŁAGAM!

A potem nagle zapadła cisza. James zaczął biec jeszcze szybciej.

Minął kolumny, biały pień drzewa, kamienną alejkę, wielką opuszczoną sadzawkę i...

- Stój! - wrzasnął do niego Junior i zastąpił mu drogę.

Delroy i Truman byli o dwa kroki za nim. Kanonier trzymał się za głowę i powtarzał:

- O Boże, nie, o Boże, NIE!

James skrył się za Juniora.

- Co się dzieje? Gdzie jest profesor? Dlaczego tak wrzeszczał? - pytał bezładnie, idąc chwiejnym krokiem w kierunku sadzawki.

- Odsuń się od wody - nakazał mu Truman.

- One wyszły, o mój Boże. Wyszły i... - powtarzał nieskładnie przerażony Delroy. Oczy nabiegły mu krwią.

- Gdzie jest profesor? - James powtórzył pytanie, ale zaczynał powoli rozumieć.

Powierzchnia sadzawki była pomarszczona, a z jej środka dochodziło przerażające bulgotanie.

- Tam - wyszeptał Junior i ukląkł na kamieniu. Na wodzie pojawiły się bąble. Dwa olbrzymie cielska szamotały się na dnie, miażdżąc coś szczękami.

- To niemożliwe - wyszeptał James. - Profesor znał się przecież na zwierzętach, był ekspertem. Dlaczego więc poszedł w nocy nad sadzawkę?

James spojrzął na Delroya, który krzyknął w odpowiedzi:

- Nie wiem, jak to się stało! Obudziłem się przed chwilą i zauważyłem, że nie ma ciebie i profesora. Poszedłem was szukać i zobaczyłem, jak Neville klęczy nad sadzawką - mówił rozgorączkowany Delroy. - Krzyknąłem, ale on mnie nie słyszał...

A kiedy się zbliżyłem... ja... - Delroy kręcił głową - zobaczyłem, jak krokodyl wynurza się z wody i zabiera go ze sobą na dno... Patrzyli na małe, rozbijające się o schodki fale.

- Przecież wiedział, że tam są krokodyle - powiedział Truman. - Przecież świetnie o tym wiedział.

- Pewnie właśnie dlatego się tu znalazł - wyszeptał Junior. - Czy zauważyliście, jaki był zainteresowany tą sadzawką wczoraj wieczorem? Patrzył na nią jak zahipnotyzowany.

Okulary z jednym szkłem wypłynęły na powierzchnię wody.

- O mój Boże - wybełkotał Delroy, blady jak śmierć. Odszedł, uderzając kijem we wszystkie napotkane po drodze gałęzie.

- Nnie możemy...? - zaczął James niepewnym głosem.

- Nie. Nie możemy nic zrobić - powiedział spokojnie Junior, patrząc uważnie na okoliczne zarośla. - Profesor odszedł.

Truman przeżegnał się szybko i wyszeptał:

- Papa Legbo, otwórz mu swe bramy, otwórz bramy, aby mógł przez nie przejść...

Śmierć profesora przygnębiła wszystkich. Gdy tylko się rozjaśniło, rozbitkowie podzielili między siebie skromne zapasy i opuści upiorne miasto. Ani razu się nie odwrócili. Nic nie mówili i starali się nie myśleć o tym, czego byli świadkami. Przecięli dżungłę w kierunku północnowschodnim.

Kiedy dotarli do plaży, ruszyli brzegiem morza. Tak szli aż do wieczora. Gdy się ściemniło, rozbili obóz w pobliżu skał. Nie mieli ochoty ani łowić ryb, ani rozpalać ogniska. Zadowolili się mlekiem kokosowym.

James nikomu nie powiedział o swoim spotkaniu ze słoniem. Co więcej, po dwóch dniach marszu był przekonany, że to się nigdy nie wydarzyło.

W połowie drugiego dnia marszu ptaki i makaki nagle zamilkły. Rozbitkowie zaczęli zastanawiać się dlaczego.

Podeszli do postrzępionego brzegu. Tam, gdzie kiedyś były piasek i muszle, teraz wyrastały ostre, raniące stopy skały.

Przestało padać. Upał stał się nie do wytrzymania. Posmarowali twarze i ramiona błotem zmieszonym z mlekiem kokosowym, które miało chronić przed słońcem i ukąszeniami owadów.

Według ich obliczeń, kierując się ciągle na wschód, a potem na północny wschód, przeszli już nie mniej niż pięćdziesiąt i nie więcej niż siedemdziesiąt mil. Kiełkowała w nich nadzieja, że nie znajdują się na małej wysepce zagubionej gdzieś na morzu, ale na północnym wybrzeżu Borneo. Byli przekonani, że jeśli będą posuwać się do przodu, to wcześniej czy później dotrą do jakiegoś miasta, a może nawet do opisywanego przez profesora bajkowego królestwa Sarawaku.

Trzecia noc była spokojna. Według Juniora nawet zbyt spokojna. Śmierć profesora i ta niezwykła cisza napawały go strachem. Przewodnik miał więc wyostrzone wszystkie zmysły. Raz wyprzedzał grupę o kilkaset kroków, innym razem pozostawał w tyle.

Gdy decydowali, kto stanie nocą na warcie, Junior powiedział spokojnie:

- Ktoś za nami idzie. - I dodał: - Znalazłem ślad ludzkiej stopy. Mały ślad. Ale nie jest

to ślad stopy dziecka.

James przypomniał sobie małe, czarne ślady rąk odcisnięte na białej korze drzewa. Nic jednak nie powiedział.

- Tubylcy? - zaryzykował Truman.

- Możliwe.

- Kim są? - zapytał Delroy.

- To Ibanowie albo Dajakowie - odpowiedział Junior i zrobił tajemniczą minę.

- Są niebezpieczni? - wtrącił James.

Junior długo myślał, zanim odpowiedział:

- Pamiętasz te krokodyle, które pożarły profesora?

James kiwnął głową i poczuł, jak ściska mu się żołądek. Za każdym razem, kiedy rozmyślał o tamtej nocy, krokodylach i sadzawce z mętną wodą, czuł się podobnie.

- Dajakowie się ich nie boją - stwierdził po prostu Junior.

W południe piątego dnia pokonali skaliste wzniesienie. Krajobraz, który się przed nimi rozciągał, sprawił, że zaczęli wątpić, czy kiedykolwiek dotrą do ludzkich osad.

Wybrzeże otaczało długą gdzieś na dwadzieścia mil zatokę. Jak okiem sięgnąć, tylko skały, kamienie, drzewa i morze.

- Ani śladu bajkowego królestwa, panowie. Radzy też nie widać - wyszeptał Delroy, popijając łyk wody. - Teraz mi wierzycie? Idziemy donikąd. Idziemy po śmierć.

- Trzeba być żywym, gdy się idzie na śmierć - powiedział spokojnie Junior, ruszając w drogę.

- Wiesz, ile mnie obchodzi ta twoja cała filozofia? - Delroy splunął. - Wiesz?

James wskazał skalistą ostrogę, która wznosiła się nad morzem jak ząb olbrzyma. - Spójrzcie! Wygląda jak latarnia!

- Tak - potwierdził Truman. - Ale nią nie jest.

- Jeśli chcemy, by nad odnaleziono... - ciągnął Delroy, patrząc na morze - musimy się zatrzymać.

Junior podniósł wzrok, ale kanonier go ubiegł:

- Wiem, że ktoś za nami idzie, ale... pomyślcie! Co tu jest oprócz tej zatoki? Czego w ogóle tu szukać?

Nikt mu nie odpowiedział.

- A zatem powiem wam. Potem będzie kolejna zatoka. A potem kolejna. I kolejna. I tak do końca świata.

- Dobrze. Zatrzymajmy się - zgodził się Truman. - I co tu będziemy robić?

Delroy uśmiechnął się i zaczął kiwać głową z coraz większą energią.

- Wreszcie zacząłeś myśleć, Truman. Brawo. Zrobimy coś najprostszego na świecie...

- Wskazał na skałę, a potem powiedział: - Zapalimy ogień, tam na górze, żeby płonął przez cały czas, tak jakby to była latarnia. Będziemy go podtrzymywać przez cały czas. I jeśli gdzieś tylko jest jakiś statek, jeden przeklęty statek, który będzie przepływał obok... Angielski, francuski, holenderski czy piracki, z tego waszego wysnionego królestwa... Jeśli tylko pojawi się na horyzoncie... ogień jest jedyną szansą, by nas odnaleziono.

Wszyscy w milczeniu rozważali te słowa. Przeszli już wiele mil wzdłuż tego piekielnego wybrzeża. Jedli i pili tyle tylko, by się utrzymać przy życiu. Byli zmęczeni, pokaleczeni, obolali. Stracili jednego z towarzyszy. I ktoś za nimi szedł.

Ta skalista ostroga była dla nich jak znak. Dala im poczucie pewności, jak wtedy, gdy napotyka się fortecę lub zamek, które zdają się nie do zdobycia.

Jaskółki, które uwiły swe gniazda w skalnych rozpadlinach nad samym morzem, fruwały jak oszalałe. James został u stóp skały. Junior, Delroy i Truman poszli w górę wąską ścieżką. Pięła się pionowo aż na sam szczyt. Posuwali się powoli, jak na zwiadach.

Wiatr rozwiewał im włosy, niosąc ze sobą kropelki słonej wody. James westchnął głęboko i przez chwilę wyobraził sobie, że znów wspina się po wężlicach Hope. Statek pod pełnymi żaglami, a przed nimi czysty horyzont. Potem przypomniał sobie twarze Salva, Barreta, Alvina, Rope'a... i pozostałych. „Co się z nimi stało?” - zastanawiał się.

Poczuł, jak ogarnia go głęboki smutek. Pomyślał, że wszystko zrobił źle i że wszystko stracił: rodzinę, przyjaciół, a nawet swoje zeszyty.

Pozostali rozbitkowie wciąż pięli się w górę. Z dołu szczyt skalistej ostrogi wydawał się wystarczająco duży, aby pomieścić wszystkich, którzy chcieli rozpalić ognisko. Dróżka była dobrze widoczna.

Ten szczegół nie umknął uwadze Jamesa.

Chłopiec, pełen podejrzeń, został więc na dole, by się rozejrzeć. Delikatnie rozgarniał kijem olbrzymie paprocie. Ich opalizujące liście z białymi paskami i kropkami przypominały grzbiety płazów lub skrzydła motyli. Na szczęście nikt ani nic się w nich nie ukrywało.

James miał nadzieję, że jego towarzyszom uda się zejść na dół jeszcze przed wieczorem. Nie tracąc czasu, zaczął przygotowywać teren pod obozowisko. Wtedy jego uwagę zwrócił zachodni, skalisty stok. Były w nim wydrążone małe nisze.

Podszedł bliżej, odgarniając paprocie.

W miarę jak się zbliżał, jego przerażenie rosło. Otwory były popróśzone ląką i osmalone dymem. Musiały to być małe nisze wotywnie. Były połączone między sobą

maleńkimi pionowymi drózkami. Na kamieniu widniały odciski małych dłoni, co przywodziło na myśl skórę tygrysa.

Nogi się pod nim ugięły, kiedy je zobaczył. To były te same ślady, które widział w mieście upiórów.

Mieście słonia z jednym kłem.

- Jeśli masz ochotę mi pomóc, Ganeśa, to właśnie nadszedł odpowiedni moment... - wyszeptał James bez wielkiego przekonania.

Podszedł do jednej z nisz i wsunął do niej rękę. Dotknął czegoś małego i okrągłego, chwycił to i... widząc, co trzyma, wrzasnął i wypuścił zdobycz z rąk.

Była to mała ludzka czaszka.

Czaszka poturlała się między skałami i wpadła do morza.

James zaczął powoli cofać się wzdłuż skalistej ściany.

Te same ręce.

Nisze.

Popiół.

Tysiące maleńkich czaszek.

Patrzących na zachodzące słońce.

Cmentarzysko.

- Musimy się stąd wynosić! - krzyknął i ruszył biegiem. Myślał o czaszkach, o dróźce, która wznosiła się aż na szczyt skały, a potem o dziedzińcach wykutych w kamieniach upiornego miasta, o podejrzaniach Delroya, o porzuconych w dżungli świątyniach i bóstwach, o walczących o ciało profesora Neville'a krokodylach.

Przyszło mu na myśl, że to wszystko było przerażające. Okrutne.

Niebezpieczne.

- Junior! Delroy! Truman! Nie możemy tu zostać! Musimy stąd iść! Junior! Delroy!

To ostatnie imię wymówił już cicho.

Zza rosnących przed nim paproci wyłonił się człowiek. Stał nieruchomo i patrzył na niego. Był mały i miał ciemną, pokrytą tatuażami skórę. Chrząstkę nosową miał przebitą kością, a z uszu zwisała mu ozdoba z zębów. Trzymał dzidę o płaskim, pofalowanym, przypominającym głowę kobry ostrzu.

James znieruchomiał. Był zbyt przerażony, aby móc coś powiedzieć.

Chłopiec i myśliwy patrzyli na siebie w zupełnej ciszy.

James zdobył się na wysiłek, aby powiedzieć pierwszą rzecz, jak przyszła mu do głowy:

- Przyjaciel... ja być przyjacielem... tak?

Myśliwy głośno wypuścił powietrze między zębami.

- Ja... przyjaciel... tak... jak... słoń... Ganeśa, ty... znać... Ganeśa... tak? - powtarzał cicho.

Ten drugi zrobił krok do tyłu, odskoczył na bok i nie wydając żadnego dźwięku, znikł w paprociach.

James był jeszcze bardziej przerażony jego zniknięciem niż pojawieniem się. Nie wiedział, co robić ani co myśleć.

Starał się dostrzec coś między zielenią, zrozumieć, gdzie się podział tubylec.

- Przyjaciel, Ganeśa, prawda? - powtarzał, oddychając cicho.

Zrobił krok.

Potem coś świsnęło pomiędzy gałęziami.

Strzała, która ugodziła go u podstawy szyi, była jak ukąszenie.

James upadł na ziemię.

Łowcy głów mieszkali w długich domach, wznoszących się na palach niczym tarasy. Podłoga była zrobiona z bambusowych łądóg, przeciętych wzdłuż i przytwierdzonych do belek lianami. Bambusy były ułożone w niewielkiej odległości od siebie. James znajdował się w środku jednego z takich domów, powoli odzyskiwał przytomność.

Próbował zrozumieć, gdzie jest i co się z nim stało.

Słyszał jakiś głos. Ktoś mówił po angielsku o zawieszonych na belkach głowach mężczyzn i kobiet. Miały wciąż jeszcze zawieszane ozdoby i splecione włosy. Były to głowy wojowników i jeńców z wrogiego plemienia: czarne, zasuszone, zmniejszone i pomalowane na czerwono i biało. Śmierdziały.

- Delroy, daj spokój - rozkazał Junior i zrobiło się cicho.

James znów zamrugał i próbował się poruszyć. Bambusowa podłoga ugięła się pod jego ciężarem.

Poczuł straszny ból w lewej ręce.

Był związany. Gdzie się znajdował?

I co się stało?

- Fry? - zapytał Junior.

- Obudził się?

- Fry! Słyszysz? James? Giacomo?

W głowie mu huczało. Przewrócił się na plecy i zabrało mu mnóstwo czasu, zanim zdołał zobaczyć coś z miejsca, w którym się znajdował.

Chata z liści palmowych, kilka mat. Gdkanie kur i chrupkanie świń. Były pod podłogą.

Miska ryżu.

- Co się stało?

- Złapali nas i przywlekli aż tutaj - wyjaśnił Junior. - Jesteśmy w wiosce Dajaków.

James skrzywił się. Bolał go kark.

- Wiosce Dajaków? - powtórzył pytająco.

- Uśpili cię strzałą z czarnej jemioty - wyjaśnił przewodnik. Potem splunął. -

Wystrzeloną z dmuchawki.

James szeroko otworzył usta i głośno oddychał.

- Ale gdzie się ona znajduje?

- O pół mili od skalistej ostrogi. Jest ukryta w dżungli. Mieszka tu nie więcej niż sto osób w dziesięciu długich domkach...

- Jest tu też mały port - dodał Truman. - Dziesięć dżonek, może dwadzieścia.

Nagle James przypomniał sobie mężczyznę, który wyszedł z zarośli i czarne odciski dłoni na skale.

- To oni nas śledzili...

Junior kiwnął głową.

- No właśnie - powiedział Delroy.

Rozdział

Kto wie, odkąd za nimi szli. Prawdopodobnie towarzyszyli im od upiornego miasta.

- Gadaliście z nimi? - zapytał chłopiec. Delroy parsknął szyderczo.

- No pewnie, Fry! Ucieliśmy sobie z nimi miłą pogawędkę. James nie zwracał na niego uwagi. Szukał wzrokiem Juniora.

- Kim są? - zapytał przewodnika.

Ten wzruszył ramionami. Mogą być myśliwymi, rybakami, piratami.

- Kimkolwiek są, śmierdzą jak małpy - nie odpuszczał Delroy. - I raczej nas nie polubili... - dodał Truman, pokazując więzy na przegubach.

James przechylił się. Udało mu się sięgnąć po miskę z ryżem. Był okropnie głodny. Nie mógł myśleć. Zaczął przetykać twarde i kwaśne ziarenka ryżu. Spadały mu do żołądka jak kamienie.

- Jak myślicie... co chcą z nami zrobić? - zapytał pomiędzy jednym kęsem a drugim.

- Gdyby chcieli nas zabić, pewnie już by to zrobili - odparował Junior.

- Przedtem trochę nas utuczają - zapiszczał Delroy. - A potem i tak utną nam głowy i je ususzają.

Truman wymierzył mu kuksańca. To go uspokoilo.

- A ja myślę, że chcą nas odsprzedać - powiedział Junior po chwili namysłu.

- Odsprzedać? Ale komu?

- Może chcą ubić interes z jakimś arabskim handlarzem niewolników. Albo mają na oku chińskiego pirata, któremu akurat brakuje załogi.

- Może kupią nas Holendrzy... - zastanawiał się Truman.

- Taaa... - splunął Delroy. - Za wiele szczęścia.

- Czy może być coś gorszego niż niewolnictwo? - zapytał James.

- No, możemy zawsze wzbogacić ich kolekcję - stwierdził ironicznie Delroy. A potem dogadywał: - Nie czujecie mrowienia w karku?

- Nie sądz, że to gorsze - powiedział Truman i tym go uciszył.

Dużo później obudził ich dźwięk gongu. Bambusowy dom zdawał się drzeć w posadach. Na dźwięk pierwszego gongu odezwały się następne, bardziej odległe.

Więźniowie nasłuchiwali.

Jakieś kroki zbliżały się do chaty, w której ich przetrzymywano. Padło kilka rozkazów wydanych piskliwym głosem, a zaraz potem drzwi się otworzyły i stanął w nich jakiś

mężczyzna.

- Salama pagui, djamai!3- rozległ się głos.

I bez zbędnych tłumaczeń cała czwórka została wypchnięta na zewnątrz.

- Ej, powoli! - zaprotestował Delroy.

3 Salama pagui, djamai! - Pobudka, źli!

Popychano ich brutalnie do przodu. Gęsta mgła utrudniała widzenie. James trząsał się z zimna. Rozróżnił sylwetki mieszkańców wioski. Szli razem z nimi.

- Co się dzieje? - zapytał.

- Nie wiem! - odpowiedział Junior.

Dajakowie krzyczeli coś niezrozumiałego i unosili groźnie dzidy. „Bądźcie cicho” - przetłumaczył sobie James.

Junior uniósł obie ręce i powiedział do swego strażnika:

- Nadai jako iban!

Oblicze tego drugiego nagle pojaśniało.

Opuścił dzidę i wskazał im wąską błotnistą drogę, która wiała się wśród roślinności.

Junior kiwnął głową i poszedł tam, a za nim James.

- Co mu powiedziałeś? - wyszeptał chłopiec, starając się mówić tak cicho, aby go nie usłyszeli.

- Nie wiem - odpowiedział, nie odwracając się, Junior. - Kiedyś nauczył mnie tego pewien marynarz. Myślę, że to życzenie szczęścia. - Indiański przewodnik spojrział na niego. - Módl się, żeby tak właśnie było!

Dźwięki gongu odbijały się echem w dżungli. Więźniowie podążali ścieżką spowitą w gęstym mroku. Co chwilę ktoś ich popychał i szturchał. Szli bardzo powoli, jakby wraz z mieszkańcami wioski uczestniczyli w jakiejś dziwnej procesji. Ci byli uzbrojeni, a kto nie miał broni, niósł wydrążone dynie, rozłupane orzechy kokosowe albo zwykłe maty palmowe.

Po kilku minutach drogi doszli nad brzeg niewielkiego jeziora, w którym woda była szmaragdowozielona. Nad jego brzegiem czuwało, siedząc w kucki, kilku mężczyzn. Tłoczyły się tam też ciekawe wszystkiego dzieci. Patrzyły na więźniów i krzyczały:

- Hantu! Hantui4

- Widzę, że przed zabiegiem ofiary muszą być do czysta wymyte - wyszeptał Junior, kiedy zobaczył cel ich wędrówki.

Zrozumieli, że był to dzień kąpieli w wiosce. Strażnicy pilnowali, czy nie podpływają krokodyle. Usiadłszy na piętach, żuli betel i podnosili dzidy. Tak się porozumiewali się.

Więźniów doprowadzono przed oblicze tego, który musiał być wodzem wioski.

- Tuai rumah... - Tymi słowami zwrócił się do niego Junior.

Wódz się uśmiechnął. Piskliwie wymówił tylko jedno słowo.

Na to hasło rozebrano więźniów i zanurzano jednego po drugim w wodzie. Nie pozwolono im jednak zdjąć krepujących przeguby więzów.

James rozkoszował się chłodem wody. Nie oponował, gdy chciano go zanurzyć. Zamknął tylko oczy i oddał się ciszy, którą przyniosło zanurzenie. Co za spokój!

Wreszcie wyciągnięto go za włosy i musiał wytrzeć się matą palmową jak ręcznikiem. Poranna mgła przyjemnie chłodziła skórę, a kilkoro dzieci ukrytych w krzakach podglądało ich, chichocząc.

4 Hantu! Hantu! - Upiory! Upiory!

Wtedy James spojrzał na wchodzącego do wody Delroya i zrozumiał, że śmiały się z ich białej skóry.

Odrobinę podniesiony na duchu, wyciągnął się na macie. Uśmiechnął się. Napotkał wzrok jednego z małych chłopców. Mógł mieć nie więcej niż siedem lat. Dał mu znak brodą.

Miało to być pozdrowienie. Chłopiec jednak najpierw spojrzał w stronę strażnika, a potem uciekł.

Opuszczali swoje prowizoryczne więzienie tylko przy okazji cotygodniowej kąpieli; resztę czasu spędzali w zamknięciu. Ich jedyną rozrywką było patrzenie przez szczeliny w bambusowej podłodze. James spędzał tak całe dni, obserwując prosiaki i grzebiące w ziemi kury. Jedli dwa razy dziennie. Zazwyczaj był to ryż, czasami jakaś mięsna packa. Starali się wtedy odgadnąć, jakie zwierzę padło ofiarą wioskowych kucharek: pangolin, żółw, żaba czy małpa.

Na trzeci dzień po kolejnej kąpieli - na drugi według obliczeń Jamesa i czwarty według Trumana - pod chatę przyszło jedno z wioskowych dzieci.

- Hej! - zawołał James, kiedy zobaczył chłopca.

Rozpoznał go. Był to ten sam chłopiec, który mu się przyglądał nad jeziorkiem.

Dziecko uciekło, ale po chwili wróciło. Stało nieruchomo i patrzyło w górę.

- Znamy się... - wyjaśni! James szeptem zdumionym towarzyszom.

- Co on robi? - zaciekawiał się Junior.

Chłopiec patrzył na nich z zainteresowaniem, a potem nagle odwrócił się i pobiegł do innych wioskowych dzieci.

Nazajutrz James odłożył kawałek mięsa. Kiedy dziecko znów się pojawiło, starał się przywołać je do siebie.

- Przyjaciel... - szeptał do chłopca. - Przyjaciel.

Miał dla niego jedynie kawałek mięsa. Rzucił go przez szparę w podłodze. Liczył, że mały zrozumie, o co chodzi.

Dziecko spojrzało na kawałek mięsa i uciekło.

- Niezły sposób na marnowanie mięsa, Fry - powiedział do niego Delroy. - Następnym razem możesz po prostu mi je dać.

Dzień później dziecko wróciło.

Miało ze sobą trochę betelu.

- To prezent - odgadł James. Zobaczył, że chłopiec rozgląda się wokoło i sprawdza, czy nikt go nie widzi.

Junior wytłumaczył im, że betel to rodzaj używki zastępującej pieniądź. Im więcej ktoś go miał, tym był ważniejszy.

Chłopiec włożył betel przez szczelinę w bambusowej podłodze i zanim James zdążył wziąć do ręki ten niezwyklej podarunek, zniknął.

Mijały kolejne tygodnie. Noce rozbrzmiewały symfoniami świerszczy i pohukiwaniami sów, a dni były wilgotne i duszne. Więźniowie stracili poczucie czasu i nie mieli sił, aby obmyślać plan ucieczki. Od czasu do czasu pojawiał się mały przyjaciel Jamesa. Zatrzymywał się na chwilę pod chatą, podrzucał im jakiś owoc lub odrobinę tytoniu i zniknął.

James dzielił się z towarzyszami wszystkim, co dostawał.

Pewnej nocy Junior powiedział:

- Jesteś niezwyklej chłopcem.

- Dlaczego? - zapytał zdziwiony.

- Ponieważ jesteś jednym z tych, którzy wpływają na rozwój wydarzeń.

James poczuł się nieswojo.

- A jak to robię, twoim zdaniem? - odburknął.

Ale Tamil nie odpowiedział.

- Tak naprawdę, to myślę, że jest dokładnie odwrotnie - rozmyślał głośno James. - Niszczę wszystko, czego dotknę... i na czym mi zależy.

- Może wreszcie się przyznacie? - zasyczał Delroy z kąta chaty.

- Wiesz co, Junior? - ciągnął James szeptem. - W tę noc, kiedy zginął profesor... spotkałem słonia z jednym kłem i dzwoneczkiem na nodze.

- Słonia z jednym kłem? Podobnego do Ganeśi?

- To samo przyszło mi do głowy! - wykrzyknął James. - Pomyślałem, że to dobry znak, tylko że... on był dziwny... Bardzo smutny. - James pokręcił głową. - Staralem się podejść do niego i zdjąć mu dzwoneczek... ale nie udało mi się. - Chwilę milczeli. - Wtedy

przyszło mi do głowy, że nie zrobiłem tego, czego on oczekiwał... Czasami w głowie wciąż słyszę dźwięk tego dzwoneczka. - To prawie obsesja.

Junior nie odpowiadał.

Oparł się o bambusową ścianę i zamknął oczy.

W ciągu kolejnych dni Delroy dostał gorączki. Majaczył. Reszta nie czuła się o wiele lepiej: James upodobił się do szkieletu, a Junior i Truman od wielu dni nie wymówili ani jednego słowa.

Jamesowi kołatała się po głowie uporczywa myśl, że od takiego życia lepsza byłaby śmierć. Natychmiast.

Niech ich pozabijają. Spalą. Otrują. Niech im odetną głowy. Wszystko wydawało mu się lepsze od trawiącego ich poczucia beznadziei.

Pewnego dnia do wioski wtargnęło pięciu dajackich myśliwych. Wykrzykiwali rozkazy w niezrozumiałym języku. Rozcięli im więzy i pokazali na migi, że mają ruszać.

Po tygodniach bezruchu chodzenie okazało się bardzo trudne i bolesne. Był właśnie środek dnia. Południowe słońce oślepiło Jamesa, jego blask boleśnie kłuł w oczy.

Chwiejnym krokiem ruszyli w stronę morza. Popychano ich i szturchano. Cała wioska przyglądała im się w milczeniu.

Okazało się jednak, że był tam ktoś jeszcze oprócz mieszkańców. Jamesowi udało się dostrzec niejasny zarys dwóch z europejska wyglądających szalup.

Były wyposażone w wiosła.

Nie widział ich jednak dobrze, gdyż oczy z trudem przyzwyczajały się do ostrego światła.

Kto tam był, na plaży w dole?

Serce zaczęło mu walić jak szalone.

- Junior? - zawołał James.

Ale przewodnik nie słyszał go, albo nie chciał czy nie mógł odpowiedzieć.

James miał wrażenie, że widzi też w zatoce zarys statku.

Dwa maszty, zwinięte żagle i...

- Macie tylko ich? - zapytał jakiś mężczyzna po angielsku.

James starał się odgadnąć, kto wymówił te słowa. Rozejrzał się wokół. Wódz wioski swoim gadzim głosem odpowiedział nieporadnie po angielsku, że ma tylko ich.

Czterech.

- A pozostali? - zapytał ten sam męski głos, który zadał pierwsze pytanie.

Zaległa długa cisza. James nic nie rozumiał. Zmuszono go, by ukląkł. Wzrok miał

wbity w ziemię.

Wtedy ktoś krzyknął:

- Matko Boska, Panno Łaskawa! Giacomo! To on! To Giacomo, mówię wam!

Tym razem James rozpoznał głos przyjaciela.

Poszukał go wzrokiem. Ale w tej samej chwili ktoś uderzył go kijem tak mocno, że aż mu zaparło dech w piersiach.

Upadł na ziemię. Wtedy wokół niego zaczęło się poruszenie. Rozległ się szcęk broni, świst wyjmowanych noży i krzyki:

- Stać!

- Nie!

- Ognia!

Na koniec rozległ się huk. Salwa z broni. Ziemia zaczęła drżeć od armatnich wystrzałów.

James przylgnął całym ciałem do podłoża. Delroy dał kopniaka swojemu strażnikowi i krzyknął w zachwycie:

- Moje armaty! To moje armaty!

James dostrzegł kątem oka, jak Truman rzuca się ze skrzepowanymi rękami na drugiego strażnika i zadaje mu kilka uderzeń z główki.

- Giacomo! - krzyczał Ciro Wielki.

Zanim James zdążył mrugnąć, poczuł, jak ktoś chwytą go niczym drewnianego pajaca. Wylądował na plecach Ciro.

- Hope... - szeptał, czując jak woda morską liże mu stopy.

Rozległa się kolejna kanonada. Wokół sywał się prawdziwy grad pocisków. Pokład rozbrzmiewał krzykami. Słychać było plusk morza.

- Hope... - wyszeptał po raz drugi James, chwytając mocniej Cira za szyję.

- To nie Hope, mój chłopcze... - odpowiedział kucharz z Sorrento. - Ale i tak jest nieźle.

„Teraz już wszystko pójdzie dobrze” - pomyślał James.

To był statek Jamesa Brooke'a, radzy Sarawaku.

James ostatkiem sił wspinał się po sznurowej drabince na pokład jednostki morskiej należącej do Białego Radzy.

Powietrze było przepełnione ostrym zapachem prochu, a wokół rozlegały się co chwila rozkazy i okrzyki.

Na pokładzie ktoś stał.

Para silnych rąk uniosła go, zupełnie jakby był workiem kartofli.

- James! James Fry! - usłyszał na powitanie.

Nie od razu rozpoznał głos mężczyzny. Wreszcie błyskawica przebiegła przez mózg Jamesa.

- Salvo! - zawołał radośnie, gdy już stanął na pokładzie. Był szczęśliwy i oszołomiony zarazem. - Ale jak wam się udało ocaleć? - zapytał.

- To długa historia, James! - odparł Salvo, prowadząc go na rufowy mostek. - Panie Brooke, to jest James. Chłopiec, o którym panu mówiłem - zwrócił się Salvo do kapitana statku.

Biały Radza opuścił lunetę i odwrócił się w ich stronę. Był to młody mężczyzna o szerokim czole, bokobrodach i falistych włosach, ubrany jak wschodni sułtan. Miał na sobie jedwabną koszulę przepasaną fioletową szarfą, zza której wystawały dwa długie pistolety z rękojeściami z kości słoniowej.

Kiedy mężczyzna i chłopiec po raz pierwszy spojrzeli sobie w oczy, poczuli się dziwnie. Każdy z nich miał wrażenie, że w twarzy tego drugiego widzi samego siebie.

- Czyżby Dajakowie obcięli ci język, młodzieńcze? - zagadnął Biały Radza, kiedy już przyjrzał się temu chudemu, ledwie żywemu chłopcu, którego właśnie uratowali.

- Nie, wcale nie, panie - odpowiedział James.

Tuż obok nich rozlegały się ostatnie strzały z armat. A szalupy zbierały członków załogi. James zauważył na ostatniej wyprostowanego Delroya, który, pijany ze szczęścia, groził pięścią dżungli.

- Te dzikusy mają twardą skórę - dodał James Brooke i znów podniósł lunetę.

- Nie tak twardą jak my, Anglicy, panie - powiedział James.

Luneta zadrżała w dłoniach Brooke'a, zdradzając jego poruszenie.

- Co mówisz?

- Powiedziałem... nie tak twardą jak my, Anglicy, panie.

- Jesteś Anglikiem?

- Tak, panie.

James Brooke lekko się uśmiechnął.

- Tylko co angielski chłopiec robi tutaj, w dżungli?

- Mniej więcej to co pan. Staram się drogo sprzedać własną skórę.

Ci, którzy przeżyli rozbicie Hope, opowiadali o tym - każdy na swój sposób. Wersja Jamesa zapisana w pamiętniku brzmiała tak: „Hope, okręt «szóstej rangi» rozbił się podczas burzy. Kapitan Butler nie zdążył spuścić na wodę nawet jednej szalupy. Mnie, Juniora,

Trumana, Delroya i profesora Neville'a prąd zniósł w stronę lądu, a Chet Siedem Zon, Ciro i Salvo dryfowali przez półtora dnia na pełnym morzu na prymitywnie skleconej tratwie. Potem natknął się na nich ten sam piracki statek, przed którym Hope starał się wcześniej uciec. Byli na nim Chińczycy. Mieli na wpół ślepego tłumacza - Holendra. Ten wyjaśnił rozbitkom powody, dla których płynęli za nimi. Chińczycy dowiedzieli się o kontaktach między profesorem Neville'em a Brookiem. Zaczęli ich ścigać, przekonani, że Hope zaprowadzi ich do Białego Radzy. Burzę, która zaskoczyła kapitana Butlera na pełnym morzu, Chińczycy przeczekali w zatoce, a potem, płynąc śladem Hope, zabrali jego rozbitków na swój pokład.

Kiedy uzupełniali zapasy na lądzie, dowiedzieli się, że na wybrzeżu są jeszcze jacyś rozbitkowie. Na statek Brooke'a natknęli się dokładnie wtedy, kiedy wypływali na pełne morze. Ten, którego szukali, okazał się szybszy od nich.

Walka była szybka i okrutna. Marynarze angielskiego radzy dotarli do słupa i wyzwolili swoich rodaków. Po skończonej walce porzucili dryfujący statek piracki z trupami na pokładzie. «Nie zostawimy nikogo w rękach tych nędzników!» - krzyczał podobno James Brooke.

Potem zaczęli poszukiwania pozostałych rozbitków - nas.

Handel niewolnikami wciąż kwitł na wschodnich morzach. Brooke chciał położyć mu kres. Albo, jak utrzymywali jego wrogowie, lepiej go kontrolować i ciągnąć z niego korzyści.

W każdym razie profesor Wright Neville mówił prawdę: James Brooke nie tylko istniał i stworzył niezależne królestwo na północnym wybrzeżu Borneo, lecz także sprawował kontrolę na morzu dzięki swej świetnie zorganizowanej flocie. Urodził się w Indiach, w angielskiej rodzinie. Na statek zaciągnął się jako bardzo młody chłopak, po czym szybko dowiódł, z jakiej gliny został ulepiony.

Założył swoje państwo w oparciu o bardzo gęstą siatkę wymiany handlowej, wzmocnionej flotą handlową. Sam puszczał w obieg legendy na swój temat. Pogłoski o jego okrucieństwie obiegały kraj szybciej, niż którykolwiek z jego statków opływał brzegi. Mawiano, że pojawiał się na swoim okręcie o żelaznym kadłubie jedynie w księżycowe noce. Za dnia znikał. Utrzymywano też, że jego statek był szybszy od jakiegokolwiek jednostki pływającej na morzach w tym regionie świata, a to dzięki tajemniczym mapom, które były jego własnością. Krążyły plotki, że zawarł pakt z diabłem i właśnie dlatego nie imają się go strzały, a ukąszenia moskitów nie wyrządzały mu żadnej krzywdy

Natomiast nie można było zaprzeczyć, że wszyscy pozostawali pod jego nieodpartym urokiem: poszukiwacze przygód i poeci, marynarze, handlarze i przemytnicy.

A on pozostawał pod urokiem podobnych do niego, młodych, nieposkromionych,

gotowych na wszystko ludzi. Takich jak James Fry. w trawie i powietrzu lśniło tysiące robaczków świętojańskich. Było ich tak wiele i świeciły tak jasno, że mogły stawać w szranki z samymi gwiazdami; prawdziwa kaskada żywych iskier.

James ruszył prowadzącą do wejścia do pałacu palmową aleją. Kazał się zaanonsować radzy. Strażnicy stojący przy drzwiach wyglądali wspaniale w swoich czerwonych turbanach, ze strzelbami przewieszonymi przez ramię. Zasalutowali na widok Jamesa.

- Witaj, mały kapitanie - powiedzieli szeptem do najmłodszego Anglika przebywającego w Sarawaku.

- Proszę tędy, panie - wskazała mu drogę jedna z dziewcząt zatrudnionych w pałacu.

James miał ochotę jej powiedzieć, że nie musi mu się kłaniać i nie musi zwracać się do niego tak oficjalnie, ale nie zrobił tego, bo nie chciał jej zmieszać. Uśmiechnął się więc niewyraźnie i ruszył za nią.

Była bardzo młoda, miała ciemną skórę i kruczoczarne włosy. Wyglądała, jakby płynęła po marmurowej podłodze. Doszli do schodków wiodących do prywatnego ogródka radzy. Wtedy dziewczyna znów się ukloniła i zniknęła.

James Brooke siedział w cieniu swojego ulubionego drzewa, olbrzymiego figowca, który miał ponad sto lat. Na jego gałęziach od strony morza zawieszono były delikatne zasłony z gazy.

- Wzywałeś mnie? - zapytał chłopiec.

James Brooke miał na głowie wielki jedwabny turban; był ubrany w aksamitny strój z diamentowymi guzikami. W dłoniach trzymał kielich.

- Ach, to ty, James... zbliż się. Czekałem na ciebie.

James ruszył po białych kamyczkach rozsypanych w ogródku.

- Boso jak zawsze? - roześmiał się Anglik. - Popatrz na siebie! Jesteś ubrany od stóp do głów, a nie chcesz założyć butów! Jak cię nazywać? Buntownikiem?

- Wolny duch brzmi nieźle - powiedział z uśmiechem James.

- Rozgość się, rozgość się, proszę. Chcesz coś do picia?

- Nie piję.

Brooke potrząsnął głową, aby odpędzić ćmę.

- Ach tak, oczywiście. Piękny wieczór, nieprawdaż? James też tak myślał. Spięty, usiadł na samym krańcu poduszki.

Przypomniał sobie, dlaczego został wezwany.

Przez sześć miesięcy jego pobytu w Sarawaku dbano o niego i karmiono go. Odzyskał siły, dolegał mu jedynie ból w przegubie prawej ręki, co przeszkadzało sprawnie się nią

posługiwać. Pozostałe dolegliwości, które odczuwał po rozbiciu się statku, w zasadzie minęły.

James Brooke widział w Jamesie Fryu samego siebie - młodego poszukiwacza przygód. Polubił go od pierwszego momentu, gdy

Kiedy radza nie był na morzu (tej zimy rzadko wypływał), często spotykał się z Jamesem.

Rozmawiali na różne tematy, choć najczęściej to James Brooke opowiadał, a James Fry słuchał, starając się zapamiętać każdy szczegół. Pamięć chłopca była chłonna jak gąbka. A jego umiejętność zapamiętania najdrobniejszych szczegółów schlebiała pysze radzy, tym chętniej więc dzielił się z chłopcem wspomnieniami swoich młodzieńczych przygód.

- Skończyłeś czytać książkę? - zapytał Brooke, przelitykając.

- Jeszcze nie - przyznał się James.

Chodziło o pamiętniki z pełnej przygód podróży marynarza Lemuela Gullivera. Była to wspaniała lektura, która sprawiła, że Jamesowi wróciła ochota, by wypłynąć na morze.

James Brooke kiwnął głową i zrobił ręką niejasny gest w powietrzu. Odstawił kielich i przyglądał wąsy. Robił tak zawsze, kiedy miał zamiar powiedzieć coś ważnego.

- O tym właśnie chciałem z tobą porozmawiać - zagaił. „O to więc chodzi” - pomyślał James. Patrzył na zachód słońca, mając nadzieję, że radza wysłucha jego próśb.

- Mam wrażenie, że nie poznałeś się na książce Swifta - powiedział radza. - Czy się mylę? się spotkali.

- W związku z tym... - ciągnął James.

- Ach, nie, wcale nie. Jest bardzo ciekawa. Tylko że... nie miałem czasu, aby ją skończyć.

- Jeśli ktoś nie znajduje czasu na czytanie, to znaczy, że po prostu nie ma na to ochoty.

James wciągnął głęboko powietrze w płuca.

- Tak, wiem, masz rację, ale... chcę...

- Widzisz, James, nie kryję przed tobą, że mam wobec ciebie pewne plany - przerwał mu radza. Potem zapadła dziwna cisza. James wpatrywał się w swoje stopy. Czekał. - I jak sądzę, przez ostatnie miesiące udało ci się również czegoś ode mnie nauczyć.

- Zrobiłeś dla mnie o wiele więcej. Uratowałeś mi życie - powiedział James cicho.

- Życie nie powinno być celem samo w sobie.

James był skupiony na przesuwaniu stopą kamyczków. Nie podobał mu się kierunek, w którym zmierzała ta rozmowa. Nie miał ochoty na filozoficzne rozważania. Ani na pobieranie życiowych lekcji. Chciał po prostu wypłynąć w morze. Najszybciej jak to tylko możliwe. I dostać jakieś zadanie do wypełnienia.

- Pozwól mi się wykazać... - wyszeptał młodzieniec. - Wtedy będę żył tak, jak sobie tego życzysz.

Radza patrzył na niego uważnie.

- Pozwól mi się zaokrętować. Wszystko jedno, na jaki statek. Może być handlowy, patrolowy czy zwiadowczy - nie dawał za wygraną chłopiec.

James Brooke skubał wąsy.

- Wciąż mnie o to prosisz...

- Właśnie - zgodził się James.

- A ja proszę, abyś przeczytał Jonathana Swifta - odparł Brooke.

- I sir Waltera Scotta, i Daniela Defoe - przypomniał mu James. - I Williama Shakespeare'a również.

- I Henryka V Williama Shakespeare'a, oczywiście... - wyszeptał James Brooke z zadowoleniem. - Skąd możesz wiedzieć, czym jest dowodzenie, jeśli nie czytałeś Henryka V?

Kto do potrzeby tej ochoty nie ma, Wolno mu odejść; paszport mu wydamy Pieniądz na drogę włożym mu do kieski; Nie chcemy ginąć w towarzystwie człeka, Co nie chce w śmierci naszym być kolegą. - zacytował James z pamięci.

- Dalej... - zachęcał go Brooke. Oczy mu błyszczały.

Chłopiec zacisnął dłonie i recytował głośniej:

Bo kto dziś ze mną kroplę krwi wyleje, Mym będzie bratem, dzień go ten uszlachci, Jakkolwiek podle jego pochodzenie. Szlachta, dziś w Anglii w miękkim śpiąca łożu, Przekleństwem swoją nazwie nieobecność, A mało będzie herby swoje cenić, K90

Kiedy usłyszysz szczęśliwego męża, Co w dniu świętego Kryspina tu walczył

Radza z zadowoleniem kiwnął głową.

Czekał, aż wybrzmi echo słów chłopca, a potem wyszeptał:

- Nawet nie zauważyłeś... - przerwał jednak i z uwagą przyglądał się chłopcu.

Kiedy recytował, James, uniesiony własnymi słowami, wstał i wyprostował się. Teraz z góry patrzył pytająco na siedzącego na jedwabnych poduszkach mężczyznę.

- Chodź ze mną - nakazał mu radza Sarawaku.

Przeszli przez olbrzymią salę, w której na podłodze leżała nowa terakota, a u sufitu wisiały kryształowe żyrandole. Minęli tron ze srebra, zawieszoną przez radzę obok niego dużą angielską flagę noszącą jeszcze ślady bitwy i weszli do wielkiej biblioteki.

James nie czuł się najlepiej otoczony półkami książek. Władca Sarawaku jednak przyszedł tu w konkretnym celu - zza mosiężnej kraty wyjął dość opasły tom. Przez chwilę ważył go w dłoni, a potem wręczył chłopcu.

- Co to? - zapytał James zaciekawiony.

- To księga, w której znajdziesz wszystko to, co powinieneś wiedzieć.

5 Henryk V, W. Shakespeare, tłum. Leon Ulrich, PIW 1963.

James spojrział na okładkę i przeczytał:

Kapitan Charles Johnson Historia najsłynniejszych piratów, ich zbrodnicze wyczyny i rabunki⁶

- Nie rozumiem - wyszeptał.

- Zrozumiesz, jak przeczytasz. Wszystko w tej książce jest wymyślone, a jednak nikt nigdy nie napisał nic prawdziwszego o piratach. Pisarz pretendujący do miana autora nigdy nie istniał. Wszyscy jednak wierzą w te opowieści...

- Jakim cudem? - głowił się James. - Jak można dać wiarę nieistniejącemu kapitanowi?

James Brooke nie odpowiedział, bojąc się, że jego odpowiedź mogłaby rozwiązać czar tej książki.

- A teraz wybierz jeszcze cztery, James - rozkazał.

- Jak to?

- Podeprzyj się tym, co wiesz. I tym, czego nie wiesz.

James zrozumiał, że należało spełnić żądanie radcy. Nie ociągał się więc.

6 Uważa się, że Charles Johnson to pseudonim Daniela Defoe. Tytuł oryginału brzmi: A General History of the Robberies and Murders of the Most Notorious Pyrates.

Najpierw wyszli do ogrodu, a stamtąd ruszyli szybkim krokiem w stronę portu. James, lekko przechylony, niósł pod pachą książki. Morze delikatnie uderzało o pale.

Ku wielkiemu zdziwieniu Jamesa podeszli do czarnego klipra, zacumowanego w pozycji obronnej.

Był to wąski, ostro zakończony statek. Jego kadłub mógł ciąć fale przy zwiniętych żaglach z szybkością osiemnastu węzłów!

Był cztery razy szybszy od najszybszych statków.

- James, chcesz wypłynąć w morze... i marzysz pewnie, że kiedyś będziesz dowodził podobnym statkiem... - powiedział radca Sarawaku. Za jego placami flota robaczków świętojańskich kołysała się w ciemności. - Ale nie masz doświadczenia. Niespełna rok pływałeś na morzu i statek się rozbił.

James zacisnął wargi.

- Nie masz doświadczenia. A tego potrzebujesz najbardziej. Zanim jednak sam zaciągniesz się potajemnie na jakiś piracki statek przepływający akurat przez cieśninę... mam

przyjemność przedstawić ci Gwiazdę Zaranną.

Radża oparł dłoń na kadłubie, pogłaskał go niczym szczeniaczka.

- Gwiazda Zaranna płynie jutro na Celebes pod dowództwem kapitana Moore'a.

Coś drgnęło w sercu Jamesa. Kapitana Moore'a?

- Popłyniesz z nim jako drugi oficer. To zwyczajna podróż, ale będziesz uczył się i obyś nauczył się jak najwięcej.

James ze zdziwienia szeroko otworzył usta. Nie wiedział, co powiedzieć.

- Rozkazałem, by zanesiono do twojej kajuty ubrania i pamiętniki. Jednak potrzebna mi twoja zgoda... - dodał radża. - Oto lista załogi.

Podał mu zwiniętą kartkę. Junior miał zajęte ręce. Musiał położyć książki na pomoście.

Szybko przeczytał listę marynarzy. Potem przejrzał ją jeszcze raz.

- A zatem? - zapytał James Brooke, zaciekawiony brakiem odpowiedzi.

James oddał mu kartkę. Dłoń drżała mu niedostrzegalnie.

- Obawiam się, że muszę odmówić, panie - odpowiedział.

James Brooke uniósł jedną brew.

Chłopiec wciągnął głęboko powietrze. Udawał, że przygląda się kliperowi.

- Jako drugi oficer na statku, panie, miałbym pewne uwagi co do personelu.

- Uwagi? - wpadł mu w słowo radża. - TY masz uwagi?

- Zgadza się, panie. Dokładnie rzecz ujmując, chciałbym móc liczyć na obecność Cira Wielkiego w kambuzie, marynarzy Salva i Cheta na pokładzie, i panów Trumana i Delroya przy działach, a także wesprzeć się doświadczeniem Kamalbandhu, znanego również pod angielskim pseudonimem Junior.

James Brooke był zaskoczony.

- Nie mówisz poważnie, prawda?

- Przez całe moje życie nie zdarzyło mi się być równie poważnym, panie - odpowiedział James z lekkim uśmiechem. - To zaledwie sześciu ludzi. Są dla mnie niczym bracia. Jeśli mam na to wpływ, chciałbym ich mieć przy sobie.

James Brooke nie mógł wymówić ani słowa. Po raz pierwszy ktoś podawał w wątpliwość jego rozkazy. I był to mały chłopak.

Patrzył na niego z mieszaniną podziwu i zdumienia. I ugiął się w obliczu takiej determinacji.

- Spryciarz z ciebie - krzyknął i poczochnął mu włosy. - Na pokład! Będziesz miał swoich przyjaciół. Ale... pod jednym warunkiem!

- Jakim panie?

Oczy Jamesa błyszczały z podniecenia. Radża Sarawaku położył mu palec na nosie i powiedział:

- Nawet nie próbuj wracać, nie przeczytawszy wybranych przez siebie książek. t m

A zatem to tak wygląda kapitańska kajuta, pomyślał James. Był to maleńki pokoik z łóżkiem, stolikiem, lampą naftową i szafą, która ledwie mogła pomieścić ubranie na zmianę.

- Panie? - zwrócił się do niego marynarz. Był pewnie dwukrotnie starszy. - Gdzie mam je położyć?

„Pamiętniki” - pomyślał James i odwrócił się.

- Połóż je tam - rozkazał.

Potem, kiedy zauważył, że mężczyzna wciąż stał w miejscu, przypomniał sobie, że powinien go pożegnać. - Dobra robota, dziękuję.

- To ja dziękuję, panie.

„Panie” - pomyślał James z lekkim zdziwieniem. „Z jakiego powodu i dla jakich zasług tytułują mnie panem”? Nie mógł w to uwierzyć. To był chyba jakiś żart. A jednak znajdował się tu, na pokładzie Gwiazdy Zarannej. Miał swoją maleńką kajutę, nowe zeszyty i coś w rodzaju munduru z belkami...

„O, nie” - pomyślał, kiedy spojrzał na leżące na łóżku ubrania.

Była wśród nich para butów.

Wziął je do ręki i z przerażeniem zaczął nimi obracać. Były błyszczące. Twarde i zimne. Ich podeszwa była tak sztywna i twarda, że przywodziła mu na myśl ostrze maczety. Postawił je sobie na kolanach i długo się im przyglądał. Zastanawiał się, czy naprawdę będzie musiał je nosić.

Gdy tak rozmyślał, do jego uszu doszły odgłosy ostatnich przygotowań: załadunek towaru, rozgorączkowany, pokrzykujący mężczyźni na pokładzie, rozkazy kapitana Moore'a i bosmana. James czuł się uskrzydłony. Ale odczuwał także strach. Nie miał pojęcia, czego się od niego oczekuje.

Przebrał się i założył buty. Starał się utrzymać w nich równowagę. Wychylił głowę za drzwi kajuty. Był zdezorientowany. Nie widywał statku z tego miejsca. Zastanawiał się, ile czasu minie, zanim do tego przywyknie.

Wyszedł na pokład i stanął nieruchomo w słońcu. Cieszył się widokiem ludzi krzątających się po pokładzie.

Potem na górny pokład wszedł jego stary przyjaciel. Stanął przed nim.

- Salvo!

- James!

Chwycili się za ramiona i patrzyli na siebie radośnie. To spojrzenie mówiło więcej niż tysiąc słów.

- Widziałeś się? - zapytał Salvo.

- Co miałem widzieć? - zapytał w odpowiedzi James i poczerwieniał.

- Naprawdę wyglądasz jak kapitan! Coś niezwykłego!

- Przestań! - odburknął James lekko zawstydzony.

Pobiegli razem pod pokład. Zaczęli sobie opowiadać o ostatnich miesiącach na Sarawaku.

James mówił o swoich rozmowach z radzą, a Salvo wspominał pierwszy rejs z ludźmi Brooke'a.

- Tu jest inaczej niż u Anglików... - zwierzył mu się. - Ale mogliśmy wpaść w łapy piratów, więc nie ma co narzekać!

- Piraci? - zapytał James. - Trafiliście na nich?

Salvo uśmiechnął się.

- Ani widu, ani słyhu. A wiesz dlaczego?

James pokręcił głową.

- Ponieważ to my jesteśmy piratami. Piratami pod angielską banderą. I mamy armaty na pokładzie.

James był zawiedziony.

- A ci, których nazwy marynarze przekazują sobie z ust do ust? - pytał dalej.

- Jakie nazwy?

- Morscy Zabójcy, Tygrysy z Mompracem, Rabusie Kali, Flota Czarnej Herbaty.

Salvo kiwał głową. Potem potwierdził to, o czym James już wiedział. To były zwalczające się pirackie bandy Malezyjczyków, Indonezyjczyków, Chińczyków, Europejczyków, które rabowały na własną rękę. I to właśnie dzięki nim Brooke rządził na tych wodach.

Oparci o burtę przyjaciele patrzyli na otwarte morze.

- Tam w oddali czekają tysiące podwodnych skał i zagubionych wysp... - powiedział Salvo. - Myślę, że nie można ich wszystkich znać. - A potem dodał rozbawionym tonem: - Ale po co ja ci o tym wszystkim mówię. Jesteś drugim oficerem na statku! Wiesz o tym na pewno lepiej niż ja! Widziałeś mapy?

- Nie - przyznał James z bojaźliwym uśmiechem. - I nie wiem, kiedy je zobaczę. Poza tym nie mam zielonego pojęcia, co będę robić.

Spojrzeni na kapitana Moore'a. Stał na rufie za wielkim sterem.

- Myślę, że powinieneś z nim porozmawiać - wyszeptał Salvo.

- Też tak myślę - odpowiedział James bardzo przejęty.

Gwiazda Zaranna opuściła port w południe. Załoga stanęła na pokładzie w szeregu - tak zegnała się z tymi, którzy pozostawali na lądzie. James stał o krok za kapitanem Moore'em. Napotkał spojrzenie radcy Sarawaku i pomachał mu ręką. James Brooke puścił do niego oko.

Chłopiec westchnął wzruszony. Starał się zapamiętać każdy szczegół tej pożegnalnej sceny. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że to tylko sen. Znów wypływał w morze!

Mewy krążyły między masztami, konwojując statek. Marynarze wspinali się po wantach, rozwijali żagle, które natychmiast wypełniły się wiatrem. Prędkość, z jaką płynął statek, była upajająca.

James nigdy nie czuł niczego podobnego. Nie umiał powiedzieć, ile czasu spędził na pokładzie. Z zachwytem patrzył na otwierające się przed statkiem i zamykające za nim morze.

- Panie Fry! - przywołał go do porządku kapitan Moore. - Czekam na pana w mojej kajucie.

- Tak jest! - James wyprostował się jak struna. - Idę.

Kapitan Moore był człowiekiem surowym. Urodził się w małym angielskim miasteczku Kilmore Cove, w Kornwalii. Pochodził, jak mawiał, z rodziny podróżników.

Ten mężczyzna o władczym wyglądzie, z gęstą, utrudniającą mówienie białą brodą od pierwszej chwili, nie tracąc czasu, zajął się szkoleniem Jamesa. Podczas pierwszego spotkania wytłumaczył mu zasady, na jakich będą się odbywały lekcje. I od tego momentu James miał spędzać długie godziny w kapitańskiej kajucie. Uczył się posługiwania kompasem, suwmiarką i sekstansem; wytyczał kierunki na planszach i odczytywał mapy żeglarskie.

Kapitan Moore powierzył mu swoją kolekcję chińskich portolanów („Nic z tego nie można zrozumieć - zwierzył mu się - ale skały zaznaczone są z dużą dokładnością!”) i tabliczki do wyznaczania długości geograficznej. Ta ostatnia czynność była szczególnie skomplikowana. Trzeba było zmierzyć, jak wysoko nad horyzontem znajdują się gwiazdy. Niestety, na pokładzie nie było wystarczająco dokładnego zegara. Dokładna znajomość godziny, jak dowiedział się James, była jednym z sekretów dobrej żeglugi.

Upór kapitana Moore'a w egzekwowaniu poprawnych obliczeń stał się dla Jamesa przekleństwem. Często zdarzało mu się chodzić za kapitanem z tykającym zegarkiem w ręku. Uaktualniał pozycję statku dwadzieścia razy dziennie. Znajdował błędy i poprawiał je. Moore'a jednak trudno było zadowolić.

- Panie Fry, proszę o przeprowadzenie kolejnego pomiaru dokładnie za godzinę - wydawał mu polecenie kapitan.

W ten sposób James powoli przyzwyczajał się do jego maniakalnej dokładności.

Kapitan miał żelazne zasady co do odpowiedniego posługiwania się narzędziami pokładowymi i był wyrozumiały dla załogi. Na pokładzie Gwiazdy Zarannej co prawda obowiązywały inne zasady niż na Hope, a powód tego był dość oczywisty: załoga Gwiazdy, mimo że walczyła pod banderą Zjednoczonego Królestwa, była przypadkową zbieraniną ludzi. We flocie należącej do Brooke'a nie obowiązywała tak surowa dyscyplina jak w marynarce angielskiej.

Bandera z szóstką złotych lwów angielskich, irlandzką harfą i stojącym na dwóch łapach szkockim lwem powiewała na wietrze.

Ale pokład, jak mawiał Salvo, zaludniała załoga złożona z piratów.

Spójrzcie tylko, kto do nas zawitał, mój dawny pomocnik! - wykrzyknął Ciro, kiedy James po raz pierwszy zszedł pod pokład.

Był po służbie, nie miał więc na sobie munduru i nie założył butów. Uścisnął swoich starych kompanów z Hope i z każdym chwilę pożartował. Okrzykom i śmiechom nie było końca. „Wszystko jest w najlepszym porządku” - pomyślał James z ulgą.

Rzeczywiście, wszystko było tak jak dawniej i po raz pierwszy od momentu, kiedy wypłynęli z portu, James poczuł się jak w domu. Dał się nawet przekonać i skosztował rumu zmieszanego z wodą, który marynarze nazywali grogiem. Alkohol jednak palił mu usta, więc wypłuł go, jeszcze zanim udało mu się przełknąć pierwszy łyk. Wszyscy się roześmieli.

- No i? Jak ci się mieszka w oficerskiej kajucie? - zapytał go Junior.

- Pewnie trudno będzie ci w to uwierzyć, przyjacielu - odpowiedział James - ale jest tam okropnie nudno.

I zaczął opowiadać o nieustannym tykaniu zegarów w kajucie kapitana Moore'a, o klepsydrach, które wciąż trzeba odwracać, i mapach, na których codziennie, we dnie i w nocy, musi zaznaczać punkty. Zrozumieli, że brakowało mu prostych prac, które wykonywał na Hope.

- Zawsze wiedziałem - wymamrotał Ciro - że nie jestem stworzony do oficerskiego życia...

- On chyba też nie... - wtrącił ironicznie Delroy, patrząc na Jamesa. Belgijski kanonier, jedyny z grona starych przyjaciół, nie cieszył się z jego błyskawicznej kariery. Nie starał się też tego ukrywać. - Zostałeś pupilkiem radzy, Fry? Jak ci się to udało? Obiecałeś, że przeczytasz wszystkie książki z jego biblioteki? - pokpiwał.

Pod pokładem nagle zapadła cisza. Wszystkie oczy spoczęły na Jamesie. Byli ciekawi, jak zareaguje.

On odczekał chwilę, a potem powiedział:

- No cóż, Delroy, szkoda, że aż tak mi zazdrościsz... Ty i tak nie dałbyś rady przeczytać tych książek, bo szczerze mówiąc, wątpię, czy umiesz czytać...

Rozległy się chichoty, atmosfera się rozładowała. Junior kiwał tylko głową. Podobała mu się odpowiedź Jamesa. Za to Delroy wpadł we wściekłość.

- To nie jest śmieszne, Fry! Wcale nie jest śmieszne! - wykrzykiwał.

- Jestem innego zdania - odpowiedział chłopiec z uśmiechem. - Ale może się mylę...

Pryśł jednak urok chwili spędzanej w gronie starych przyjaciół. James postanowił odejść, zanim atmosfera całkiem się popsuje.

- No pięknie, a teraz opuszcza nas i udaje się do swych komnat! - nie odpuszczał Delroy. - Pajac!

- Dość tego, Delroy... - próbował go uspokoić Salvo.

- James jest jednym z nas - dodał Truman.

- Jesteśmy tu dzięki niemu - zakończył Ciro Wielki.

- Ach, co wy powiecie! - roześmiał się szyderczo kanonier. - I co on takiego dla nas zrobił? Chciał tylko pokazać, że jest po prostu lepszy!

James pomachał im na pożegnanie. Delroy jednak mówił dalej:

- Nie jesteś oficerem i nigdy nim nie będziesz! Jesteś wymoczkowatym smarkaczem i powinienes zejść pod pokład, ubrudzić się prochem i olejem. Zapamiętaj to sobie dobrze, Fry! Nie jesteś żadnym oficerem!

James nie zwracał na niego uwagi, ale kiedy Delroy na zakończenie powiedział:

- Wolałbym skończyć w paszczy krokodyla jak profesor, niż słuchać twoich rozkazów!

Jamesowi zrobiło się ciemno przed oczami. Chłopiec skoczył na niego jak kobra i zanim kanonier zdążył cokolwiek dodać, prawa dłoń Jamesa wylądowała na jego nosie i Belg, zdumiony, upadł na podłogę.

James poczuł silny ból w prawym ramieniu i musiał zacisnąć zęby, aby nie upaść.

Marynarze podbiegli, by ich rozdzielić.

- Rozkwasileś mi nos! - krzyczał Delroy. - Rozkwasileś mi nos!

- Nie waż się nigdy więcej tak do mnie mówić, Delroy... - zagroził mu James, dysząc - albo naprawdę skończysz jak profesor!

A potem odszedł.

Zamknął z trzaskiem drzwi swojej kajuty. Nie spał całą noc, wpatrując się w ciemny sufit nad głową. Chciał coś napisać w dzienniku, ale czuł taki ból w prawym ramieniu, że nie mógł nawet utrzymać pióra w palcach.

- Przykro mi... - wyszeptał.

Nie chodziło mu o Delroya. Chodziło mu o pana Neville'a, krokodyle i zegarki, które tykając, nieubłaganie odliczały czas.

W tydzień później dopłynęli na Celebes i załadowali na pokład herbatę.

James nie mógł uwierzyć własnym oczom, gdy indonezyjskie wybrzeże zamajaczyło na horyzoncie zgodnie z jego obliczeniami. Teraz czuł zachwyt na myśl o rachunkach, które musiał prowadzić.

Gwiazda Zaranna płynęła z zadziwiającą szybkością, niczym strzała.

Podróż była tak szybka i spokojna, że prawie nudna.

Załadunek zajął im niecałe sześć godzin i przed wieczorem, gotowi do powrotu, znów wpłynęli do cieśniny. James nakazał rozwinąć żagle i skierował ster na północny zachód. Liczył, że w drodze powrotnej, jeszcze przed zapadnięciem nocy, zaoszczędzi co najmniej osiem mil.

- Pochwalam pański wybór, panie Fry - skomentował kapitan Moore, przybywszy na koniec wachty. - Zamiast dać wolny wieczór załodze, zdecydował się pan na niezwłoczny powrót. W pełni to pochwalam.

Stary marynarz z Kornwalii pokiwał energicznie głową. Uderzył fajką o główny maszt, by wypadły z niej resztki tytoniu. Potem z wielką dokładnością na nowo ją napełnił.

- Obserwowałem pana bardzo uważnie w ciągu ostatnich dni. James Brooke nie pomylił się. Zapamiętał pan wszystko, czego pana nauczyłem. Zna pan ponadto imiona wszystkich członków załogi. Statkiem steruje pan w sposób tak naturalny, że wydaje się, że nigdy nie robił pan nic innego. Jednym słowem, panie Fry, sprawdził się pan w najwyższym stopniu.

Kiedy kapitan mówił, James wpatrywał się w morze. Miał nadzieję, że uda mu się nie zacerwienić ani nie stracić równowagi.

- Dziękuję - powiedział cicho.

Stali w ciszy. Kapitan zaciągnął się dwa razy dymem z fajki. Odpoczywał. Nagle chłopiec siedzący na bocianim gnieździe krzyknął tak głośno, że wszyscy podskoczyli:

- Statki na horyzoncie!

Kapitan Moore przekazał lunetę Jamesowi, mówiąc:

- Proszę sprawdzić.

James spojrział na dwa statki, które płynęły pod pełnymi żaglami. Nie wydały żadnego dźwięku rozpoznawczego.

- Co pan o tym sądzi?

James opisał mu je. Potem dodał:

- Myślę, że nas zauważyli, kapitanie. A teraz... chyba się oddalają.

- Może je pan rozpoznać?

- Nie. Nie widać bander ani żadnych innych oznaczeń... Ale mają duże zanurzenie.

Zupełnie jakby miały pełny załadunek... proszę poczekać!

James zauważył, jak coś zalsniło na pokładzie jednego ze statków.

- Co pan zobaczył? - dopytywał kapitan.

- Nie jestem pewien... - oddał lunetę - ale myślę, że są uzbrojeni.

Kapitan Moore uniósł jedną brew.

- Uzbrojeni?

- Jeśli chce pan znać moje zdanie - zaryzykował James - sądzę, że są to chińscy piraci.

Kapitan Moore przyglądał się dwóm odległym żaglom. Zachodzące słońce miało krwistoczerwony kolor.

- Jestem podobnego zdania, panie Fry... - rzekł kapitan Moore, nie odrywając oka od lunety. - Dwa chińskie statki poza własną strefą, z wyjątkowo dużym zanurzeniem. Co pan proponuje, panie Fry?

- Mnie pan o to pyta? - zdumiał się chłopiec.

Kapitan Moore gwałtownie złożył lunetę.

- Może jest ich więcej, panie Fry?

James wyprostował się nagle.

- Nie, panie... chciałem powiedzieć... oczywiście, że nie.

Kapitan Moore patrzył na niego z wyczekiwaniem.

- Są jeszcze bardzo daleko od nas - powiedział James wolno. - I jeśli się zdecydujemy... rozwijając górne żagle... możemy ich wyprzedzić w... - Bezskutecznie starał się dostrzec na twarzy kapitana cień aprobaty.

- Chce pan powiedzieć, że powinniśmy ścigać dwie jednostki pływające bez oznaczeń, panie Fry?

- Tylko wtedy, jeśli są na nich... piraci.

- I nie bierze pan pod uwagę, że to może być niebezpieczne?

James myślał przez chwilę o zagrożeniu, ale chęć doścignięcia i zaatakowania piratów okazała się silniejsza.

- Jeden taki statek może mieć na pokładzie nie więcej niż dwadzieścia osób i parę dział... - wytłumaczył. - Jesteśmy liczniejsi i szybsi.

- A załoga ma prawo podnieść się na duchu, nie sądzi pan? - dodał kapitan Moore.

- Sądzę, że tak, panie - potwierdził James.

- Będzie pan miał przerobiony pełen program nauczania w czasie zaledwie jednej podróży, panie Fry... - uśmiechnął się kapitan Moore. - Proszę przekazać wiadomość bosmanowi. Niech rozwinie górne żagle i niech każe przygotować armaty! Atakujemy!

Do broni! - rozległ się rozkaz z mostka Gwiazdy Zarannej.

- Do broni! - krzyknęli marynarze na pokładzie.

W bardzo krótkim czasie pięćdziesięciu gotowych do walki ludzi znalazło się na swoich miejscach bojowych. Delroy i James szybko podeszli do kapitana Moore'a, który z za burty rufowej przyglądał się ruchom zbliżających się statków.

- Zrozumieli, że nie uda im się uciec - powiedział kapitan. - Starają się wziąć nas w dwa ognie.

- A zatem to piraci? - zapytał James, przyglądając się dwóm żaglowcom, które zwiększały dystans między sobą.

- Chińczycy albo Bengalczyki - odpowiedział kapitan Moore, patrząc przez lunetę. - Mają kilka armat o małym zasięgu, które nie powinny nam wyrządzić szkody.

- A zatem, co zrobimy, kapitanie? - zapytał Delroy.

- Popłyniemy za nimi - rozkazał kapitan Moore, uśmiechając się pod nosem - z załadowanymi działami.

Patrząc przez lunetę, kapitan zauważył, że na pokładach dwóch statków panowało podniecenie

Widać było, jak marynarze budują barykady, które miały ich ochronić przed artyleryjskim ostrzałem. Starali się przyciągać jak najcięższe przedmioty. Widać to było po liczbie ciągnących.

Kapitan Moore był tak spokojny, jakby ta sytuacja w ogóle go nie dotyczyła. Uważnie obserwował manewry dwóch żaglowców. Salvo przygotowywał harpuny do abordażu. Wszystko miało być gotowe na wypadek starcia.

Gdy znaleźli się w odległości kilkudziesięciu kroków od bliższego żaglowca, usłyszeli, jak ktoś mówi do nich po angielsku:

- Kim jesteście i czego chcecie?

Kapitan Moore kazał sobie natychmiast podać tubę; szybko przyłożył ją do ust i krzyknął:

- A kim wy jesteście, żeby żądać od nas odpowiedzi?

- Statki królestwa Bengali - usłyszał odpowiedź.

- Czy zechcielibyście w takim razie pokazać nam wasze glejty? - odpowiedział ironicznie kapitan Moore. A ponieważ ten drugi nie odpowiadał, dodał: - Odmawiacie? Jestem zmuszony otworzyć ogień.

Z pokładów obydwu statków rozległ się straszny wrzask:

- Kali! Kali! - krzyczeli piraci.

Tego się właśnie spodziewali. Kapitan Moore wyciągnął swój bułat z pochwy i podniósł go w górę.

- Panowie! Pokażmy im, z jakiej gliny są ulepieni Anglicy! - zawołał.

Załoga Gwiazdy Zarannej odpowiedziała zgodnym chórem. Był to taki wrzask, że nawet Jamesa przebiegł dreszcz.

Rozległ się pierwszy wystrzał armatni. Kula, wystrzelona z jednego z nieprzyjacielskich statków, uderzyła w kadłub Gwiazdy Zarannej, ale nawet go nie drasnęła.

- SARAWAK! - krzyknął kapitan Moore, chwytając za ster.

Po jego okrzyku rozległy się wystrzały z karabinów. Marynarze ukryci za burtami podnieśli się i otworzyli silny ogień skierowany na pokład jednego z pirackich okrętów. W tym czasie artylerzyści obracali gwałtownie długimi działami, aby podziurawić go pociskami na całej długości, od dziobu aż po rufę.

Zaczęli padać pierwsi ludzie. Zanim James zdążył pomyśleć, już stał pod gradem kul ze szpadą w dłoni, gotowy do walki.

- Za Anglię! Za zwycięstwo! - wykrzykiwał kapitan Moore przy sterze.

Tym ludziom morza nie potrzebna jednak była dodatkowa zachęta. Zestarzeli się w artyleryjskim dymie, zahartowali w ogniu walki. Najemnicy Sarawaku wskakiwali na burty i wspinali się na drabinki, by łatwiej im było atakować wroga, i nie dbali o to, że sami mogą zostać trafieni. Artylerzyści pod wodzą Delroya niszczyli dobrze wymierzonymi wystrzałami maszty i obudowę bengalskiego żaglowca.

Gdy walka rozgorzała na dobre, z drugiej strony zaczął zbliżać się do nich drugi piracki statek.

- Uwaga na lewą burtę! - krzyknął kapitan Moore. Ruchem drążka starał się obrócić statek wokół własnej osi. Salvo, Truman i Junior rzucili się na lewą burtę z garstką uzbrojonych w muszkiety marynarzy, by stawić czoło nowemu niebezpieczeństwu.

Gwiazda Zaranna zrobiła błyskawiczny manewr i zeszła z linii ognia wystrzeliwanego przez dwa żaglowce. Stała w poprzek i ona z kolei zaczęła zasypywać je gradem kul z

karabinów i dział. Broniła się wspaniale i miała dostatecznie dużo żelaza i ołowiu, aby pokonać obydwaj wrogi statki.

Delroy, dobrze wymierzonym strzałem, złamał fokmaszt pierwszego żaglowca, a potem skierował serię wystrzałów w stronę ludzi, którzy starali się zepchnąć złamany maszt do wody. Kapitan Moore, z prawdziwą maestrią manewrując statkiem, uciekał przed krzyżowym ogniem.

- Fry! - wrzasnął w pewnym momencie. - Do mnie!

Chłopiec jednym skokiem znalazł się przy nim.

- Trzymaj ster - nakazał mu. - Na lewą burtę pierwszego statku! Ubiegniemy ich, do abordażu!

Potem rzucił się przez pokład, krzycząc:

- Przygotować się do abordażu! Do zwycięstwa!

James poluzował szoty, aby zebrać więcej wiatru, a potem skierował kliper w kierunku pirackiego statku, który bardziej ucierpiał w walce. Delroy tymczasem otworzył ogień w stronę drugiego graba. W ten sposób chciał zatrzymać go w miejscu.

- Kładki! - krzyknął kapitan Moore. - Przygotować harpuny!

Kilku ludzi wyrzuciło za zewnętrzną burtę wielkie piłki z plecionych konopi, aby zamortyzować uderzenie; pozostali chwycili za harpuny. Kapitan Moore, stojąc na dziobie, zdążył jeszcze wydać Jamesowi rozkaz:

Chłopiec z całych sił ścisnął ster. Tym razem to on krzyknął:

- ZA ANGLIĘ! -1 wycelował bukszpryt Gwiazdy Zarannej w drabinki i linki statku przeciwników.

Uderzenie było straszne. Kiedy żaglowiec się przechylił, wielu Bengalczyków, zaskoczonych manewrem, wpadło do wody. Anglicy rzucili harpuny i wskoczyli na pokład pirackiego statku, zarzucając go z każdej strony - z drabinek, baksztagu, a nawet rei - gradem ołowianych kul. Kapitan Moore przeskoczył na pokład jako jeden z pierwszych, w prawej dłoni miał bułat, a w lewej pistolet. Truman walczył jak pewnie nigdy w życiu. Delroy ostrzeliwał drugi żaglowiec, trzymając go na dystans.

Anglicy byli tak szybcy, że przechwycili nieprzyjacielski ster bez użycia broni. W pierwszym momencie Bengalczyki rozproszyli się po pokładzie, ale na rozkaz krzyczących dowódców wrócili na stanowiska i naładowali broń. Starcie było bardzo gwałtowne, bułaty błyszczały i cięły, mężczyźni krzyczeli i padali na pokład, krew płynęła po nim strumieniami.

James nie mógł oderwać wzroku od tego przerażającego widowiska. Było to straszne, a zarazem fascynujące przedstawienie.

Nagle ktoś krzyknął:

- Pali się! Pali się!

I pod wpływem tego krzyku chłopiec wreszcie się ocknął.

- NAPRZÓD!

Gęsty dym wydobywający się z głównego wjazdu Gwiazdy Zarannej spowijał żagle i maszty. To kawałek lontu albo płonącej szmaty musiał wpaść pod pokład i teraz ładunek płonął. Salvo wrzasnął coś z pokładu pirackiego statku, ale jego głos zginął w ogólnym rwetesie.

James nie wahał się ani chwili. Przekazał ster najbliższemu marynarzowi, przebiegł przez pokład i rozkazał:

- Do pomp, szybko!

Spojrzał na otwarte morze, skąd niebezpiecznie szybko zbliżał się drugi żaglowiec.

- Trzymaj go daleko od nas, Delroy! Rozwal mu ten przeklęty pokład! - krzyknął i pobiegł w stronę pomp.

Delroy spojrzał na Jamesa i odkrzyknął:

- Nie rozkazuj mi, Fry! I lepiej się schowaj!

Belg nachylił się nad działem, załadował je kulami i gwoździami i wycelował dokładnie w pokład nadpływającego żaglowca.

- Zaraz zrobię wam kolczyki z gwoździ!

Wystrzelił. Fokmaszt pirackiego statku zachwiał się i upadł z ogromnym hukiem.

- Liberté, égalité, fraternité!⁷ - krzyknął Delroy, upojony walką. James wprowadził w ruch pompę. Pomagało mu jeszcze dwóch ludzi. Nie zwracał uwagi na kule armatnie i świszczące nad jego głową pociski.

⁷ Liberté, égalité, fraternité! - Wolność, równość, braterstwo! (franc.).

Gwiazda Zaranna zakołysała się, jakby próbowała się wyswobodzić z płątaniny sznurów i żagli. „Nie!” - pomyślał James. „Nie może się obrócić!”

Spojrzał na marynarza, którego zostawił przy sterze. Kapitan Moore, obserwując, co się dzieje, wydawał rozkazy:

- Do abordażu! Do abordażu!

Z drugiego żaglowca, zniszczonego przez działa Delroya, Bengalczyki rzucali harpuni, aby przeskoczyć na pokład Gwiazdy Zarannej!

James obnażył szpadę i krzyknął:

- ZA ANGLIĘ!

W uszach mu świszczowało, wszystko wokoło wydawało się wybuchać, przewracać i

łamać.

Nawet nie zauważył, kiedy się znalazł oko w oko z dzierżącym w dłoni olbrzymi parang Chińczykiem.

Odparował cios, dźgnął go bułatem i zranił. Przeciwnik cofnął się, ale chwilę później wymierzył Jamesowi gwałtowny cios w bułat i wytrącił mu broń z ręki.

Na twarzy pirata pojawił się triumfujący uśmiech, który mówił: „No i co teraz zrobisz, pluskwo?”.

Potem nagle stanął między nimi Truman. Przebił Chińczyka błyskawicznym ciosem. Ten upadł u stóp Jamesa.

Afrykańczyk przeobraził się w demona umazanego smołą i krwią.

- Podnieś broń - nakazał mu. - I dobij go.

Rozdział

Parang Chińczyka był bardzo ciężki i ostry jak brzytwa. „Dobij go” - powtórzył w myślach James. Podnieś broń. I przeżyj.

Walka toczyła się na całym pokładzie. Żaglowiec storpedowany przez Gwiazdę Zaranną powoli tonął, a drugi piracki statek ze złamanym masztem nacierał powstrzymywany harpunami.

James przedzierał się między walczącymi. Poruszał się szybko i zwinnie. Odbijał ciosy; przecinał harpuny i ranił wrogów.

Zatrzymał się na lewej burcie. Nie zwracał uwagi na ogłuszający hałas bitwy, tylko odgarnął sobie włosy z czoła i obserwował, co się działo.

I wreszcie go zobaczył. Bengalski pirat stał za plecami Delroya, który pochylał się nad jednym z dział.

- Uważaj, Delroy! - krzyknął James i rzucił się między nich. Ale Delroy nic nie zauważył. Zapalił lont i z działa padł głośny wystrzał.

Chłopcu zabrakło tchu. Stracił równowagę. Widział, jak pirat podnosi parang, i starał się odparować cios.

Ruch powietrza.

Cięcie.

Nawet nie czuł bólu.

Upadł na ziemię i potoczył się po pokładzie.

Potem podniósł rękę i ze zdziwieniem szukał dłoni, w której trzymał parang. Nie zobaczył jej, ale ciągle czuł, jak palce zaciskają się na rękojeści.

Nagle wszystkie doznania przyćmił ogromny ból.

Hałas bitwy ucichł, zagłuszyło go bicie jego własnego serca.

Dym. Drewno. Sznury. Ogień.

„Moja ręka...” - udało mu się jedynie pomyśleć. Wciąż tam była. Czuł ją.

Wszystko widział we fragmentach.

Po okrzykach zorientował się, że walka miała się ku końcowi.

„Wygrywamy” - pomyślał.

Ale to zwycięstwo za wiele kosztowało.

Delroy upadł na ziemię o kilka kroków od niego. Jamesowi nie udało się go uratować.

Ostatnią rzeczą, którą pamiętał, był natchniony wzrok kanoniera, który z wolna

przygasał. Usta Delroya nuciły:

- Liberté! Egalité! Fraternité...

A potem zapadła ciemność.

Dzień i noc następowały po sobie. Czuł zapach lekarstw i bandaży.

Zimne okłady chłodziły pokryte potem czoło. Gorączka gotowała mu krew. Było mu gorąco. Ogień.

Pamiętał ogień.

- Trzeba przypalić ranę - powiedział pokładowy lekarz. Czerwone ramiona i czarne ostrze.

- Wszystko jest w porządku, James... - wyszeptał Salvo tuż obok niego.

A może to był kapitan Moore. Nie czuł bólu. Już nie.

- Piraci? - szeptał pytająco w malignie.

- Zatopiliśmy ich. I miałeś rację co do ładunku - powiedział Salvo, a może to był kapitan Moore. - Przewozili złoto.

Złoto.

Ładunek złota. James uśmiechnął się.

Tym razem żadnych spreparowanych zwierząt. I żadnego muzeum, profesorze Neville. Chciał się poruszyć.

Otworzył oczy, ale nic nie widział.

Gdzie był?

Był w pokoju lekarskim na Gwieździe Zarannej czy znów w Sarawaku? A może w Triwandrum, w świątyni Śiwy?

„Nie” - szeptał do siebie.

Był w grotach upiornego miasta, tam, gdzie słyszał brzęczenie dzwoneczka.

Ten przejmujący, wszechobecny smutek.

- Nie udało mi się... - wyszeptał z żalem. Serce mu waliło. Ramię pulsowało bólem. I ręka.

- Ja... nie udało mi się - powiedział, chcąc nią poruszyć i zerwać dzwoneczek z nogi słonia.

- Szszsz... - uspokajał go głos, którego nie rozpoznawał. - Nic nie mów. Już dobrze. Udało ci się. Wszystko jest w porządku.

- A jednak mi się nie udało... - wyrzęził jeszcze James. - Muszę go uwolnić.

Chciał poszukać profesora, a ten zginął. Chciał zaatakować, a Delroy umarł. Ile jeszcze osób zginie z jego winy?

- Ten dzwoneczek... - mówił James w gorączce. - To wszystko przez ten dzwoneczek... jeśli mi się nie udało... tą ręką... zdjąć... na czas...

Tiktak. Tiktak.

Tykał zegar kapitana Moore'a.

Tiktak. Tiktak.

Zegar tykał w brzuchu krokodyla.

Rozdział

Rok później James Brooke został zaproszony przez królową Wiktorię do Anglii. W ojczyźnie nikt już nie wątpił w jego istnienie ani w istnienie jego walecznej floty.

Kapitan Moore napisał wspaniałą opinię o swoim drugim oficerze i James Fry służył pod nim jeszcze przez prawie dwa lata.

Po raz pierwszy powierzono mu dowództwo nad statkiem, kiedy nie skończył jeszcze dwudziestu lat. Wybrał Gwiazdę Zaranną.

Wciąż był młody, ale bardzo się zmienił. Bitwy morskie sprawiły, że stwardniał, a jego oczy, które kiedyś przypominały niezapominajki, teraz miały kolor nieba przed burzą. Ci, którzy go znali, mawiali, że od kiedy stracił dłoń, stał się kimś zupełnie innym. Rzadko się śmiał i żartował, nie zachwycał się urodą kobiet, a jego rozkazy często bywały okrutne.

Każda podróż była dla niego nowym wyzwaniem, które rzucał morzu.

Wyglądało na to, że znienawidził nawet samą myśl o tym, że udało mu się przeżyć ten pierwszy abordaż. Kochający morze chłopiec marzyciel teraz każdego dnia podejmował z nim walkę.

Sterował Gwiazdą Zaranną jedną ręką. I zawsze boso.

Wieczorem, kiedy jadł kolację z załogą (rzadko jadał sam w kajucie), opowiadał, że to właśnie przez buty potknął się przed mężczyzną, który odciął mu rękę.

Nigdy nie mówił o Delroyu.

Do ręki kazał sobie przyczepić hak. Dzięki niemu mógł utrzymać ster. Niektórzy myśleli, że hak był wbity w kość, a inni, że to nie hak, tylko słoniowy kiel.

Przyzwyczajenie. Dziwactwo. A może przesąd.

Załoga, którą dowodził, też miała swoje dziwactwa. Mówiono, że bosman na Gwieździe Zarannej jest Sycylińczykiem i że śpiewa przed każdym abordażem, że na pokładzie jest też Tamil, który zna wszystkie języki świata, Afrykańczyk, który zanim przesyje wroga szpadą, szepcze modlitwy i kucharz odmawiający zdrowaśki przed zabiciem prosiaka.

Krały plotki, że James Fry jest synem Jamesa Brooke'a i że kiedyś zajmie jego miejsce. James nie wiedział nic o swoim prawdziwym ojcu i nigdy nie próbował się niczego o nim dowiedzieć.

Był samotnikiem, walczącym pod angielską banderą piratem, a nie żołnierzem angielskiej marynarki. Kiedy dopadał go zły humor, wypływał hen, w morze. Jego statek miał

zawsze małe zanurzenie, oddaną załogę i niestrudzenie pruć fale.

Przemierzał morza w poszukiwaniu konwojów i piratów, w których mógłby uderzyć. Pojawiał się i znikał jak przyływ, ukrywał się w najbardziej niedostępnych portach, a prądy znał lepiej niż delfiny.

Zawsze atakował pierwszy.

Mijały lata... a chłopiec pirat zdawał się odkryć sposób żeglowania na przekór czasowi.

7 lutego 1852 roku w Hallington, niedaleko Newcastle, urodziła się Florence, siostrzenica królowej Wiktorii. Nie miała ojca, miała za to niezwykle silny charakter. Dziewczynka wychowywała się na dworze razem z kuzynem Edwardem, synem królowej Wiktorii. Księżniczka lubiła psy i kwiaty, lubiła też zapuszczać się w długie i mroczne korytarze zamku Windsor.

Tego samego dnia w Triwandrum umarła mama Jamesa.

James, to ty?

To zdanie sprawiło, że krew ścięła mu się w żyłach. Przecież nie mógł go usłyszeć naprawdę.

To wyobraźnia płatała mu figła.

James nauczył się, że czasami przez wyobraźnię mówi do nas niewidzialne. I że najstraszniejsze upiory to te, o których zapomnieliśmy.

Stał nieruchomo w drzwiach zakładu krawieckiego.

Wahał się.

Niczym przerażony chłopiec.

Za jego plecami światło księżycy przemieniło drogę w srebrne łożo. Delikatny powiew wiatru gładził skórę, przywoływał dźwięki, zapachy i głęboko ukryte wspomnienia.

James oparł rękę na pasku. Na rękojeści bułata, na flaszeczce prochu.

Był piratem.

Nie był już dzieckiem.

Mechanizm thimonnier ukryty pod białym prześcieradłem był jak prastare bóstwo, które trwa w oczekiwaniu na zdjęcie zasłon w dzień jego święta.

Wspomnienia były jak mrówki, wciskały się wszędzie.

Ile to już lat minęło?

Pięć? Sześć? Osiem?

Wydawało mu się, że opuścił to miejsce zaledwie kilka dni temu. Czas się skurczył, jak to się często dzieje, kiedy ma wymierzyć karę chłosty.

Zrobił krok i przekroczył próg cichego zakładu.

Pamiętał każdy mebel. Wszystko było jak dawniej. Sterty bawełny, bele tkanin, dwa stoły, przy których pracowały krawcowe, pomocnice mamy.

Kręcił się po pokoju. Czuł się jak złodziej. Dotykał starych sprzętów, które przywoływały wspomnienia.

Odsunął kotarę i wyszedł na podwórko słabo oświetlone mdłym światłem świecy.

Na podwórku siedział mężczyzna, odwrócony do niego tyłem.

Jego cień drżał na ścianie.

- Czekałem na ciebie... - powiedział pan Lalchand, nie odwracając się. - Wiedziałem, że przyjdiesz.

James stanął tuż obok ojczyma.

Patrzyli na świecę, pachnącą girlandę z kamelii i złote pudełko ustawione na samym środku podwórka.

Długo milczeli. Cieszyli się odnalezioną bliskością.

Nie trzeba było nic więcej.

- Długo na ciebie czekała - powiedział pan Lalchand. - Była przekonana, że wcześniej czy później wrócisz. Aż do ostatniej chwili miała nadzieję, że cię zobaczy. - Głos mężczyzny załamał się. - Jej ostatnie słowa dotyczyły ciebie.

James zamknął oczy. Był załamany. Wspomnienia gryzły jak mrówki.

- Pamiętasz jeszcze jej twarz? - zapytał pan Lalchand.

- Doskonale ją pamiętam - odpowiedział James szeptem. Płomień świecy pochylił się.

James poczuł strach. A potem powiedział:

- Przykro mi.

Pan Lalchand roześmiał się cicho.

- I to wszystko?

„Nie” - pomyślał James. „Nie wszystko”. Czuł mnóstwo sprzecznych emocji, nie wiedział tylko, jak je wyrazić.

- Nie sądziłem, że... to się wydarzy tak nagle.

- Nie myślałeś, że mama umrze?

- Jeszcze nie teraz.

Pan Lalchand pochylił się na krześle, podniósł z ziemi kamyczek i cisnął nim w płomień świecy. Kamyczek upadł tuż obok.

- Nie cierpiała, jeśli to właśnie chcesz wiedzieć.

- Jak to się stało?

- Umarła we śnie. Wcześniej opowiedziała mi pewną historię. Tak po prostu, bez żadnych wstępów, jakby zrobiła już wszystko, co powinna tu zrobić. I jakby miała zacząć coś nowego... gdzie indziej.

James nie wierzył w duszę ani w reinkarnację; nie wierzył, że coś odchodzi, by później wrócić. Ale nic nie powiedział. Wydawało mu się to okrutne.

- Pogrzeb był tydzień temu - ciągnął pan Lalchand. - Przyszło całe miasto.

- Ruszyłem w drogę od razu, jak tylko się dowiedziałem - tłumaczył się James.

- Kiedy i tak nie mogłeś już nic zrobić - skomentował sucho ojczym.

James westchnął. Co jeszcze mógł powiedzieć?

Pan Lalchand odwrócił głowę w jego kierunku. Starał się przyjrzeć jego twarzy w ciemności.

- Czym się teraz zajmujesz? Gdzie mieszkasz?

James opowiedział mu w kilku słowach o Sarawaku i o Brooke'u.

- Słyszałem o tym Angliku - rzekł pan Lalchand. - Jaki to człowiek?

- To ktoś bardzo samotny... - odpowiedział James. - Trudno zdobyć jego zaufanie.

- A tym, komu się to udało, jesteś ty?

- Powierzył mi swój statek, dał swoje najlepsze książki i nauczył zasad żeglowania - odpowiedział wymijająco James.

- A ty, co mu dałeś w zamian?

James błędził wzrokiem po świetle świecy.

- To - odpowiedział, podnosząc prawą rękę.

- Chyba powinienem ci powiedzieć, że mi przykro - wyszeptał pan Lalchand. - A może powinienem cię wyrzucić z domu. Albo przypomnieć ci, jak nas zdradziłeś i zraniłeś.

James zeszywniał. Ponownie wsunął rękę pod płaszcz.

- Ale nie czuję już nic - zakończył pan domu.

James położył obok świecy skórzaną sakiewkę, w której było sześćdziesiąt funtów.

Lalchand nie zaszczylił go nawet jednym spojrzeniem.

- Na szczęście jej już nie ma, Jammy - powiedział. - Ponieważ tego nigdy by ci nie wybaczyła. Zabierz to.

- Nie miałem innego wyjścia - powiedział James. - Nie słuchaliście mnie. Nie chcieliście mnie usłyszeć!

Pan Lalchand wstał, cisnął sakiewkę na ziemię i wziął pudełko, które znajdowało się za nim.

- Teraz to ty mnie posłuchaj. - Oderwał stopiony wosk od pokrywki, zanim ją lekko

uniósł. - Opowiem ci to tylko raz. Potem nigdy się już nie spotkamy.

Podał pudełko Jamesowi.

- Otwórz je, no dalej.

James zwlekał. Musiał postawić sobie pudełko na kolanach, aby otworzyć je jedną ręką.

- Otwórz je, chłopcze! OTWÓRZ JE! - krzyknął pan Lalchand.

Płakał.

W szkatułce znajdował się chronograf, zegar zawinięty był w poplamioną chusteczkę. Niezwykle delikatny, skomplikowany mechanizm wbudowano w złotą skrzyneczkę. James spojrzał na cyferblat.

Zegar nie działał.

Z drugiej strony pokrytej motywami roślinnymi skrzynki widniał wygrawerowany krótki napis. James wyszeptał:

Dla Jego Wysokości Króla Anglii Jerzego IV

- Co to ma znaczyć? - zapytał. Dreszcz przebiegł mu po plecach.

- Twoja mama chciała, żebyś to miał.

- Dlaczego?

- Nie pytaj, nie wiem - przerwał mu pan Lalchand.

- Ale prosiła, bym ci powiedział, jeśli kiedyś wrócisz, że ten zegar należał do twojego ojca. Do twojego prawdziwego ojca.

„Mojego prawdziwego ojca?” - zastanawiał się James i patrzył na pana Lalchanda. „Czy mój ojciec był zegarmistrzem? Ale co to miało wspólnego z królem Anglii? I dlaczego mechanizm był owinięty w brudną chusteczkę? Czym była pobrudzona? Krwią?”

Zaczęło mu się kręcić w głowie.

- Tto niemożliwe, że tylko to ci powiedziała... - wyszeptał. - Musiała ci powiedzieć coś jeszcze!

- Może mógłbyś sam ją o to zapytać - rzekł pan Lalchand, odchodząc - gdyby tylko choć trochę cię obchodziła...

Ruszył w stronę schodów prowadzących do sypialni.

- Dokąd idziesz? - zapytał go James, łamiącym się głosem.

- Spać.

Drewniane schodki zaskrzypiały.

James wciąż ścisnął między kolanami szkatułkę.

- Nie możesz tak po prostu sobie pójść! - zaprotestował. Wtedy pan Lalchand się

zatrzymał.

Oparł się o poręcz i wyszeptał:

- I kto to mówi?

James wyszedł z zakładu i ruszył przed siebie. Nie poszedł na wybrzeże, gdzie Salvo i pozostali czekali na niego, by wrócić na zakotwiczony w cieśninie kliper. Zapуścił się w wąskie uliczki Triwandrum. Chciał dojść do palmowej alei, a potem do pałacu maharadży. Szedł szybko, ani razu się nie pomylił, wciąż świetnie pamiętał to miasto.

Pod płaszczem przyciskał do siebie złotą szkatułkę i tajemniczy zegar. Nie mógł znaleźć odpowiedzi na tysiące pytań, które mu przychodziły do głowy. Dlaczego mama nic mu nigdy nie powiedziała? Dlaczego ani słowem nie wspomniała o jego prawdziwym ojcu? Czy to on ich odesłał? Dlaczego?

Byli głupi, że ze sobą nie rozmawiali. Ze wszystko trzymali w tajemnicy. Gdyby tylko mogli porozmawiać we właściwym momencie. Ale właściwy moment nie istniał. Życie był sekwencją niewłaściwych momentów. Przychodziły i mijały jeden po drugim. A błyski, które od czasu do czasu się w nim pojawiały, powstawały od uderzających o siebie bułatów.

James czuł złość.

„Jak mogłem?” - pytał sam siebie. Przytłaczała go myśl, ilu rzeczy on i May nigdy sobie nie powiedzieli. Nie wrócił po mamę, choć zawsze o tym marzył. Nigdy nie zabrał jej ze sobą do Anglii.

Dlaczego?

Dotarł do bram ogrodu zoologicznego. Były zamknięte. Okrążył cały park, ale nie znalazł ani jednej dziury czy prześwitu w ogrodzeniu z żelaznych prętów.

Przeskoczył więc przez ogrodzenie jak jakiś miejski urwis i zagłębił się w gęstwinie liści i własnych wspomnień.

Pamięć wracała na powierzchnię w kawałkach jak szczątki rozbitego statku. Rozpoznawał ścieżki, altankę, taras, jedno z wejść na tajemniczą polankę, gdzie spotykał się z księżniczką Shileily.

Kto wie, co się z nią stało; czy mieszkała wciąż w pałacu, czy poślubiła księcia pustyni?

- Powinienem był wtedy zabrać cię ze sobą... - syczał w złości.

Może jeszcze nie wszystko było stracone. Może jeszcze mógł... ją spotkać?

Zaszył się pod drzewami, odgarnąwszy krzewy i kolczaste gałęzie. Dorósł, ale wolał o tym nie myśleć. Serce waliło mu jak szalone. Chciał wrócić do przeszłości, do czasów, kiedy był dzieckiem. Gdyby tylko mu się udało, gdyby udało mu się odnaleźć to tajemne miejsce i

księżniczkę Shileily, może wszystko znów byłoby tak, jak powinno być.

Wtedy James obudziłby się w parku i odkrył, że to, co się zdarzyło, było tylko snem. Właśnie zaniósł ubranie panu Humble'owi i powinien po prostu wrócić do domu. Zanim mama zacznie się martwić.

Był tylko zagubionym dzieckiem.

A zagubionych dzieci nie interesuje, że zagubił je król Anglii.

Albo pan Lalchand.

Albo pan Brooke.

Chciał jedynie, aby wszystko było jak przedtem. Tajemne miejsce. Dzieciństwo. Dłoń.

Rzucił się na ziemię, bez tchu. Leżał z twarzą w wilgotnej trawie.

Bluszcze wiły się wokół niego jak węże.

Nie mógł. Nie mógł tam wrócić. Nie miał pewności, że tam właśnie było jego miejsce.

Ta polanka była podobna do tysiąca innych polanek.

Spojrzał na zegar swojego ojca. Wskazówki zatrzymały się na trzeciej pięćdziesiąt dwa. Trzecia pięćdziesiąt dwa, ale którego dnia?

I dlaczego nigdy później go nie nakręcono?

Ten zegar nie był mu w ogóle potrzebny. Potrzebował zegara, którego wskazówki zdążyłyby w przeciwnym kierunku. Ale nikt jeszcze takiego nie skonstruował.

James wyszedł z chaszcy. Zaczął biec przez park w stronę pałacu maharadży.

Mógł zrobić wszystko albo nic.

Przeciął aleję i wbiegł na węższą ścieżkę. Biegł dalej, nie zdając sobie sprawy, że mrok robił się coraz gęstszy. W panującej wokół ciszy raz po raz rozlegało się cykanie świerszczy.

Zwolnił.

Starł się uspokoić.

„Co mam robić?” - zapytał się w myślach. I dopiero wtedy zauważył ten wzrok.

Tygrys stał nieruchomo za prętami klatki. Miał szeroko otwarte oczy. Były wielkie.

To był właśnie ten tygrys, którego zawsze chciał zobaczyć. I zawsze myślał, że on nie istnieje.

Najprawdopodobniej tygrys wychodził jedynie nocą, kiedy nikt nie patrzył. Miał wielkie oczy, które wyglądały jak zrobione ze szkła.

James pomyślał o zatopionym statku. Podszedł do klatki. Tygrys ani drgnął. Obnażył tylko zęby i dyszał. Ale nie poruszył się.

- Ja cię rozumiem... - wyszeptał. - Wiem, jak się czujesz. Obydwaj jesteście w klatce.

Ty nie masz już pazurów. A ja...

Podniósł i pokazał mu hak. Chciał, aby go rozpoznał.

Tygrys dyszał.

James uśmiechnął się.

Potem wyciągnął zza pasa bułat i uderzył nim z całych sił w zamknięcie. Żelazo uderzyło o żelazo. Posypały się złociste iskry. Drzwi klatki uchylły się.

- Wyjdź - powiedział James. - Chodźmy stąd. Rozrzucił na ziemi proch ze swojej buteleczki, potem podbiegł do pozostałych klatek i pootwierał je.

A kiedy otworzył już wszystkie, podpałił lont.

- Do broni! Do broni! - krzyczała gwardia maharadży, ale James nie uciekał.

Patrzył na znikające w mroku gازه. Wciągnął w nozdrza

Słuchał wrzasków wybudzonych ze snu małp i ptaków.

- JESTEM NIKIM! - krzyczał, wznosząc ramiona ku niebu. - SŁYSZYCIE MNIE?
JESTEM NIKIM!

Płomienie rozpełzły się w mgnieniu oka. Park płonął, a wraz z nim szansa powrotu do przeszłości.

- James Fry nie ma ojca, nie jest niczym synem... - powtarzał. Skóra błyszczała mu w blasku ognia. „Kim zatem jestem? Kim jestem?”

Westchnął głęboko, zanim udzielił sobie jedynej odpowiedzi, którą mógł zaakceptować: - Jestem piratem.

I powtarzał to w kółko głosem szorstkim od dymu, zanim zdanie nie wryło się w jego duszę. A potem zniknął. zapach pierwszych płomieni, które wznosiły się między drzewami. t

- Do broni! Do broni! - krzyczała gwardia maharadży, ale James nie uciekał.

Patrzył na znikające w mroku gازه. Wciągnął w nozdrza zapach pierwszych płomieni, które wznosiły się między drzewami. Słuchał wrzasków wybudzonych ze snu małp i ptaków.

- JESTEM NIKIM! - krzyczał, wznosząc ramiona ku niebu. - Płomienie rozpełzły się w mgnieniu oka. Park płonął, a wraz z nim szansa powrotu do przeszłości.

- James Fry nie ma ojca, nie jest niczym synem... - powtarzał. Skóra błyszczała mu w blasku ognia.

„Kim zatem jestem? Kim jestem?”

Westchnął głęboko, zanim udzielił sobie jedynej odpowiedzi, którą mógł zaakceptować:

- Jestem piratem.

I powtarzał to w kółko głosem szorstkim od dymu, zanim zdanie nie wryło się w jego duszę.

A potem zniknął.

SŁYSZYCIE MNIE? JESTEM NIKIM!

A ty, kim jesteś? - zapytał zdziwiony doktor małą dziewczynkę, która nagle wyrosła tuż przed nim w mrocznym pałacowym korytarzu.

Wyglądała jak lalka: miała zielone oczy, bardzo jasne włosy i plisowaną sukieneczkę.

Doktor uśmiechnął się. Splótł dłonie z tyłu i mówił dalej:

- Co tu robisz, na górze?

Znajdowali się w jednym z korytarzy drugiego piętra zamku Windsor. Doktor, jak zwykle latem, był gościem na królewskim dworze. Zyskał ten przywilej przed laty za zasługi dla Korony.

Od dawna nie prowadził już prywatnej praktyki. Żył głównie dzięki dochodom z broszurek wydrukowanych na potrzeby nowego programu wydziału medycyny na Uniwersytecie Oksfordzkim, miał więc dużo czasu dla siebie. W Windsorze wszyscy go znali i grzecznie ignorowali, co dawało mu pewną swobodę działania.

Zwykle bez celu spacerował po zamkowych korytarzach. Od czasu do czasu dochodziły go urywki rozmów, plotki albo małe kłamstewka, z których często śmiali się potem z królową Wiktorią. Czasami zatrzymywał się, aby popatrzeć na wielkie portrety zawieszane w salach; zastanawiał się, co mogą w sobie kryć niezliczone szufladki chińskich lakowych i emaliowanych mebli.

Rozdział

Popołudniami gawędził z królową, która z biegiem lat zrobiła się ostrożna i podejrzliwa. Od śmierci męża ubierała się na czarno, dlatego nazywano ją windsorską wdową. Prawie nigdy nie opuszczała zamku.

Tego dnia, gdy doktor spotkał na pałacowym korytarzu małą, rezerwową dziewczynkę, padał rześisty deszcz. Wszystko wokół wydawało się szare i smutne, tak jakby dziewiętnasty wiek zrozumiał, że zdąży nieubłaganie do swego końca.

Dziewczynka, która stała naprzeciwko niego, miała ładniutką buzię i paskudnie poobijane kolana.

Doktor przykucnął (aż zatrzeszczało mu w stawach) i zapytał ją po raz trzeci:

- Zechcesz mi wreszcie powiedzieć, kim jesteś?

Zaczerwieniła się i pokręciła głową. Była przestraszona.

W dłoni doktora pojawił się karmelek. Dziewczynka chciała go zabrać, ale doktor uchylił w ostatnim momencie rękę.

- O nie! Najpierw musisz mi powiedzieć, jak się nazywasz.

Głęboko westchnęła. Nieźle się bawiła.

Oczywiście nie chciała nic powiedzieć w obawie przed karą. Jednak ten zabawny starszy pan z cukierkami w kieszeniach zdobył jej zaufanie.

- Florence - odpowiedziała kryształowym głosem.

- Florence Florence? - powtórzył doktor.

Kiwnęła głową.

- Proszę, oto cukierek, Florence Florence.

Doktor z trudem się wyprostował.

- Florence... Florence... ależ oczywiście! Chyba wiem, kim jesteś... jesteś małą Trevelyan, prawda?

Znowu kiwnęła głową.

- I co tu robisz, Florence Trevelyan?

- Nic - odpowiedziała trochę zbyt szybko. Było jasne, że coś ukrywa.

Doktor spostrzegł, że jedne z drzwi wychodzących na korytarz są uchylone. Podeszedł do nich.

- Założę się... - zawiesił głos, patrząc uważnie na małą - że tu byłaś!

- Tak - odpowiedziała dziewczynka.

- Po co tam wchodziłaś? W pokoju jest ciemno!

- Ale to mi się podoba! - zapewniała. - Lubię ciemność.

Doktor uśmiechnął się pod wąsem. Jakie interesujące dziecko! Miała wspaniałe oczy i tak słodki nosek, że wyglądał jak marcepanowe arcydzieło.

- Szukałam tam starych przedmiotów - wytłumaczyła Florence.

A potem, podszedłszy do doktora, opowiedziała mu o dziwnej grze, w którą grali z kuzynem. Chodzili po zamku w poszukiwaniu zagubionych przedmiotów. Zebrali już całą kolekcję.

Aby ją powiększyć, docierali do miejsc, do których nikt od dawna nie zaglądał: najdalszych pokoi, dawnych pomieszczeń kuchennych czy na strych. Musieli uważać, aby ich nie nakrył żaden dorosły.

Doktor przyznał, że to bardzo zabawna gra.

- A dzisiaj już coś znalazłaś? - zapytał ją, kiedy schodzili po schodach.

- Jak ci powiem, to przegram... - przypomniała mu dziewczynka.

- No dalej. Nikomu nie powtórzę.

- Obiecujesz? - spytała poważnie.

- Obiecuję - roześmiał się doktor.

- Obiecujesz, że jak wygadasz, to umrzesz, a wcześniej dasz mi jeszcze jednego karmelkowego cukierka?

Rozbawiony doktor przystał na te warunki. Ssała cukierka, a on zastanawiał się, ile ma lat. Pięć? Sześć?

- Znalazłam właśnie to! - zwierzyła mu się Florence, kiedy byli już na dole schodów.

Serce doktora na chwilę zamarło.

Dziewczynka trzymała w dłoni maleńki złoty klucz.

Powoli wziął go do ręki i chwilę obracał nim w palcach. Patrzył na niego pod światło i przyglądał się wzorkom.

- A gdzie go znalazłaś?

- Był przyczepiony pod łóżkiem... - powiedziała dziewczynka.

Oczywiście, pomyślał doktor, gdzie indziej mógłby być? Wiele dni i wiele tygodni szukał tego kluczyka.

A teraz, po dwudziestu latach, wziął go z dłoni małej dziewczynki.

Los spletał mu figła, bo jakże to inaczej wytłumaczyć?

- Oddasz? - zapytała Florence. Zauważyła, że ten wąsaty pan trochę za długo trzymał w rękach jej skarb.

Doktor szybko się zdecydował, jak najlepiej postąpić w tej sytuacji.

- Ależ oczywiście! - odpowiedział. - Proszę... tylko uważaj. - Zniżył głos: - Teraz moja kolej, żeby ci zdradzić tajemnicę. Klucz, który znalazłaś, jest bardzo cenny.

- Wiem! - odpowiedziała rezolutnie mała Florence.

- Noś go zawsze przy sobie i nigdy nikomu, ale to nikomu, nie mów, że go masz.

Usteczka dziewczynki wygięły się w podkówkę.

- Dlaczego?

- Dlatego, że to będzie nasz wspólny sekret... - powiedział doktor, zamykając rączkę Florence wokół klucza. - Ukryj go w bezpiecznym miejscu i nigdy nikomu o nim nie mów. Nawet twojemu kuzynowi. Zgoda?

Kiwnęła głową.

A potem zbiegła ze schodów i zniknęła.

Rozdział

Kiedy umarł James Brooke zorganizowano uroczysty pogrzeb. Drewniana wieża płonęła przez ponad dwa dni. Bębny i trąby grały przez cały tydzień. Tłumy towarzyszyły Białemu Radży w jego ostatniej drodze.

Brakowało tylko jednej załogi i jednego statku: Gwiazdy Zarannej. James dał rozkaz wypłynięcia, kiedy tylko dotarła do niego ta smutna wieść.

Tej samej nocy ktoś wyłamał zamki w bibliotece radży i zabrał ze sobą wszystkie jego książki.

Bratanek radży, który został jego następcą, oskarżył o kradzież kapitana Frya. I od tego momentu Gwiazda Zaranna stała się pirackim statkiem także dla ludzi z Sarawaku.

Z biegiem czasu jego postać obrosła legendą. Mówiono o nim: pirat samotnik, bo nigdy nie stanął po niczyjej stronie: ani Malezyjczyków, ani Bengalczyków, ani Chińczyków czy Anglików. Zawsze był po swojej stronie, a wraz z nim pięćdziesięciu mężczyzn z jego załogi.

Przez ponad dwadzieścia lat, kiedy rabował pomiędzy Morzem Arabskim, Zatoką Bengalską a Malezją, żaden z jego marynarzy nie zdradził go ani nie opuścił. Ten, kto zaciągał się na Gwiazdę Zaranną, na niej umierał. Chowano go w morzu. W ręce wkładano kilka stron z kodeksu honorowego.

James nauczył się pisać lewą ręką. I wciąż zapełniał kolejne strony pamiętników.

Było spokojne wiosenne popołudnie. Jeden z tych dni, kiedy angielska wieś wydaje się prawdziwym rajem. Wiatr rozwiewał lipowe pyłki; rzeka szemrała wśród trzciny.

Na ławeczce nad jeziorkiem siedział stary doktor. Zmęczony czytaniem położył książkę na kolanach, przymknął na chwilę oczy i zapadł w drzemkę.

Wybudził się, kiedy książka upadła na ziemię. Chciał ją podnieść, ale ubiegła go czyjaś ręka w rękawiczce.

- Ja ją podniosę.

Zażenowany doktor spojrział na młodą kobietę. Chciał wstać, aby się odpowiednio przywitać.

- Proszę mi wybaczyć! - wykrzyknął zawstydzony. - Nie zauważyłem, kiedy pani przysła...

- Proszę nie wstawać! - poprosiła go pośpiesznie i położyła mu dłoń w rękawiczce na ramieniu.

Dziewczyna miała na głowie kapelusik z delikatną koronkową woalką i skrywała się przed słońcem pod parasolką.

- Mogę usiąść obok pana? - zapytała.

- Ależ tak. Oczywiście! Proszę usiąść! - odpowiedział doktor, przesuwając się na sam koniec ławki.

Jej suknia zaszeleściła, a on starał się sobie przypomnieć, kim była ta wdzięczna panienska, która traktowała go z łagodną pobłażliwością.

Prawdą było, że się starzał i że jego pamięć, podobnie jak wzrok, szybko słabła.

- Wspomniała dzień - zauważył, patrząc na jeziorko.

Podniosła woalkę. Kiedy doktor zobaczył jej jasne oczy i doskonały kształt noska, nie miał już wątpliwości.

- Lady Florence... - wyszeptał radośnie.

- Doktorze... - powitała go lekkim ukłonem.

Rozmawiali o rzeczach błahych: o porach roku, o przedstawieniu teatralnym, o wsi i o mieście. Doktor zapytał o królową Wiktorię i o jej syna Edwarda. A lady Florence dopytywała się o jego zdrowie.

Kiedy popołudnie miało się już ku końcowi, lady Florence oparła brodę o dłoń w rękawiczkach i powiedziała:

- Czy pan mi kiedyś, wcześniej czy później, powie?

- Co takiego? - odparł zaskoczony doktor.

Jego zegarek kieszonkowy stanął.

- Minęło już prawie dwadzieścia lat... - dodała - a ja dotąd nie otrzymałam słowa wyjaśnienia.

- Słowa wyjaśnienia na jaki temat? - dopytywał doktor, potrząsając zegarkiem.

- Na temat naszego sekretu - przypomniała lady Florence, patrząc mu prosto w oczy.

Doktor spojrzał jej głęboko w oczy.

- Nie mam pojęcia, o czym pani mówi...

- No dalej, doktorze. Naprawdę pan sobie nie przypomina? Złoty kluczyk.

- Ach tak, oczywiście. Ten mały kluczyk...

- Nakręcał podobno zegar króla Jerzego - uprzedziła go lady Florence.

Przeszedł go dreszcz, a ona uśmiechnęła się do niego słodziutko.

- Z nikim o tym nie rozmawiałam, proszę być spokojnym... Pamięta pan, co panu obiecałam w dniu naszego pierwszego spotkania?

Doktor kiwnął głową. Tak, dobrze pamiętał ten dzień.

- Minęło tyle czasu...

- Ale nikt nic nie wie o tym zegarze... Pytałam tu i tam, wie pan? Mówią, że to pan go ma...

- Alez nie! Cóż to za pomysł! - oburzył się doktor.

Lady Florence uśmiechnęła się.

- Proszę mi więc pomóc, doktorze. Dlaczego przed laty powiedział mi pan, że znalazłam coś cennego i że nie powinnam o tym z nikim rozmawiać? Czy pan wie, jak długo się nad tym zastanawiałam?

- Minęło wiele czasu od tego dnia, lady Florence... Nie może sobie pani wyobrazić, jak... - doktor szukał właściwych słów. A w końcu powiedział: - Jeśli chce pani znać prawdę, to proszę uwierzyć, że nie mam pojęcia, gdzie się znajduje ten zegar.

- I nie ma pan ochoty pomóc mi w jego odnalezieniu?

- Gdyby to tylko było takie proste... - odpowiedział doktor. Zamknął oczy i poczuł się bardzo zmęczony. Przypomniał sobie chwilę, kiedy trzymał w rękach zegar i kiedy poinformował rektora Eton, że spiskowcy chcą zabić młodą kobietę wraz z jej dzieckiem... Jak się nazywała ta dziewczyna?

- May... - wymknęło mu się.

- May? - powtórzyła za nim jak echo lady Florence. - Kim jest May?

- Nikim - odpowiedział. - Jest nikim. Uśmiechnął się skrępowany.

I znów pomyślał, że tak właśnie o niej mówiono. Nikt. Dziewczyna była nikim. Jej dziecko było nikim. I oboje zniknęli bez śladu.

Ale niesprawiedliwie było tak ją nazywać po tym wszystkim.

- Chcieli ją zabić, wie pani? - dodał zamyślony.

- Zabić? May?

- Tak, właśnie ją - odpowiedział. - Ale... Wahał się.

- Ale, co się stało?

Doktor zrozumiał, że posunął się za daleko. Milczał przez chwilę uparcie. Ptaki śpiewały wśród gałęzi drzew, a zielone trzciny pochylały się na wietrze.

Prawdą było, że kiedy on umrze, nikt nigdy nie pozna historii May.

Nikt.

Doktor był ostatnim żyjącym z grupy spiskowców.

Król Jerzy i jego brat umarli. Sir Robert i rektor Eton także. Podobnie Niemiec.

Doktor zakaszłał.

Był ostatni.

Popatrzył na lady Florence i pomyślał, że ta dziewczyna, która siedziała obok niego, mogłaby być May... Gdyby tylko zaakceptowano ją na dworze, zamiast skreślać na zawsze...

To nie było sprawiedliwe.

„Nie” - pomyślał doktor i postanowił odkryć sekret z przeszłości.

- Ten zegar... - zaczął swą opowieść - to była moja pierwsza zapłata. Zapłata za kłamstwo. Kiedy poszliśmy do króla, aby mu powiedzieć... że jego syn umarł...

- Jaki syn?

Doktor uniósł ręce.

- Ja odbierałem poród, wie pani? To było ładne dziecko. Zdrowe i silne. Płakało z całych sił, jak wszyscy, którzy przychodzą na świat.

Opuścił ręce.

- Uznali, że złoty zegar będzie wystarczającą zapłatą. Ale kiedy zrozumiałem, co naprawdę chcieli z nim zrobić, nie mogłem milczeć. Nie mogłem pozwolić, aby ich zabito. I tak... - Doktor długo patrzył na lady Florence. Wreszcie zapytał: - Obiecujecie pani, że...?

Kiwnęła głową i położyła rękę na sercu.

Stary doktor westchnął.

- Szukałem rektora Eton. On też należał do spisku... ale on też nie był mordercą. Zaniosem mu zegar, prosząc go, aby znalazł sposób, by ocalić May i dziecko, Jamesa. Tak właśnie ma na imię. Powiedział mi to rektor. James. James Fry. Właśnie tak.

-1... udało się? Udało się panu uratować królewskie dziecko?

Doktor aż podskoczył. Poczul straszny ciężar na żołądku. Był tam ukryty od dawna, przez pięćdziesiąt lat. Teraz chciał się go pozbyć.

- Tak - odpowiedział. - Udało się. Wsadziliśmy ich na pokład statku płynącego do Indii i zapewniliśmy im godne życie.

Stało się. Wszystko powiedział.

Czuł, jakby strącił pajęczynę kwiecistą gałązką.

- A co się stało potem?

- Nie wiem - przyznał doktor. - Wciąż się zastanawialiśmy, co się z nim stało.

-1 nigdy nie chciał go pan odnaleźć?

- Och, tak! Wielokrotnie rozpytywaliśmy o nich kapitanów i osoby, które znaliśmy... i nic! Kto wie, jak to wszystko by się ułożyło, gdyby...

Doktor bezsilnie rozłożył ręce.

Rozmowa zmierzała w niebezpiecznym kierunku.

- To jednak piękna historia... - powiedziała lady Florence w zamyśleniu.

Kilka tygodni po tym spotkaniu lady Florence trafiła na gazetę, w której opublikowano niezwykle interesujący artykuł. Odłożyła pismo.

Ręce jej drżały.

Florence Traveyan była jedną z niewielu dobrze urodzonych dziewcząt, które wołały „Timesa” od ubrań. A wieści z dalekich podróży interesowały ją bardziej niż kronika towarzyska. Miała niezwykłą wyobraźnię. Jej ukrytą pasją były książki przygodowe, które pochłaniała, jedna za drugą. I była przekonana, że są kobiety, które potrafią działać równie dobrze jak mężczyźni. Jeśli nie lepiej. Gdy widziała, że ktoś się z niej śmieje, proponowała mu partię tenisa. I zawsze wygrywała.

Trudno ją było kontrolować, bo ceniła sobie samodzielność i niezależność. Także w myśleniu. Była zatem kimś, kto ma małe szanse na spokojne życie.

Zwłaszcza teraz, kiedy natknęła się na ten artykuł...

Przeczytała go dwa razy, aby się upewnić, że przeczucie jej nie myli.

Tylko czy to było możliwe?

Lady Florence nie wierzyła w zbiegi okoliczności, więc zganiła się w duchu za te wątpliwości.

To musiała być prawda.

Złożyła gazetę i gwałtownie wstała od stołu.

Szybko przemierzyła korytarze zamku Windsor. Tuż obok sali, której okna wychodziły na park, królowa kazała ustawić dziesięć białych metalowych stolików. Siedziały przy nich damy z towarzystwa, wszystkie były zaaferowane rozmową.

Lady Florence dygnieniem uprzedziła ich ukłony. Nie lubiła spotkań towarzyskich. Zdążyła już kiedyś przerazić te panie, opisując szczegółowo, jak powinno się patroszyć jelenia, aby nie popsuć mięsa.

Lady Florence nie przepadała za polowaniami, ale uważała, że jest to lepszy sposób na spędzanie wolnego czasu niż tkwienie przy stolikach i uczestnictwo w jałowych dyskusjach.

Poszukała wzrokiem kuzyna Edwarda. Wreszcie zauważyła go w parku. Ruszyła w jego kierunku. Suknię uniosła na wysokość kostek, aby iść szybciej.

Kuzyn właśnie rozmawiał z jakimiś dygnitarzami. Florence nie wahała się ani chwili, aby im przerwać. Kuzyn szybko przedstawił ją komendantowi, księciu i jakiemuś Francuzowi z zakręconym wąsem. A ona niemal natychmiast zapomniała ich nazwiska. I zanim ktokolwiek zdążył otworzyć usta, powiedziała bez ogródek:

- Muszę z tobą porozmawiać, Edwardzie. Na osobności, jeśli to tylko możliwe.

- Czy coś się stało? - zapytał ją kuzyn.

- Jeszcze nie - odpowiedziała.

Kuzyn, lekko zażenowany, pożegnał się ze swoimi gośćmi i poszedł z nią w głąb parku.

- Można wiedzieć, co się z tobą dzieje? - napadł na nią, kiedy wreszcie zostali sami. - Ten mężczyzna, którego nie raczyłaś zaszczycić ani jednym słowem, to był...

- Czytaj - przerwała mu.

Pokazała mu krótki artykuł w kolumnie poświęconej Indiom, na dole strony.

- Pirat szlachcic... - czytał Edward w rozrządzeniu. - Kliper o czarnym kadłubie... napada, ale nie zabija... Co to? Jeszcze jedna powieść tego Francuza?

- Przeczytaj, jak nazywa się ten pirat.

- Fry - odpowiedział Edward. - I co z tego?

Florence posuwała się szybko do przodu, jednak nie tak szybko jak myśli, które pojawiały się w jej głowie, i obrazy, które podsuwała wyobraźnia. Zastanawiała się, jakich słów powinna użyć, by pozostać jednocześnie wierną obietnicy danej doktorowi i nie zdradzić Korony.

- Wiem, że może to być pomyłka - zaczęła. - Ale ten pirat ma w sobie coś niezwykłego.

- Niezwykłe jest to, że interesujesz się tym piratem - odparł młodzieniec.

Lady Florence wzięła go za rękę.

- Posłuchaj mnie, Edwardzie... Co byś powiedział, gdybym ci wyznała, że ten człowiek może być naszym kuzynem?

Roześmiał się.

- Powiedziałbym ci, że oszalałaś. I że prawdopodobnie życie na dworze ci nie służy.

Lady Florence kiwnęła głową i mocniej ścisnęła mu palce.

-1...? - nalegała.

- I powiedziałbym, że powinnaś gdzieś wyjechać.

- Właśnie o to chciałam cię prosić - powiedziała lekko lady Florence. - Potrzebuję długich wakacji nad morzem.

-1 to wszystko? Dokąd chciałabyś pojechać? Do Włoch?

Pokręciła z wolna głową, a do kuzyna Edwarda powoli zaczął docierać sens jej prośby; coraz szerzej otwierał więc oczy ze zdziwienia.

Oboje trzymali gazetę w rękach.

- Musisz tylko wstawić się za mną u królowej Wiktorii! - mówiła lady Florence rozemocjonowana.

- Nawet o tym nie myśl! - wykrzyknął kuzyn. - To szaleństwo! Indie to nie jest odpowiednie miejsce dla takiej dziewczyny jak ty...

- A co według ciebie jest tam nieodpowiedniego dla takiej dziewczyny jak ja?! - zawołała oburzona

- Florence!

- Chcesz, żebym rozszarpała cię od razu czy potem, panie odważny?

Edward westchnął, szukał wzrokiem jakiejś ławeczki, a ponieważ jej nie znalazł, poddał się, mówiąc:

- Dobrze, kuzynko, szepnę słowo mamie. Ale zanim to zrobię, opowiedz o tym swoim piracie. Skąd w ogóle pomysł, że on jest naszym krewnym...

Kilka tygodni później Florence weszła na pokład statku w towarzystwie kuzynki i wypłynęła w daleką podróż. Pisała do Edwarda długie listy, w których opisywała wszystko, co widziała. Jednak żadnego z nich nie wysłała. Przechowywała je w pamiętniku, z dala od niepowołanych spojrzeń. Obydwoje wiedzieli, że każde nawiązanie, nawet bardzo odległe, do prawdziwego powodu tej podróży mogłoby się okazać... niebezpieczne.

Wszyscy sądzili, że chodziło o spontaniczną romantyczną podróż, a królowa Wiktoria zaakceptowała ten oryginalny, tak zgodny z charakterem Florence pomysł. Nikt niczego się nie domyślał.

Florence zdecydowała się na żaglowiec Becky Sharp, kliper, który handlował herbatą na Wschodzie. Kiedy dopłynęła do brzegów Indii, od razu zasięgnęła informacji o rodzinie Fryów, która przybyła do Indii jakieś pięćdziesiąt lat wcześniej.

Rozczarowanie gonilo rozczarowanie, aż do momentu, kiedy dotarła do Triwandrum. Tam zwiedziła to, co pozostało po Europejskim Medalowym Zakładzie Krawieckim, i odszukała kobiety, które znały May i małego Jamesa.

Zabrakło jej tchu.

Tego dnia napisała w swoim pamiętniku: Ta historia jest prawdziwa!

Odkryła, że chłopiec uciekł z domu w wieku trzynastu lat i że nigdy już tu nie wrócił. Zarówno May, jak i jej mąż, pan Lalchand, umarli, pozostawivszy zakład w rękach pomocnic.

Florence postanowiła szukać dalej. Zignorowała narzekania kuzynki i popłynęła aż za wyspę Cejlon.

Wciąż szukała informacji na temat pirata szlachcica. Odkryła, że stracił w walce prawą dłoń, że nazywano go Księciem Mórz, Bosym, Lewą Ręką Diabła, albo po prostu Dzieciakiem, ponieważ zaokrętował się jako bardzo młody chłopak. Krążyły plotki, że był

nieśmiertelny za sprawą jakiegoś bóstwa, które spotkał kiedyś w dżungli.

Lady Florence napisała do kuzyna, że za każdym razem, kiedy na wybrzeżu ginęło dziecko, myślano, że zaokrętoowało się na statek Jamesa Frya. Mówiono też, że porywał dzieci i wywoził je na tajemniczą wyspę. Żadne z nich nie wróciło.

Kiedy wypływała z Anglii, myśl o spotkaniu tego pirata wydawała jej się ekscytująca i wzruszająca. Teraz jednak była pod jego wielkim urokiem.

Kupiła dużo pereł i srebrnych płytek. Miała nadzieję, że w ten sposób ściągnie na siebie uwagę piratów.

Ale, ku jej wielkiemu rozczarowaniu, nikt na nią nie napadł.

Płynęła wciąż na wschód, chciała bowiem dotrzeć do Sarawaku. I dopłynęła tam trzy miesiące później.

Bratanek Jamesa Brooke'a potwierdził, że niejaki James Fry służył u jego wuja przed mniej więcej trzydziestu laty. Potem jednak się zbuntował, przejął statek, którym dowodził, ukradł wszystkie książki z biblioteki radży i przepadł jak kamień w wodę. -I nigdy go nie szukaliście? - zapytała lady Florence.

- Nigdy nas nie zaatakował bezpośrednio, więc uznaliśmy, że będzie lepiej zostawić go w spokoju - wytłumaczył jej nowy radża Sarawaku.

- I nie wiecie, czy jeszcze żyje i gdzie się ukrywa?

- Nikt tego nie wie, pani. Ale jeśli chce pani znać moje zdanie, uważam, że Gwiazda Zaranna zatoneła wiele lat temu.

Lady Florence nie podzielała jego zdania.

Minęło szesnaście miesięcy od momentu, gdy opuściła Londyn. Zapisała zasłyszane opowieści o Jamesie Fryu w pięciu zeszytach. Nie było tam jednak żadnych pewnych i potwierdzonych faktów. Czy to był na pewno ich kuzyn? Żył czy zginął?

A jeśli żył, to gdzie się ukrywał?

Drogi Edwardzie, sądzę, że nigdy go nie znajdę, napisała pewnego dnia. Prawdopodobnie szukam ducha.

Rozdział

Wraz z upływem czasu Florence się zmieniła: rękawiczki, kapelusiki i koronkowe suknie szyte według najnowszej europejskiej mody zastąpiła długimi kolorowymi sari, coraz chętniej też chodziła boso. Jej kuzynka protestowała, ale Florence nie zwracała na nią uwagi. W końcu zostawiła ją na lądzie.

- A tak właściwie... - zaproponowała jej Florence w Singapurze. - Dlaczego nie miałabyś wrócić do Anglii pierwszym parowcem?

Kuzynka przyjęła tę propozycję z prawdziwą ulgą. Straciła na wadze, dręczyły ją komary i nie mogła znieść wschodnich zwyczajów. Tęskniła za Anglią.

Florence powierzyła jej swoje zapieczętowne dzienniki i nakazała oddać je Edwardowi i tylko jemu. Na końcu pamiętnika przyznawała, że się pomyliła i że nigdy nie istniał żaden syn króla Jerzego, ich kuzyn James Fry. Był to tylko romantyczny wymysł. Pożegnała się z kuzynką, obiecując, że za miesiąc wróci do domu.

Kiedy jednak została sama, zdecydowała, że spróbuje jeszcze raz. A potem zapomni o piracie i o wszystkim, co go dotyczy.

Poszła na gwarny singapurski bazar i rozpuściła plotkę, że jest uczoną, pracującą dla British Museum w Londynie. Miała rzekomo kolekcję rękopisów o wielkiej wartości i szukała książek do kupienia.

- Oby ta wiadomość rozeszła się szybciej niż ostatnio... - wyraziła życzenie. Ale, oczywiście, nic się nie wydarzyło.

Pewnej bezksiężycowej nocy po upływie miesiąca, który sobie dała do powrotu, lady Florence usłyszała zamieszanie na pokładzie.

Leżała przebudzona i podekscytowana.

Kiedy rozległy się desperackie krzyki, serce podskoczyło jej do gardła:

- Do broni! Do broni! Piraci!

Wybiegła na pokład Becky Sharp. Na jej twarzy gościł szczególny uśmiech.

Zaatakował, choć nikt tego nie zauważył. Kiedy lady Florence zobaczyła Gwiazdę Zaranną, zrozumiała, skąd brały się wszystkie opowieści. Była zupełnie czarna.

Miała czarny kadłub i czarne żagle.

W tak ciemną noc była zupełnie niewidoczna.

Jakiś głos niósł się po wodzie:

- Poddajcie się, a nie stanie się wam nic złego!

Lady Florence zbliżyła się do kapitana Becky Sharp i nakazała mu ruchem dłoni, aby się poddał.

- Pani... - wyszeptał kapitan. - To może być niebezpieczne!

- A co innego chce pan robić? Walczyć? - zadrwiła dziewczyna.

Gwiazda Zaranna obróciła się i ustawiła prawą burtą w pozycji strzeleckiej. W przypadku najmniejszego oporu nie wahałaby się zasypać ich pokładu gradem kul.

Kapitan był przerażony atakiem i nie mógł podjąć żadnej rozsądnej decyzji.

Lady Florence wyrwała mu tubę z rąk i krzyknęła:

- Poddajemy się! Co mamy robić?

- Rzućcie broń pod główny maszt! - odpowiedział głos z morza.

- Proszę wydać odpowiedni rozkaz swoim ludziom - wyszeptała Florence do kapitana.

Ale rozkaz wydała ona, bo kapitan nie był w stanie wykrztusić słowa.

- Już! Jesteśmy rozbrojeni! - krzyknęła przez tubę.

Powietrze wypełniło się świstami i w jednej chwili dziesiątki harpunów spadły na pokład.

Florence zabrakło tchu, kiedy dwa statki, połączone pajęczyną lin, zbliżały się do siebie.

Zderzyły się delikatnie. Potem nagle pojawili się na ich pokładzie pierwsi piraci.

Byli to wytatuowani mężczyźni o ciemnej, spalonej słońcem skórze. W dłoniach mieli bułaty o ostrzach jak brzytwy i pistolety.

Florence przyglądała im się w napięciu. Jej romantyczna wizja piractwa nagle gdzieś znikła. Ci mężczyźni budzili w niej obrzydzenie i śmierdzieli na trzydzieści stóp!

Który z nich był Jamesem?

Spojrzała za burtę. Czarna jak smoła Gwiazda Zaranna kołysała się na falach. Ani pochodni, ani rac. Żadnej bandery na głównym maszcie.

Piraci zaczęli wiązać załogę Becky Sharp, posłuszni rozkazom olbrzymiego mężczyzny.

Drugi mężczyzna podszedł do niej.

- Myślałem, że mam omamy, a jednak nie... - wykrzyknął. - To naprawdę był głos dziewczyny...

Kapitan starał się stanąć między nimi i obronić Florence, ale ona odsunęła go ruchem ręki.

- Jestem lady Florence Traveyan, tak się właściwie nazywam... - odpowiedziała z sercem bijącym ze strachu.

Czy to mógł być on?

Był w tym samym wieku, miał europejską twarz, zakrzywiony nos, głębokie zmarszczki. I piękny uśmiech.

- Nazywam się Salvo, milady. Z imienia i w rzeczy samej. Czy do pani należy ten statek?

„Nie - pomyślała Florence - to nie James. Ten mężczyzna jest Włochem”.

- Tak, to mój statek - odpowiedziała.

- Czy mogę spytać, co pani tu robi, na tych dzikich morzach?

- Jestem... na wakacjach.

Salvo wyczuł ironię w jej głosie i lekko się uklonił, zanim odparł:

- Jeśli mogę dać pani radę co do następnych wakacji, proszę poszukać bezpieczniejszego miejsca, jak Sycylia na przykład. Wspaniały klimat, świetne jedzenie i, przede wszystkim, żadnych piratów, którzy atakują nocą...

- A jeśli to właśnie jest powód, dla którego przyplłynęłam aż tutaj?

- Okropny klimat, obrzydliwe jedzenie czy zamiłowanie do piractwa?

- O czym mówicie?

Za plecami Sycylijczyka nastąpiła dziwna cisza. Florence wysunęła głowę, aby sprawdzić, co się stało.

Jakiś mężczyzna przeskoczył przez burtę i obojętnie szedł

Był bosy.

Włosy miał rozwichrzone, wilgotne i kręcone. Oczy mu błyszczały.

Nie miał żadnej broni. A w miejscu prawej dłoni tkwił zakrzywiony hak.

Serce Florence zabiło mocniej.

„To on” - pomyślała. „Znalazłam go”.

Mężczyzna zbliżył się, zachowując ten sam obojętny wyraz twarzy. Przyjrzał się kapitanowi statku, spojrzął na Salva i wreszcie jego wzrok spoczął na dziewczynie.

Była bardzo młoda i bardzo piękna. Dziewczyna z Europy ubrana według hinduskiej mody.

Chodziła bez butów.

Mógłby się do niej uśmiechnąć.

Ale zamierzał ją okraść.

- Witam panią - zaczął. - I proszę wybaczyć tę napaść. Poinformowano mnie, że ten statek przewozi cenny ładunek, ale widzę, że rzeczywistość przerosła moje najśmielsze oczekiwania.

Lady Florence była zmieszana i prawdopodobnie po raz pierwszy w życiu nie wiedziała, co odpowiedzieć. wśród załogi. i

Za plecami Sycylijczyka nastąpiła dziwna cisza. Florence wysunęła głowę, aby sprawdzić, co się stało.

Jakiś mężczyzna przeskoczył przez burtę i obojętnie szedł

Był bosy.

Włosy miał rozwichrzony, wilgotny i kręcony. Oczy mu błyszczały.

Nie miał żadnej broni. A w miejscu prawej dłoni tkwił zakrzywiony hak.

Serce Florence zabiło mocniej. „To on” - pomyślała. „Znalazłam go”. twarzy. Przyjrzał się kapitanowi statku, spojrzął na Salva i wreszcie jego wzrok spoczął na dziewczynie.

Była bardzo młoda i bardzo piękna. Dziewczyna z Europy ubrana według hinduskiej mody.

Chodziła bez butów.

Mógłby się do niej uśmiechnąć.

Ale zamierzał ją okraść.

- Witam panią - zaczął. - I proszę wybaczyć tę napaść. Poinformowano mnie, że ten statek przewozi cenny ładunek, ale widzę, że rzeczywistość przerosła moje najśmielsze oczekiwania.

Lady Florence była zmieszana i prawdopodobnie po raz pierwszy w życiu nie wiedziała, co odpowiedzieć. wśród załogi.

Mężczyzna zbliżył się, zachowując ten sam obojętny wyraz

Ten mężczyzna miał niski i głęboki głos. Onieśmielona patrzyła na ogorzałą od słońca i wiatru twarz. Jego wielkie błękitne oczy były czujne i uważne, ale życzliwe.

- To pani pracuje dla muzeum? - zapytał.

Florence przełknęła ślinę, zbity z tropu. A zatem jej plan się powiódł!

- Och, tak. Oczywiście. Dla British Museum - skłamała, starając się dodać sobie powagi.

- I szukacie wypreparowanych zwierząt?

To pytanie zbiło dziewczynę z tropu.

- Wypreparowanych... zwierząt? - powtórzyła zaskoczona.

- Kiedyś miałem przyjaciela, który pracował dla muzeum - wyjaśnił bardzo spokojnie pirat. Przesunął lewą ręką po burcie. - Nazywał się Neville. Wright Neville. Był przyrodnikiem, który zappełnił luki naszego statku spreparowanymi zwierzętami... Mówił, że

były przeznaczone dla muzeum londyńskiego. Pani także dla nich pracuje?

Florence kiwnęła głową, a potem wreszcie zebrała się na odwagę i powiedziała:

- Mówi pan o nim tak, jakby nie był już pańskim przyjacielem.

Mężczyzna podniósł wzrok, zdziwiony. Nie spodziewał się takiego komentarza.

- Zginął dawno temu - odpowiedział. I dodał: - Pożarły go krokodyle.

- Przykro mi - odparła Florence.

- Jak może być pani przykro? - zachnął się. - Nawet pani nie wie, o kim mówię.

- Był pańskim przyjacielem. Przykro mi z pańskiego powodu.

- Z mojego powodu? Och! - mężczyzna wydał z siebie gardłowy odgłos. - Proszę nie tracić czasu na żal z mojego powodu, pani. Jestem piratem, nikomu nie może być przykro z mojego powodu. Poza tym... właśnie napadłem na pani statek!

- Ja wiem, że nie jest pan piratem - powiedziała bardzo cicho Florence.

- Jestem zainteresowany książkami, które pani rzekomo przewozi... - ciągnął mężczyzna, ale szybko przerwał. - Co pani powiedziała?

- Powiedziałam, że nie jest pan piratem.

Florence podniosła oczy. I dostrzegła w jego spojrzeniu jakiś rodzaj niezdecydowania.

- Pan także o tym wie.

Na ustach Jamesa pojawił się cień uśmiechu i przez chwilę miał wyraz twarzy dziecka.

- A mogę wiedzieć, skąd pani o tym wie?

- Ponieważ sądzę, że jestem pana kuzynką, panie Fry.

- Moją kuzynką? Och! - James znów wydał z siebie podobny dźwięk. Potem poszukał wzrokiem Salva. Potrzebował pomocy.

Sycylińczyk wzruszył ramionami i zagwizdał melodię, której słowa brzmiały tak:

Kobiety i morze wpędzają mężczyznę w kłopoty...

- Nie oszukuję pana, panie Fry! - pośpiesznie dodała lady Florence.

- Właśnie przejąłem kontrolę nad pani statkiem. Nie mogłaby pani mnie oszukiwać.

Pełna obaw podeszła do niego. Zrobiła gest, jakby chciała wziąć go za rękę.

- Proszę mi pozwolić zadać panu jedno pytanie. Potem wszystko panu wytłumaczę.

- Proszę pytać.

- To bardzo osobiste pytanie.

- Salvo jest dla mnie jak brat - uciął sucho James. Sycylińczyk jednak znikł już wcześniej i zabrał ze sobą kapitana Becky Sharp.

Lady Florence chwyciła wisiołek, który nosiła na szyi, i ukryła go w dłoni.

- Moje pytanie jest dość proste, panie Fry. Pan albo pana matka May...

James zeszczywniał, kiedy usłyszał to imię, ale Florence ciągnęła dalej.

- Posiadaliście bądź wciąż posiadacie... złoty zegar, do którego brakuje klucza?

James zrobił krok w tył. Próbował odzyskać równowagę.

- Kim pani jest? - zapytał ją cicho. - I skąd pani wie o zegarze?

- Czy jest pan w jego posiadaniu? - nalegała Florence. - Czy kiedykolwiek był pan w jego posiadaniu?

- Tak, wciąż go mam, jeśli o to pani chodzi...

Szybkim ruchem lewej dłoni wyciągnął z kieszeni tourbillon, którego wskazówki zatrzymały się na godzinie trzeciej pięćdziesiąt dwie.

Lady Florence uśmiechnęła się, a w jej oczach pojawiły się łzy. Nagle poczuła się bardzo zmęczona - osunęła się na pokład, bez sił.

Nigdy jednak nie była równie szczęśliwa.

- A zatem naprawdę pan istnieje... - wyszeptwała, a łzy spływały jej po policzkach. - Doktor powiedział prawdę! Mówiono, że jestem szalona. A jednak... pan żyje!

James nie mógł wymówić ani słowa. Ukląkł obok niej. Nie zwracał uwagi na to, że załogi obydwu statków wpatrywały się w nich jak publiczność w teatrze. Nie wiedzieli tylko, czy i kiedy bić brawo.

- O czym pani mówi? Kim jest ten doktor? Dlaczego pani płacze?

Chwycił ją za rękę, by pomóc jej się podnieść, ale Florence nie chciała wstać. Siedząc, czuła się silniejsza.

- Płacę, ponieważ doktor, który pana przyjmował na świat, powiedział mi prawdę. I dlatego, że jest pan naprawdę synem króla Anglii Jerzego.

Chwyciła go za rękę i zanim ją cofnęła, wcisnęła mu coś w dłoń.

- Pan ma zegar króla, kuzynie... a ja kluczyk, aby go nakręcić - wyszeptwała.

I wtedy pokazała mu mały złoty kluczyk, który dla niego przechowała.

Rozdział

Co według was powinienem zrobić? - zapytał James trzech stojących przed nim mężczyzn. - Przecież to rodzina! Znajdowali się w kajucie Gwiazdy Zarannej. James siedział przy pokrytym kartami stole, Salvo i Ciro w swych fotelach z kieliszkami sherry w ręku, a Junior stał, opierając się o drzwi.

- Od razu po nas... - poprawił go Ciro.

Salvo przekładał kieliszek z ręki do ręki.

- Szlachta... No, nigdy jej nie lubiłem.

- Ja też nie - przyznał James.

- Tylko że cię znaleźli... - powiedział Junior.

- A jeśli o to chodzi... - odpowiedział James - w zeszłym miesiącu lady Florence wysłała parowcem płynącym do Londynu plik listów, w których tłumaczy, że historia kuzyna pirata jest nieprawdziwa.

- A zatem mógłbyś udawać, że nic się nie stało, i zniknąć z ich życia - powiedział Salvo. Ale czuł, że prawda jest inna.

James miał wątpliwości.

Przyjaciel starał się posumować fakty:

- Jedynym dowodem na twoje pokrewieństwo z rodziną królewską jest zegar i to, co twoja matka opowiedziała panu Lalchandowi... oraz historia doktora, który był przy twoim urodzeniu.

- Własne - odpowiedział James.

- A ile on ma lat, ten doktor?

- Prawie osiemdziesiąt.

- Więc albo z nim porozmawiasz teraz albo nigdy - stwierdził Ciro.

- To samo powiedziała mi lady Florence, to znaczy... moja kuzynka... - James w zamyśleniu potrząsnął głową, jakby nie mógł w to uwierzyć.

Chodził po pokoju w tę i z powrotem.

- Oczywiście, to byłaby wspaniała kariera... - dodał Ciro. - Pomocnik w kambuzie królem Anglii.

- Czy możemy choć raz porozmawiać poważnie? - wykrzyknął James. - Korona Anglii mnie nie interesuje. Chcę tylko... dowiedzieć, się... - James urwał. Wyprostował ramiona i wyciągnął je przed siebie. - Kim jestem.

Salvo postawił pusty kieliszek tuż obok butelki.

- W takim razie posłuchaj mnie uważnie: kiedy odpłynął ten parowiec?

- Miesiąc temu.

- Którędy płynie?

- Przez Kanał Sueski. A zatem będzie w Londynie za jakieś dwa miesiące.

- A gdybyśmy wypłynęli od razu, ile czasu zabrałaby nam podróż?

- Nie możemy przepłynąć przez Kanał Sueski żaglowcem. Nie mamy wyjścia, musimy opłynąć Afrykę.

Afryka. To słowo zelektryzowało wszystkich.

- Kurier marynarki angielskiej płynie z Londynu do Szanghaju osiemdziesiąt dni - przypomniał sucho Junior.

- A zatem mamy już odpowiedź - wtrącił tym razem poważnie Ciro. - Nie ma mowy, żeby dopłynąć przed nim...

James powoli kiwał głową.

- Chociaż, w sumie... - ciągnął Ciro zamyślony - twój doktor ma osiemdziesiąt lat, ja mam pewnie dziesięć lat mniej. I czuję je wszystkie. Za każdym razem, gdy mam przesunąć beczkę, złorzeczę. A Salvo, Truman i Junior też już nie są młodzikami...

- Chcesz, żebym dał sobie spokój, Ciro? - zapytał go James, odczekawszy kilka chwil.

- Mówię tylko, że to jedna z możliwości. Ale... - stary kucharz zakaszał - jeśli zdecydujesz się popłynąć do Anglii, by poznać swoją rodzinę, może mógłbyś mnie podrzucić do domu. Znów zobaczyłbym drzewa cytrynowe i... sam nie wiem. Śmierć w miejscu, w którym się przyszło na świat, to dobry sposób, aby powiedzieć temu na górze: „Dziękuję za wszystko. Wszystko poszło dobrze”.

James przeniósł pytający wzrok na Salva.

- Syrakuzy nie są po drodze, ale może znów nie leżą tak daleko od Gibraltaru... - powiedział Sycylijczyk. - I może Truman mógłby odwiedzić swoją wioskę.

James miał coraz większy zamęt w głowie. Czuł, że jest mu lżej i ciężiej jednocześnie.

- Nie wiem. Sam nie wiem - cedził słowa. - Co może mi się stać w Londynie?

- Na przykład mogą próbować cię zabić - rzucił Junior.

- Pomyślałem o tym samym - odparł James, nagle podnosząc głowę.

- No, co najwyżej mogą próbować... - powiedział Salvo. - Nie tak łatwo wysłać cię na tamten świat, James.

- Osiemdziesiąt dni - szeptał James, patrząc na mapy. - Mówiłeś, że ich najszybszy statek dopływa tam w osiemdziesiąt dni...

Trzech przyjaciół patrzyło na siebie z niepokojem.

- Nie lubię, kiedy mówisz tym tonem, James - powiedział w imieniu wszystkich Salvo. - O czymś myślisz...

- Och, nie - zaprzeczył James. - Nic takiego.

Zdobył się na uśmiech. To ich uspokoiło, a ponieważ było już późno, wypili po jeszcze jednym kieliszku sherry i pożegnali się. Powiedział im, że przemyśli to wszystko, o czym rozmawiali, i że rano poinformuje ich o swojej decyzji.

O świcie, po zmianie warty na pokładzie, James stanął za sterem Gwiazdy Zarannej.

Nie spał w nocy i długo przeglądał dzienniki ze swoimi zapiskami. Coś liczył, rysował linie na mapach, a potem je zmazywał i zaczynał wszystko od początku. Po godzinach żmudnej pracy, gdy skończył już obliczenia, wspiął się na szczyt głównego masztu i pozostał tam - sam na sam z niebem i oceanem - do momentu, aż zaczęło się rozjaśniać.

Po porannej pobudce ogłosił, że ma coś do powiedzenia załodze.

Becky Sharp znajdowała się kilkadziesiąt łokci od nich. Kapitan statku nie spał, podobnie jak James, czekając na to, co przyniesie los. Spuścili szalupy na wodę i lady Florence została przewieziona na Gwiazdę Zaranną.

Pięćdziesięciu ludzi w milczeniu ustawiło się naprzeciwko steru. Lady Florence stanęła z boku, obok Salva.

James czekał cierpliwie, aż wszyscy wejdą na pokład. Wciągnął głęboko powietrze, przez chwilę patrzył przed siebie, jakby szukał natchnienia, w końcu zaczął mówić:

- Przez wiele lat podróżowaliśmy razem... Przepłynęliśmy wiele mórz. Postarzeliliśmy się na tym statku, a on postarzał się wraz z nami. Myślę, że zasłużyliśmy na odpoczynek. Powinniśmy jeszcze zdążyć nacieszyć się życiem, które jest nam pisane.

Dał się słyszeć pomruk aprobaty z ust najstarszych marynarzy.

- Gdybyśmy chcieli żyć tak jak inni, może dziś nasz wybór byłby inny. Jesteśmy już starzy i zmęczeni. Ale wciąż niepokonani. I chcemy być lepsi.

Teraz młodszy marynarze zaczęli szeptać.

- Zeszłej nocy moja przeszłość upomniała się o mnie. Chce, żebym odbył długą podróż na zachód - do Anglii, kraju, gdzie się urodziłem. Nigdy żaden z nas tam nie dopłynął. Właściwie dla nas Anglia mogłaby nie istnieć, ale istnieje i rządzi nami. Znamy ją z opowiadań innych marynarzy. Czytaliśmy o niej w książkach i wiemy, że znajduje się tam...

James wskazał na zachód.

- Chcę wam powiedzieć, że... jeśli wypłyniemy teraz, z pierwszym wiatrem, dopłyniemy tam w pięćdziesiąt dni.

Rozległy się pełne zdziwienia szepty.

Salvo zrobił krok do przodu, jakby chciał zaprotestować.

- Pięćdziesiąt dni, jeden dzień za każdy rok, kiedy nie było mnie tam! - mówił znów James. - Pięćdziesiąt dni to mało i dużo zarazem. Żaden statek nigdy nie przepłynął tej odległości tak szybko. Ale żaden statek nie może się równać z Gwiazdą Zaranną. I żaden statek nie ma takiej załogi. Może nam się nie udać. Możemy natrafić na sztorm, który porwie nam żagle, lub zostać uwięzieni w wirach Przylądka Dobrej Nadziei. To może być ostatnie pięćdziesiąt dni, które spędzimy razem. Wiem! Wiem! Ale wiem także, że może nam się udać.

Marynarze kręcili głowami. Co to za wyprawa? I z jakiego powodu mieli płynąć tak szybko?

- Wiem, że większość z was przyszła na świat tutaj, na tym wybrzeżu: w Indiach, w Malezji, na Borneo albo w Indonezji. Ja sam też znam tylko ten zakątek świata... - wskazał na otwarte morze - a nie znam tamtego. Zatem was rozumiem. Jeśli chcecie, zostańcie tutaj i zejście na ląd. Jesteście wolni. Idźcie w pokój. Każdy dostanie to, co mu się należy, i będę wam dożgonnie wdzięczny.

Zrobił długą pauzę.

- Ja wypłynę, nawet jeśli miałbym zostać sam na pokładzie. Dotrę cały i zdrowy do portu w Londynie, zobaczą inne okręty, żaglowce i parostatki. Ale będę wiedział, że mój statek jest najszybszy. Zobaczą miasto, skąd pochodzi bandera, która przez wiele lat powiewała na naszych masztach, i powiem mu: przybyła Gwiazda Zaranna. Wraz z załogą. Nie chcę płynąć z tymi, którzy czują się zbyt starzy i uważają, że nie dadzą rady. Nie chcę płynąć z tymi, którzy nie mają ochoty ścigać się z czasem. Powiem wam jedno: opłyniemy świat w pięćdziesiąt dni. A kiedy tamtejsi marynarze dowiedzą się o naszym wyczynie, wyskoczą szybko z ciepłych łóżek i przybiegną do portu. Będą podziwiać nasz statek i załogę, która tego dokonała. Pięćdziesiąt dni. Mamy świadka, kapitana Becky Sharp! Wypłyniemy, nie zwlekając, z pierwszym wiatrem, a wszyscy na zawsze zapamiętają najszybszy statek na świecie!

James uniósł obie ręce, a potem nagle je opuścił, jakby stały się niewyobrażalnie ciężkie. Budzący się wiatr zatrzepotał we wciąż zwiniętych żaglach.

Kapitan uściskał wszystkich swoich ludzi i dodał na zakończenie:

- Przygotowałem dla was złoto i szalupy, możecie przejść na Becky Sharp. Ale kiedy wyruszymy, nikt nie będzie mógł zejść na ląd... -I tu James poszukał wzrokiem Salva i Cira. - A zatem decydujcie, decydujcie teraz: na prawą burtę ci, którzy chcą zejść na szlupy, na lewą

ci, którzy chcą wziąć udział w ostatnim rejsie Gwiazdy Zarannej. Taka jest moja decyzja!

Salvo jako pierwszy przeszedł na lewą burtę, mówiąc: - Jestem z tobą, James.

- Wariat... - wyszeptał Ciro i poszedł w jego ślady. - Ja z wami!

- Opłynąć Afrykę w pięćdziesiąt dni, to szaleństwo! - powiedział Truman.

I zrobił krok naprzód, w kierunku lewej burty.

- A ja chcę zobaczyć Anglię! - powiedział Junior, przechodząc na lewą stronę.

Jeden po drugim, każdy z marynarzy zrobił krok do przodu.

Nikt nie chciał stanąć po prawej stronie.

Nikt nie opuścił statku.

Wiatr wydał żagle rufowe.

James wolno kiwał głową.

A lady Florence, patrząc na niego z ukrycia, mogłaby przyrzec, że tego dnia, i tylko tego dnia, jego oczy były pełne łez.

Londyn był szary.

Szare było także londyńskie niebo. O świcie pięćdziesiątego pierwszego dnia Gwiazda Zaranna płynęła powoli, pod prąd, przez mętną wodę doków na Tamizie.

Nikt na nich nie czekał. Nikt nie wiedział, kim są. Marynarze o ciemnej, pokąsanej chłodem skórze i wytatuowanych twarzach - Murzyni, Malezyjczycy, Hindusi - poprzyklepiani do drabinek patrzyli na miasto, na kominy, na niskie chmury, na łyse wzgórza, na ceglane domy i na błotniste drogi.

Postawili znak zapytania przy wszystkim, co dotąd wiadomo o morskich podróżach. Pobili wszystkie dotychczasowe rekordy szybkości... Opłynęli Indie, Półwysep Arabski, Madagaskar, Przylądek Dobrej Nadziei, zachodnie wybrzeże Afryki, Azory, Gibraltar, Hiszpanię, Bretanię, przepłynęli kanał La Manche i wreszcie... Tamizę.

Wyprzedzili parostatek, który płynął do Anglii przez Kanał Sueski i Morze Śródziemne.

Wpłynęli do portu pod pełnymi żaglami pod obojętnym wzrokiem innych marynarzy.

Urządzili sobie krótką ucztę i spuścili szalupy.

- Teraz doskonale rozumiem, że nie tęskniła pani za tym miastem... - James zwierzył się lady Florence, patrząc na ceglane baraki i domki.

- Jest pan rozczarowany?

- Jeszcze nie wyrobiłem sobie opinii - odpowiedział kapitan. - Ale czekałem na wieże i złote pałace, a tu widzę dym i błoto.

- Musimy się zaanonsować - wyszeptała lady Florence.

- Zastanawiam się tylko, czy to był dobry pomysł, aby tu przyplłynąć - odpowiedział jej James.

- To był dobry pomysł, proszę mi wierzyć. I była to najwspanialsza podróż w całym moim życiu.

James uśmiechnął się, a lady Trevelyan ocknęła się z zamyślenia. Wskazała szalupę i powiedziała:

- Muszę iść.

James kiwnął głową.

- Chce pani, abym...

Zaprzeczyła ruchem ręki, a potem dodała wyjaśniająco:

- Jeszcze nie. Powiadomię Edwarda i przekażę panu instrukcje. Wkrótce wrócę, proszę się nie niepokoić. I proszę nie opuszczać statku.

James nie miał na to najmniejszej ochoty. Był przybity i rozczarowany.

Lady Trevelyan zeszła na ląd i zniknęła w jakiejś karcie.

James jeszcze przez chwilę obserwował życie portowe, a potem dał wolne swoim ludziom i zamknął się w swojej kajucie. Przez pięćdziesiąt dni ścigał się z diabłem, aby zdążyć przed parostatkami i dowieść swojego istnienia. A teraz sam sobie zadawał pytanie, czy ten wyścig miał sens.

I czy było to coś więcej niż tylko okrutna zabawa kosztem własnych ludzi.

Dziecięca zabawa.

Na co liczył?

Na pocieszenie przeglądał swoje dzienniki. Były to dziesiątki zeszytów, w których przez lata zapisywał własne przygody. Znalazły się w nich szczegóły dotyczące obranych kursów, opisy ciekawych wypraw i spotkań, nazwiska zabitych i rannych w morskich potyczkach, abordaże, odkrycia, sukcesy i porażki.

Myśli.

To było całe jego życie. Dzień po dniu.

Odłożył dzienniki na miejsce, do dwóch wielkich skrzyń z hinduskim wzorem, noszących ślady opieczutowania smołą. Były tak zabezpieczone na wypadek zatopienia statku. „Wspomnienie po dawnych czasach” - pomyślał.

Wieczorem otrzymał list od Florence.

Kuzynka potwierdzała, że parowiec, a wraz z nim jej pamiętniki, nie dotarł jeszcze do Londynu. Wyznaczała mu spotkanie następnego dnia rano pod wskazanym adresem.

Proszę, Żeby pan był sam...

Na zakończenie listu dziewczyna pisała tak:

Nasz kuzyn Edward nalegał, abyśmy zachowali ostrożność, i dla' tego nasze spotkanie odbędzie się w tajemnicy. Oddana panu całym sercem Florence.

James przeczytał list dwukrotnie. Potem wyszedł na pokład. Panowała tam zupełna ciemność.

- Przyszedłeś pomyśleć? - zapytał go Truman, który nie chciał zejść na ląd.

- Tak - przyznał James.

- Złe jest powietrze w tym mieście - skomentował Afrykańczyk, spluwając do rzeki. - Mam nadzieję, że odpłyniemy stąd najszybciej, jak to tylko możliwe, kapitanie.

James poklepał go po ramieniu, a potem wspiął się na główny maszt. Nie rozglądał się. Dopiero kiedy się znalazł na szczycie, objął wzrokiem stolicę imperium.

Zaskoczyła go ilość znajdujących się w niej świateł. Świetliste kule latarni wyznaczały plan ulic i kształt placów. Były tam też mosty i karety, budynki ozdobione festonami i zakończone spiczastymi iglicami. Nad miastem unosiły się dymy i błyski. Zewsząd dochodził hałas kół. Wydawało się, że każde jest częścią wielkiego mechanizmu. Słysząc też było dzwony ponuro bijące w ciemności niczym kowalski młot.

Londyn był maszyną. Maszyną parową i gazową. Świecił się i podróżował na kołach.

Mógł się tego spodziewać.

Wyciągnął swój zegar. Po raz pierwszy włożył do niego złoty kluczyk. Nakręcił go delikatnie.

Po pięćdziesięciu latach i pięćdziesięciu pięciu dniach wskazówki zegara znów zostały wprawione w ruch.

I James zadał sobie pytanie, czy to, co zrobił, było dobre czy nie.

Rozdział

Założył jedyną parę butów, jaką miał. Zrobił kilka kroków - Anglia cuchnęła dymem i garbarniami. James pomyślał, że May dobrze zrobiła, uciekając z Londynu.

Ukrył hak po płaszczem i ruszył w poszukiwaniu karety. Kilka stało na placyku nieopodal. Na bruku leżały resztki warzyw i owoców. Dziś odbywał się tam targ. Przeskoczył nad nimi. Obudził woźnicę. Podał mu adres, gdzie miało się odbyć sekretne spotkanie. Wolałby podróżować na świeżym powietrzu, na koźle, jednak ławeczka woźnicy była zbyt wąska dla dwóch osób. I na pewno nie było takiego zwyczaju w tym mieście. Wsiadł do powozu, zamknął za sobą drzwiczki, rozparł się na miękkich poduszkach i uderzył w dach. Był to znak, że mogą ruszać.

Karoca podskakiwała na bruku; osie skrzypiały przy każdym zakręcie. James przez okienko obserwował drogę. Chciał zapamiętać, którędy jechali. Ulice były podobne do tych, które widział w biednych dzielnicach indyjskich miastach. Snuli się tam obwiesie i żebracy, błąkały zaniedbane dzieci. Baraki rozpadały się.

Wokół unosił się charakterystyczny zapach nędzy i rozkładu. zaskrzypiały groźnie. Chwilę potem zszedł na ląd.

Znów ogarnęło go zwątpienie. Rzucił się na poduszki i sprawdził na zegarze swojego ojca godzinę. A kiedy ponownie spojrzął przez okno, zauważył, że w krajobrazie zaszła zmiana. Mijali teraz szerokie zadrzewione aleje i wysokie kamienice, piękne portyki i naszpikowaną wieżami katedrę. Tak jak w innych miastach na świecie świątynia promieniowała nieomal namacalną duchowością.

Oprócz kilku bezdomnych psów nie zauważył innych wolnych zwierząt na ulicach Londynu. Ani złotych domów. Nie było wodospadów ani procesji. Były tam natomiast tłumy kobiet i mężczyzn, pochłoniętych swoimi sprawami.

Końskie kopyta głucho stukały po kamiennym bruku. Woźnica zwolnił, wreszcie zatrzymał konie. James wysiadł na ciemnym podwórku, otoczonym czterema wysokimi fasadami. Zapłacił woźnicy złotego funta i odszedł, nie czekając na resztę.

Dopiero kiedy zobaczył lady Florence, uspokoił się. Ruszył w ślad za nią pod arkady.

Florence szła wąskimi schodami, ściany klatki schodowej były białe.

- Dokąd idziemy?

- W pewne miejsce - odpowiedziała. - Tak jak ci napisałam, jeszcze nie mogę zabrać cię do Windsoru.

- Windsoru?

- Tam mieszka królowa.

Wchodzili w ciszy, zapukali do drzwi i otworzyli je bardzo powoli.

Znaleźli się w pokoju niemal pozbawionym mebli. Czeka! tam na nich mężczyzna.

- To nasz kuzyn, Edward, książę Walii - przedstawiła go lady Florence, kłaniając się lekko. - James Fry, pirat z Indii, a także nieznany syn króla Jerzego IV...

Edward uśmiechnął się lekko i stuknął obcasami.

- Uważajmy z tytułami...

James wyswobodził się z płaszcza.

- Jest pan zadziwiającym człowiekiem, panie Fry - powiedział książę Edward.

Uścisnęli sobie lewe dłonie. Dłoń Edwarda była spocona.

„Jest przerażony?” - pomyślał James i rozejrzał się podejrzliwie.

- Czy doprawdy opłynął pan Afrykę w pięćdziesiąt dni?

- Pięćdziesiąt jeden - poprawił go James, nie przestając się rozglądać.

Książę Edward uśmiechnął się do lady Florence.

- I jest pan naprawdę... piratem?

- Właściwie nie odbiega to od prawdy.

- No i co, nie mówiłam? - wtrąciła się Florence.

- Pirat! - ucieszył się książę Edward. - Proszę mi wybaczyć to przyjęcie. Ale... to tymczasowa sytuacja. Nie możemy, niestety, usiąść, ale możemy spokojnie porozmawiać.

„Coś jest za tymi drzwiami?” - pomyślał James, zauważywszy, że od czasu do czasu książę spoglądał w ich stronę.

- A zatem pan naprawdę istnieje... - ciągnął Edward. - Nawet jeśli dotąd nie mogę zrozumieć, jak Florence udało się pana znaleźć...

- To ja znalazłem ją - odpowiedział James, nie wiedząc, czego ma się spodziewać po tej rozmowie.

Kiedy się patrzyło na dwóch mężczyzn, James sprawiał wrażenie młodszego od księcia, choć był dwukrotnie starszy. Książę był niemrawy zarówno w ruchach, jak i w sposobie wysławiania się.

- Doprawdy to dla nas wielka niespodzianka... że mamy kuzyna, o którego istnieniu nie mieliśmy pojęcia... - Książę nerwowo wodził palcem po kołnierzyku munduru. - Ale czy pan był świadomy, kto jest pana ojcem?

James potrząsnął głową.

- Wiedziałem jedynie, że był Anglikiem. Dorastałem u boku mamy na ziemiach, które

wy nazywacie koloniami. Triwandrum, wie pan, gdzie się znajduje to miasto?

- Obawiam się, że będę musiał pana rozczarować - przyznał Edward.

- Z matką mieszkałem do trzynastego roku życia... - streszczał pośpiesznie swe życie James. - Potem zaokrętowałem się. Po śmierci mojej matki dostałem zegar owinięty w chusteczkę.

- Czy zabrał go pan ze sobą? - zapytał trochę zbyt szybko Edward.

- Niestety, nie - skłamał James.

Lady Florence objęła kuzyna ramieniem.

- Edwardzie, zegar i chusteczka potwierdzają jego pochodzenie - wytłumaczyła lady Florence, obdarzając obydwu mężczyzn uśmiechem. - Co więcej, James opisał wszystkie swoje przygody w pamiętnikach.

- Bardzo interesujące... - powiedział Edward, przyglądając się Jamesowi uważnie. - I nigdy nie próbował pan nawiązać kontaktów z Anglią?

- Nawiązać kontaktów... w jakim celu? - zapytał James z sarkazmem w głosie.

- Rozumiem - powiedział książę Edward, chodząc po pokoju. - Ale jest pan przecież piratem. Ten zegar mógł się znaleźć w pana posiadaniu w inny sposób.

- Właśnie - wyszeptał James. Rozumiał, że Edward nie powiedział tego zdania przypadkowo. Miał w zanadru argument przeciwko słowom Florence.

- Edwardzie, mówiłam ci, że to był spisek... - wtrąciła się Florence. - Spisek wymierzony przeciwko królowi, mający zagwarantować sukcesję księciu Wilhelmowi.

- Waż słowa, kuzynko... - odparł sucho Edward. - W kwestiach sukcesji obowiązują pewne zasady. Nie wystarczy się... urodzić. Z całym szacunkiem, panie Fry.

James pojął, że Edward wcale nie był zadowolony z jego przyjazdu do tego miasta. A nawet w jakiś sposób się go bał, choć starał się udawać spokój.

James zdecydował, że lepiej będzie odkryć karty.

- Nigdy nie miałem zamiaru rościć sobie praw do tronu - zadeklarował.

- Królowa miewa się doskonale... - przerwał mu Edward.

- Niech żyje jak najdłużej - zgodził się James. Jego intuicja podpowiadała mu, że to spotkanie może być dla niego niebezpieczne. - Chciałem powiedzieć, że jestem tu tylko po to, by poznać prawdę. Dowiedzieć się, gdzie się urodziłem i czy to ojciec odesłał nas na drugi koniec świata. To, czy był czy nie był królem Anglii, mało mnie interesuje. Chciałbym się dowiedzieć, dlaczego to zrobił. Od zawsze zadaję sobie to pytanie.

Edward słuchał. Patrzył przez okno, na podwórko. Zamyślony, zapytał:

- A zatem nie chce pan dochodzić swoich praw?

James i lady Florence popatrzyli na siebie, zanim padła odpowiedź:

- Żadnych, oprócz prawa do bycia w tym miejscu. I pozostania wśród żywych.

Pożegnali się. Książę Walii wyszedł tymi samymi drzwiami, które obserwował w trakcie rozmowy. James i lady Florence wrócili tą samą drogą, którą przyszli. Zanim jednak przeszli przez drzwi prowadzące na podwórko, James chwycił Florence za rękę i mocno ją przytrzymał.

- Poczekaj - wyszeptał, przyciągając ją do siebie. - Czy istnieje inne wyjście z tego budynku?

- Dlaczego o to pytasz?

James nie odpowiedział, a ona, po kilku sekundach, pokiwała głową.

Poprowadziła go wąskim korytarzem i stamtąd wyszli na ulicę.

- Co się dzieje, James?

Rozejrzał się. Wszedł na chodnik i przylgnął do ściany.

- Mam pewne przeczucie... - wyszeptał.

W krótkim czasie obszedł w połowie kamienicę i zobaczył dwóch ubranych na czarno, podejrzanie wyglądających mężczyzn. Opierali się o kolumny, jakby na kogoś czekali. Szybko schował się w zagłębieniu muru i pokazał ich lady Florence.

- Znasz ich?

- Nie... - odpowiedziała zaskoczona pytaniem dziewczyna. - A powinnam?

- Sądzę, że twoja nieobecność na dworze trwała zbyt długo - uśmiechnął się ironicznie James.

- Chyba nie myślisz, że...

- Nic nie myślę - przewal jej sucho. - Ale jestem przekonany, że twój kuzyn coś ukrywa.

- To niemożliwe - upierała się Florence. - Nie znasz Edwarda.

James zauważył, że dwaj mężczyźni ruszyli do przodu. Rozmawiali z kimś, kogo nie było widać, skrywał go róg domu.

- Może masz rację. A może nie. Jedyne sposob, żeby się o tym przekonać, to zobaczyć, z kim rozmawiają.

Nie musieli długo czekać. Kilka chwil później książę Edward przeszedł przez ulicę i wsiadł do karocy.

Florence szeroko otworzyła oczy i zdumiona stała nieruchomo obok Jamesa.

- Co to znaczy, James?

Kapitan Gwiazdy Zarannej poczekał, aż karoca odjedzie, a zbiry rozejdą się każdy w

swoją stronę.

- Nie wiem - odpowiedział. - Ale biorąc pod uwagę niepokój twojego kuzyna, wygląda na to, że rzeczywiście jestem synem króla.

Rozdział

Wejść - rozkazała Jej Wysokość, słysząc pukanie do drzwi gabinetu.

Windsorska wdowa wyglądała jak wielki czarny pająk wsparty na pajęczynie z poduszek, wokół piętrzyły się stosy dokumentów. Podniosła wzrok, aby zobaczyć, kto ją odwiedził.

Syn.

Królowa Wiktorja odesłała pośpiesznie swych współpracowników.

- A zatem? Czym jest spowodowany twój pośpiech, dlaczego chcesz ze mną rozmawiać, Edwardzie? - zapytała cichym i spokojnym tonem. - O co chodzi tym razem?

- Chodzi o twoją siostrzenicę, matko... - zaczął książę Walii, ukłoniwszy się.

- Znów ta Florence! - wykrzyknęła królowa. - Ale jak to możliwe? Wróciła dopiero wczoraj. A ty już tu jesteś i się skarżysz?

- Niezupełnie, matko - wybełkotał Edward.

- A zatem mów, nie zwlekaj! Co ci leży na sercu?

- Chodzi o bardzo dziwną historię, matko...

I zebrawszy się na odwagę, wszystko jej opowiedział.

Przez cały czas trwania opowieści królowa Wiktorja nawet nie drgnęła. Patrzyła na syna z nieruchomą twarzą. Jej wielkie, blade ciało wydawało się być wykute w marmurze.

Na koniec wycodziła:

- Ale co to za głupota?

- Ten... pirat, matko, twierdzi, że opłynął Afrykę w pięćdziesiąt dni jedynie po to, aby ubiec nasz parowiec pocztowy płynący przez Kanał Sueski.

Tym razem królowa prawie podskoczyła.

- Myślę, że czytasz zbyt wiele książek przygodowych, drogi Edwardzie. Jak się nazywa ten Francuz od Nautilusa? Juliusz Verne? No właśnie, ta historia jest godna jego pióra, nie dotyczy jednak spraw państwowych...

- Ależ Edwardzie! Czy naprawdę chcesz, żebym uwierzyła w ten tajemniczy spisec dworski... w to, że trzynastoletnie dziecko ucieka z domu i zaciąga się na okręt... że jest członkiem dzikiej załogi naszego kapitana Brooke'a... i że wreszcie odnajduje go twoja kuzynka, twoja kuzynka, mówię! Zdajesz sobie sprawę, że to wszystko brzmi absurdalnie?

- Ale istnieją dowody - zaprotestował Edward, który poczuł się jak dziecko złajane przez nauczycielkę. - Złoty zegar nakręcany kluczem znalezionym przez Florence...

- No właśnie, znów ona. Florence! Ile razy cię nabierała, kiedy byliście mali? I zdaje mi się, że wciąż to robi... Ale

- A dzienniki...

- Jeśli istnieją jakieś dzienniki, Edwardzie, znajdź je i spal - zakończyła pośpiesznie królowa. - A pozbędziesz się problemu.

Edward szeroko otworzył usta ze zdziwienia.

- A kiedy nadpłynie parowiec pocztowy z bazgrołami twojej kuzynki, będziesz mógł je przechowywać na dowód absurdalności tego całego zamieszania.

- Ale Florence wie, że te wszystkie listy są fałszywe!

- Florence! Florence! Jeśli ci to odpowiada, mój mały, sprawię, aby twoja kuzynka opuściła Anglię w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Ześlę ją na wygnanie, gdzieś daleko od dworu... a ty będziesz mógł wreszcie przestać się nią przejmować.

Edward był, zbity z tropu. Ale nie odczuwał szczególnego smutku na myśl o wydaleniu lady Florence z Londynu.

- Jak sobie życzysz, matko - wyszeptał.

- A teraz nie zwracaj mi już głowy tą twoją historią! - pożegnała go królowa. - Mam ważniejsze rzeczy do zrobienia!

Edward cofał się niepewnie w stronę drzwi. Zamknął je za sobą dokładnie. Królowa Wiktoria podeszła z trudem do okna. W zamyśleniu, z założonymi do tyłu rękami patrzyła na park.

Już od lat obserwowała świat z tego właśnie miejsca.

Szelest za jej plecami uświadomił jej, że nie jest sama.

- Czy to prawda, to wszystko, co mi opowiedział Edward? - wyszeptała władczyni w świetle padającym z okna. - Naprawdę przyplłynął w pięćdziesiąt dni z Singapuru do Londynu?

- Tak, Wasza Wysokość - potwierdził głos kogoś, kto pozostawał w cieniu.

- Jak nazywa się statek, na którym tego dokonał?

- To kliper Gwiazda Zaranna. Królowa w zamyśleniu zacisnęła usta.

- Ten człowiek musiał zawrzeć pakt z diabłem.

- Nie sądzę - odpowiedział cień. - Nawet jeśli nie tylko ty, pani, myślisz w ten sposób...

Królowa Wiktoria odwróciła się powoli.

- James Fry jest po prostu wolnym duchem, Wasza Wysokość.

Rozdział

Tędy, panowie... - powiedział kelner, wskazując im drogę.

Posadził ich w małej, ale jasnej salce. Okno ze szmaragdowymi okiennicami wychodziło na ulicę, a podłoga z ciemnego drewna swojsko trzeszczała pod nogami.

Doktor już na nich czekał. Siedział w fotelu z pomarszczonej skóry, naprzeciw kominka i palił swą fajkę z kości słoniowej.

Kiedy lady Florence i jej gość weszli do salki, wstał, przyglądając poźółkłą brodę i wąsy, pragnął bowiem wyglądać jak najbardziej elegancko.

- Lady Florence! Przyszedłem, jak tylko dostałem od pani wiadomość! Co to za cud? Jak się to pani udało?

Dziewczyna objęła go i uścisnęła tak mocno, że miał wrażenie, że zaraz się uduś.

- Jak się cieszę, że pana znów widzę!

- Oj, oj! - jęczał doktor. - Panienko, proszę! Proszę przestać!

Lady Florence puściła go jedynie po to, aby przedstawić mu Jamesa.

- Tak jak panu napisałam, doktorze, przedstawiam panu Jamesa Frya... - powiedziała z dumą.

James podał mu lewą rękę.

- Proszę uważać na głowy, o tak, tędy...

To wielka przyjemność móc pana poznać - rzeki doktor. - Proszę mi wybaczyć wzruszenie, ale... nie sądziłem, że kiedykolwiek będę miał tę okazję.

- Ja także nie, doktorze - odpowiedział James. - Ale to, że tu jestem, to głównie pana zasługa.

- Moja zasługa? Ależ nie, chłopcze! Proszę spojrzeć na siebie! Jest pani pewna, że się nie pomyliła? To jeszcze młodzieniec! - zwrócił się do Florence.

Lady Florence uśmiechnęła się, a doktor próbował pogłaskać Jamesa po twarzy.

Po raz pierwszy od pięćdziesięciu lat James nie zrobił uniku.

- Wiedziałem to już wtedy, kiedy po raz pierwszy wziąłem pana na rękę, jest pan zdrowy jak rydz.

Usiedli po dwóch stronach kominka. James, jak zwykle ostrożny, obserwował pokój. Poza oknem wychodzącym na ulicę było tam jeszcze dwoje drzwi: te, którymi weszli, i jeszcze jedno, dwuskrzydłowe. Były zamknięte. Tym razem jednak James nie miał żadnego złego przeczucia, że kryje się za nimi coś podejrzanego.

Doktor położył swoją dłoń na dłoni lady Florence i szczęśliwy pogłaskał ją, zwracając się równocześnie do Jamesa:

- Nie wiem nawet, od czego zacząć, panie Fry. Gdyby tylko rektor Eton jeszcze żył, byłby szczęśliwy, mogąc pana zobaczyć. Bo, wie pan, to była jego zasługa, że udało nam się was ocalić i zaokrętować na statek do Indii.

- Czy to mój ojciec wydał rozkaz, aby mnie zamordowano?

- Pana ojciec nic o tym nie wiedział. Nie wiedział nawet, że pan się urodził! Wszyscy zgodzili się, że należy ukryć przed nim tę wiadomość.

- Wszyscy, to znaczy kto, doktorze?

- Przede wszystkim księżę Wilhelm, jego brat. Obawiał się, że pana ojciec może pana uznać za następcę. Był tam też premier, jakiś oficer marynarki i mężczyzna, którego wszyscy nazywali Niemcem. I oczywiście rektor Eton.

- A zatem to był prawdziwy spisek - wyszeptała lady Traveledan.

Doktor ukrył głowę w dłoniach i potrząsnął nią gwałtownie.

- Tak! Spisek. Chcąc go zrealizować, posłużyli się mną! Byłem jedynie młodym lekarzem, zaskoczonym faktem, że wezwano mnie do Windsoru, i... byłem posłuszny! To ja osobiście okłamałem pańskiego ojca, panie Fry! Wraz z jego bratem poszedłem do jego komnaty i byłem zmuszony powiedzieć mu, że pan nie żyje! Ze oboje nie żyjecie, pan i pana matka!

Twarz James była nieruchoma i miała ziemisty kolor.

- Czy może mi pan wybaczyć? - zaszlochał doktor.

- Dlaczego? - zapytał James, kiedy doktor nieco się uspokoił. - Dlaczego pan to zrobił?

Doktor osuszył oczy i nos i cicho odpowiedział:

- Zrobiłem to, bo się bałem, panie Fry. Bałem się i chciałem żyć.

James uśmiechnął się do niego.

- Nie musi się pani zamartwiać moim przebaczeniem. Ja też się bałem. I też chciałem żyć.

Lady Florence, doktor i James spędzili całe popołudnie na rozmowie. James opowiadał o Białym Radży, o swoim życiu na morzu i o egzotycznych miejscach, które widział. Doktor - o poznaniu jego matki, pięknej dziewczyny z wioski Surrey, o tym, jak się poznali z lady Florence.

Kiedy zaczęło zmierzchać, usłyszeli poruszenie w drugiej sali.

Nie mieli nawet czasu na reakcję, gdy nagle dwuskrzydłowe drzwi otworzyły się i

weszli przez nie dwaj uzbrojeni żołnierze.

James skoczył na równe nogi, odruchowo szukając dłonią bułatu. Już chciał utorować sobie między nimi drogę, kiedy zatrzymał go autorytarny głos.

Doktor pobladł. Lady Florence natomiast ukłoniła się nisko i szeroko uśmiechnęła.

- Muszę wam się zwierzyć, że dziś po południu usłyszałam naprawdę piękną historię, panowie... - zaczęła królowa Wiktorja, wchodząc do pokoju.

James zeszywniał. Nie wiedział, jak powinien się zachować, skłonił więc głowę i wpatrywał się w czubki swoich butów.

- Odejdźcie - westchnęła królowa, odsyłając straż. - Istnieje pewna, już historyczna, zażyłość pomiędzy angielskimi królowymi a piratami, i nie mam powodów, by myśleć, że tym razem mogłoby być inaczej, nieprawdaż, panie Fry?

- Do usług Jej Wysokości... - odpowiedział.

- Ale nie do usług księcia Walii, jak mniemam...

I widząc pełną zdumienia twarz Jamesa, windsorska wdowa parsknęła nieoczekiwanym śmiechem.

- No, dalej! Proszę się nie przejmować takimi głupstwami. Już od miesiący nie mogłam znaleźć żadnego odpowiedniego powodu, by wyjść z zamku, wie pan?

- A teraz znalazła go pani? - zapytał James, w ogóle nieprzestraszony rozmową twarzą w twarz z najpotężniejszą monarchinią na świecie.

- Oczywiście, że go znalazłam! Pięćdziesiąt dni, mój drogi! Pięćdziesiąt dni! Czy zechce mi pan wyjawic pański sekret? Albo może będzie lepiej, biorąc pod uwagę okoliczności, jeśli zaczniemy pana nazywać... sir Fryem?

Rozdział

Kiedy ludzie księcia Edwarda dotarli do doków w londyńskim porcie, Gwiazdy Zarannej już tam nie było. Gdziekolwiek znajdowały się dzienniki i zegar pirata, młody pretendent do tronu nie znalazł ich ani tego wieczoru, ani nigdy później.

Lady Florence za zgodą królowej opuściła Londyn, kupiła małą wyspę u wschodnich wybrzeży Sycylii, położoną nieopodal wioski rybackiej o nazwie Taormina i tam się osiedliła. Wszystkim tym, którzy ją pytali o powody jej decyzji, odpowiadała, że to ze względu na wspaniały klimat, wyśmienite jedzenie i wyjątkowe towarzystwo. Salon lady Trevelyan na Isola Bella stał się miejscem spotkań artystów, buntowników i ludzi bez przeszłości.

Byli wśród nich także dawni współtowarzysze Jamesa.

Florence i James często do siebie pisali. Sir James otrzymał od królowej tytuł i małą posiadłość wiejską w Surrey, blisko miejsca, w którym przyszła na świat jego matka, pod warunkiem zrezygnowania z jakichkolwiek roszczeń do tronu. Jego pochodzenie nie zostało nigdy oficjalnie potwierdzone, ale dla niego najważniejsze było to, że poznał tajemnicę własnych narodzin.

Od kiedy zamieszkał w Surrey, przestał pisać, jakby jego życie już się dopełniło.

Nie czuł się co prawda w pełni szczęśliwy, ale nie był smutny czy pogrążony w melancholii. Nie doskwierała mu też samotność. Życie na wsi było bezpieczne i wygodne.

I myślał, że właśnie tam - na angielskiej prowincji - doczeka końca swoich dni.

Aż pewnego dnia wsiadł do pociągu do Londynu...

I coś znalazł.

Był to piękny album ze zdjęciami, pozostawiony przez kogoś na siedzeniu.

James oparł się o laskę, z którą od jakiegoś czasu się nie rozstawał, i przyglądał długie białe wąsy.

Rozejrzał się niezdecydowany.

Był sam w przedziale.

Pociąg właśnie ruszył, okna były otwarte, zasłonki lekko powiewały. Lokomotywa puszczala parę i podskakiwała na zwrotnicach, przejeżdżając przez zielone angielskie wzgórza.

Wziął album i rozłożył go na kolanach. Postanowił, że odda go konduktorowi. Tymczasem postanowił go przejrzeć.

Półgłosem przeczytał tytuł: Dzieci rozbitkowie na Wyspie Czarnego Jeziora.

James poczuł dziwny niepokój. Odwrócił szybko kilka stron i odkrył, że były w nim zdjęcia szczęśliwej rodziny spędzającej wesoło czas na wsi.

Westchnął z ulgą.

Przez chwilę myślał, że naprawdę chodzi o fotografie rozbitków.

Zakaszłał i już spokojnie odwracał kolejne strony.

Usiadł.

Zdjęcia w albumie były tak piękne, że prawie sprawiały ból; emanowało z nich niczym niezmacone szczęście. Dzieci uchwycono podczas wesołej zabawy: przewracały się w trawie, goniły się, walczyły, jeździły na gigantycznym psie. Miały pirackie opaski i trzymały drewniane szpady.

James widział jednak na tych zdjęciach coś jeszcze. Widział spreparowanego tygrysa, który uratował im życie, Delroya, który spoczywał na dnie morza, i pana Neville'a, który wskazywał makaki na palmach.

Zagubieni chłopcy.

James uśmiechnął się, kiedy oglądał ostatnią fotografię. Dedykacja na niej głosiła:

Prawdopodobnie to pan lub pani Davies, a może autor zdjęć - J.M. Barrie - fotograf amator zgubili album.

Pan Barrie zresztą wcale nie wydawał się amatorem. W tych fotografiach była cudowna prawda.

James przypomniał sobie szyld zakładu krawieckiego swojej mamy, na którym May kazała napisać Medalowy, choć pracownia nigdy nie otrzymała żadnego medalu, i pomyślał, że nie zawsze to, co się pisze, jest prawdą. Ale fotografie w albumie nie kłamały - dzieci były naprawdę szczęśliwe.

Dla rodziny Daviesów, Z wielką wdzięcznością J.M. Barrie, fotograf amator.

I nieświadome okrucieństw, które zdarzają się w rzeczywistości, a których nie było w ich zabawach.

Kiedy pojawił się konduktor, James nie pokazał mu albumu z fotografiami. Postanowił, że odda go osobiście, kiedy już to będzie jego misja do wykonania.

Zamknął oczy i oddychał świeżym powietrzem wpadającym przez okno.

Wydawało mu się, że słyszy łopot żagli Gwiazdy Zarannej, ale kiedy otworzył oczy, zrozumiał, że to tylko jego wyobraźnia.

Na zdjęciach dzieci wciąż się uśmiechały.

Kiedy wreszcie dotarł do swojego hotelu, postanowił zasięgnąć języka o panu J.M.

Barrie i ustalił, że nie był wcale fotografem amatorem, lecz znanym dramaturgiem i powieściopisarzem. Nietrudno było znaleźć jego adres. Wysłał mu więc swoją wizytówkę z informacją, że znalazł album.

Pan Barrie odpowiedział od razu:

Spotkajmy się dziś wieczór, w pubie Robinson Crusoe.

James, czytając zaproszenie, uśmiechnął się do siebie.

W całym Londynie nie istniało chyba miejsce, które bardziej pasowałoby do takiego życiowego rozbitka jak on, jedzie do Londynu.

Rozdział

Założył bardzo prosty, ale elegancki strój. Przejrzał się w lustrze, poprawił lekki płaszcz, plecione sandały, które były jedynym obuwem, jakie udawało mu się znieść (ale dobrą stroną bycia starym i szlachetnie urodzonym okazało się to, że wszystko, co niezwykle, uznawano za oryginalne) i wyszedł z hotelu.

Zapytał woźnicę, gdzie znajduje się pub Robinson Crusoe, sprawdził godzinę na zegarze ojca i zdecydował się pójść tam pieszo.

Przybył punktualnie i od razu rozpoznał swego rozmówcę wśród klientów lokalu.

- Pan Barrie? - zapytał, zdejmując kapelusz. - James Barrie?

Ten drugi podniósł wzrok. Był niziutki, miał napomadowane wąsiki i żywe dziecięce oczy. Wydawał się młody, choć biorąc pod uwagę jego sławę, nie było to możliwe.

James zrozumiał, że cierpieli na tę samą przypadłość: czas się ich nie miał.

- Nazywam się James Fry. Znalazłem pański album. To wielka przyjemność pana poznać - dodał, podając mu lewą rękę.

- Mam tak samo na imię - zauważył pan Barrie.

- Rzeczywiście.

Mocno uścisnęli sobie dłonie i usiedli.

Dramaturg patrzył bezceremonialnie na hak Jamesa. Zachowywał się zupełnie inaczej niż osoby, które starały się unikać tego tematu.

Zapytał bez cienia hipokryzji:

- Co się panu stało?

- Stare dzieje - odpowiedział James.

- Proszę mi opowiedzieć.

Jego ciekawość była naturalna i James po raz pierwszy od wielu lat mógł się cieszyć towarzystwem kogoś, kto był do niego podobny.

Złożyli zamówienie.

- Zaczął pan opowiadać o ręce... - nalegał Barrie, kiedy na stole pojawiły się piwa. - Skąd u pana ten pomysł, aby chodzić z laską zakończoną głową słonia?

- Jestem piratem - odpowiedział James. - To znaczy byłem nim.

- Żartuje pan?

- Absolutnie nie. Byłem piratem siejącym postrach na wschodnich morzach, wrogiem numer jeden imperium brytyjskiego, tak groźnym, że królowa nie miała innego wyjścia i

musiała nadać mi tytuł... Sir.

- Na zdrowie! - wykrzyknął Barrie i stuknęli się kufłami. - Jaka jest królowa? - zapytał z pianą na wąsach.

- Lubi szybkość - odpowiedział James z uśmiechem.

Wydawali się zapomnieć o albumie z fotografiami. Dwóch mężczyzn śmiało się i żartowało. Odkryli, że mieli bardzo podobne poczucie humoru.

- No dalej, James... opowiedz mi swoją historię - zaproponował wreszcie Barrie. - Albo przynajmniej to, co możesz mi opowiedzieć.

James zamyślił się przez chwilę, a potem zaczął mówić:

- Powinienem był studiować na Eton, bo urodziłem się niedaleko od szkoły, właściwie naprzeciwko - zaczął.

- Naprzeciwko znajduje się zamek Windsor - zauważył Barrie.

- No właśnie - ciągnął James. - Ale gdyby w Eton znali moją tożsamość, historia Anglii potoczyłaby zupełnie inaczej...

- Proszę tylko nie mówić, że jest pan... - wymamrotał niedowierzająco i zawiesił głos. Jego ciekawość rosła z każdym słowem wypowiedzianym przez Jamesa.

Czuli się jak chłopcy, którzy opowiadają o swoich pierwszych przygodach.

- Panie Barrie, Anglia, którą pan zna, i królowa, która zasiada na tronie... no, powiedzmy, że powinni być w innym miejscu. Wygląda na to, że żyjemy na wyspie, której nie ma...

- Wyspa, której nie ma? - powtórzył zafascynowany Barrie.

- Właśnie. Proszę sobie wyobrazić zaginione dziecko... tak się czułem. Zagubiony, ale odważny. A przede wszystkim wolny. Wszystko zależało ode mnie.

James wskazał na hak w miejscu swojej prawej dłoni.

- I od szczęścia. Czy słyszał pan kiedyś o bóstwie zwanym Ganeśa?

Barrie potrząsnął głową. *neczek.*

- Dzwoneczek?

- Małeńki brzęczący dzwoneczek, od którego nie może się uwolnić...

Barrie wsparł brodę na rękach, a James opowiadał dalej: o swoim dzieciństwie w Triwandrum, o ucieczce z domu, o Salvie, o zatonięciu statku i o swoim strachu przed krokodylami. Opowiedział też o radży Sarawaku, kapitanie Moorze i Gwieździe Zarannej, o wiernej załodze i o zegarze, którego wskazówki zatrzymały się na trzeciej pięćdziesiąt dwie.

- Może nie należało szukać do niego kluczyka... - zażartował Barrie, zamawiając jeszcze jedną kolejkę.

James uśmiechnął się, a potem opowiedział jeszcze o swoich rejsach, o abordażach, bitwach, skarbach, ukrytych portach, plażach i tajemnicach Wschodu. Wrócił pamięcią do dnia, w którym uciekł przed chińskim konwojem, i do dnia, w którym Gwiazda Zaranna ledwie zdążyła umknąć przed księciem Walii.

- Skoro tak dobrze umie się pan wymykać, to czemu teraz tkwi pan w jednym miejscu? - zapytał Barrie, gdy ostatnia opowieść dobiegła końca.

James popatrzył na niego zdziwiony.

- Żyje w gęstwinach dżungli, panie Barrie, i dręczy je dzwo sos

- Proszę wracać do swoich przygód. Co pan tu robi, wśród tych przeciętnych ludzi, przytłoczonych nudą albo władzą?

James nigdy nie myślał w ten sposób.

Poczuł smutek i niepokój. Powtórzył w myślach: „Skoro tak dobrze umie się pan wymykać, to czemu teraz tkwi pan w jednym miejscu?”.

- Ponieważ pewnie nie dałbym już rady - powiedział ze smutkiem, opierając hak na blacie stołu.

Kiedy pan Barrie wystawił z sukcesem w londyńskim teatrze swoją sztukę zatytułowaną Piotruś Pan, wysłał Jamesowi na Sycylię kopię swojego utworu. Opowieść bardzo mu się podobała, choć jej główny bohater, Piotruś Pan, wydał mu się antypatyczny.

W trakcie jej czytania James ze zdumieniem odkrył, że posłużył za wzór dla jednego z bohaterów - kapitana Haka - który był typowym czarnym charakterem. Zresztą nie tylko on był tego zdania.

- Wypisz, wymaluj ty! - wykrzyknęli jednocześnie Salvo, Ciro i lady Florence, kiedy przeczytali historię. - Jak on to zrobił?

No właśnie. Jak on to zrobił?

Tysiące zapisanych w ciągu całego życia stron pamiętników niewarte były jednej linijki tego dzieła.

Dramaturg oddał życie Jamesa w fikcyjnej postaci lepiej niż on sam w swoich bardzo dokładnych notatkach.

Na czym polegał sekret?

James nigdy nie rozwikłał tej zagadki.

Kiedy umarła lady Florence, James nie figurował na liście gości zaproszonych na jej pogrzeb.

Wszyscy wiedzieli, że nie znosił takich uroczystości i że uwielbiał tę cudowną kobietę. Wraz ze śmiercią Florence wyspa, na której mieszkała, przestała być schronieniem

dla artystów.

Została sprzedana.

Lady Traveyan pochowano na cmentarzu na nadmorskim urwisku. Jej listy przepadły, a po dwóch skrzyniach zdobionych hinduskimi wzorami, które tyle osób widziało w jej salonie, zagiął wszelki ślad.

Tej nocy, kiedy umierała, kilkoro miejscowych dzieci widziało podobno starych marynarzy na pokładzie zakotwiczonego w zatoce statku z czarnymi żaglami.

Jeden z nich miał hak zamiast dłoni.

Przysięgali, że o świcie statek skierował się na wschód.

Nie mógłbym napisać tej książki bez zaufania i cierpliwości Alice, Chiary i Giovanniego. Myśl o stawieniu czoła historii Haka wykiełkowała z zakładu. Została zrealizowana dzięki dwóm korzystnym splotom okoliczności: kreatywnej kuchni Lü i ciszy Cartino, domu, w którym zawsze piszę, kiedy gonią mnie terminy. Podziękowania należą się także Piętrowi i Marcelli, którzy dali mi czas do napisania tej książki.

Wśród rzeczy, które odkryłem w czasie zbierania dokumentacji, a których nie mogłem włączyć do książki, są takie, o których chciałbym wspomnieć. To, że Juliusz Verne uciekł z domu w wieku jedenastu lat, aby się zaokrętować, jest prawdą. Podobnie jak to, że pod koniec osiemnastego wieku wierzono, że historia piratów napisana przez rzekomego kapitana Johnsona jest autentyczna. Za plecami kapitana skrywał się prawdopodobnie Daniel Defoe, autor historii najśłynniejszego rozbitka wszech czasów.

Najbardziej udane opisy tej powieści powstały dzięki dziennikom Williama Lambtona, dyrektora projektu poświęconego odkryciom geograficznym w Indiach, dziennikom księcia Edwarda de Warrena, oficera w służbie Jej Wysokości, i dziennikom przyrodnika Edmonda Cotteau, korespondenta Paryskiej Akademii Nauk (czytałem je w serii wydawniczej *Guide Impossibili* Franco Marii Ricciego); Borneo wiele zawdzięcza antropologowi JeanIvesowi Domalain (*Le case lunghe*, Mondadori) i podróżnikowi z dziewiętnastego wieku Pierre'owi Lotiemu (*L'India senza gli inglesi* EDT). Nie powinien dziwić fakt, że James Fry posłużył za inspirację Jamesowi Barriemu do stworzenia postaci kapitana Haka. Angielski łowca przygód James Brooke (istniejący w rzeczywistości) stał się czarnym charakterem (niezgodnie z prawdą) cyklu o malezyjskich piratach pióra Emilia Salgariego. Zoo w Triwandrum zostało otwarte przez maharadżę dopiero w 1857 roku i prawie na pewno nie jest prawdą, że klatki ze zwierzętami istniały w czasach, gdy James był chłopcem.

Chcąc oddać hołd memu mistrzowi przygody, zaadaptowałem cały fragment *Le due tigri* w scenie abordażu. Chciałbym móc wierzyć, że podczas którychś ze swoich rzadkich wakacji Salgari był gościem (istniejącego naprawdę) salonu literackiego na wyspie niedaleko Taorminy. Jeśli będziecie przechodzić przez park miejski albo przyjdzie wam ochota, by wspiąć się na Castelmola, nie zapomnijcie jej odwiedzić. Będziecie pod urokiem jej tajemniczości.

Zrekonstruowałem etapy podróży na Hope i Gwieździe Zarannej (a także informację na temat rekordu szybkości klipra) dzięki książce *Ascesa e declino della potenza navale britannica* Paula Kennedy'ego (Garzanti Libri) i *Bucanieri nei Caraibi* Alexandre'a Oliviera Exquemelina (Effemme Edizioni).

Album ze zdjęciami The Boy Castaways of Black Lake Island naprawdę zgubił ojciec braci Davies w pociągu do Londynu.

A James Matthew Barrie, autor Piotrusia Pana, nadmieniał przy różnych okazjach, że jego kapitan Hak powinien był uczęszczać do szkoły w Eton. Mówi się także, że oprócz innych nietypowych cech kapitan Hak miał krew nietypowego koloru. Oczywiście, mowa o kolorze błękitnym.

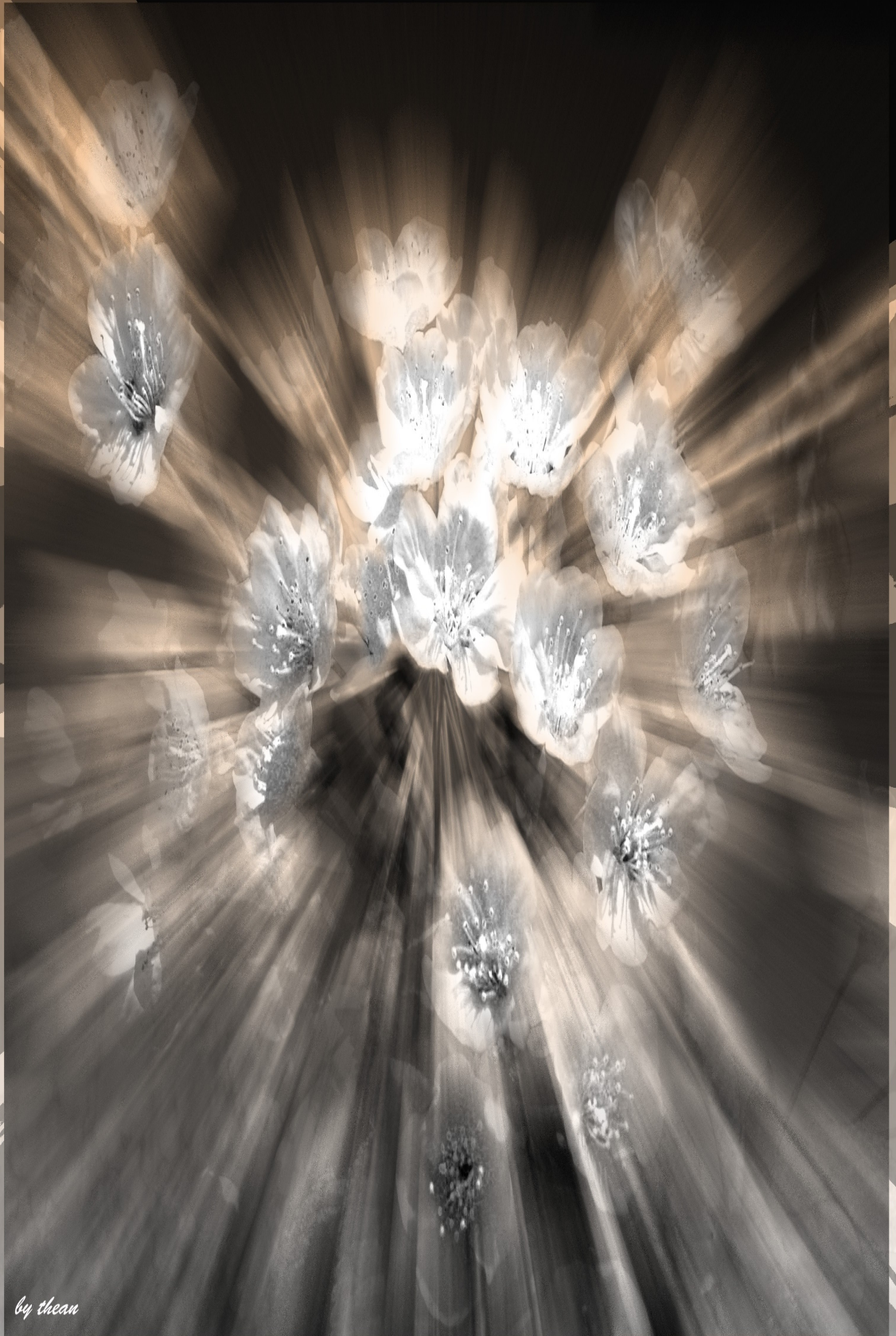
Jerzy IV, James Brooke, J.M. Barrie, James Fry i lady Trevelyan nie mieli dzieci.

Acqui Terme, grudzień 2010 - czerwiec 2011.

Urodziłem się 6 marca 1974 roku w Acqui Terme, malowniczym miasteczku w Piemontie. Dorastałem wśród gęstych lasów, w towarzystwie Andrei, który mieszkał pięć kilometrów ode mnie, i moich trzech psów.

Zacząłem pisać już w liceum. Podczas szczególnie nudnych lekcji udawałem, że robię notatki, a w rzeczywistości wymyślałem niezwykle historie. Właśnie w liceum poznałem grupę entuzjastów gier fabularnych i wraz z nimi tworzyłem nowe wymiary i nowe lądy. Od lat niezmiennie jestem ciekaw świata, choć odkrywam go powoli. Kiedy studiowałem prawo, otrzymałem nagrodę Premio Battello a Vapore za powieść La Strada del Guerriero, i ten dzień stał się jednym z najpiękniejszych w moim życiu. Od tego czasu zacząłem publikować książki.

Po skończeniu studiów współpracowałem z muzeami i różnymi instytucjami kultury. Później dużo podróżowałem i poszerzałem swoje horyzonty: Celle Ligure, Piza, Rzym, Werona. Uwielbiam odkrywać nowe regiony i poznawać tamtejsze zwyczaje, lecz zawsze wracam do znanych miejsc - jedno lubię szczególnie. Jest nim drzewo w dolinie Val di Susa, skąd rozciąga się niezapomniany widok. Jeśli lubicie piesze wędrówki, podobnie jak ja, wskażę wam drogę do mojego ulubionego miejsca. Będzie to nasz wspólny sekret.



by thean